



ks. Jan Hause

W SŁUŻBIE
BOGU
I OJCZYŹNIE

W SŁUŻBIE BOGU I OJCZYŹNIE

Redakcja: ks. Paweł Hause

Korekta: Magdalena Legendź

Skład: Robert Bylicki | airostudio.pl

Zdjęcie na okładce: shutterstock / Juan David Ferrando Subero

Druk: Ośrodek Wydawniczy Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP
„AUGUSTANA” Sp. z o.o.

Wydawnictwo WARTO
Centrum Misji i Ewangelizacji
Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP
ul. Misyjna 8, 43-445 Dziegielów
warto@cme.org.pl, www.cme.org.pl

ISBN 978-83-89953-64-3

ks. Jan Hause

W SŁUŻBIE
BOGU
I OJCZYŹNIE

Spis treści

Przedmowa	7
Nieustające żniwo. Kazania	11
Prawdziwi czciciele Boga	12
Nauka Jezusa – naszą drogą życiową	15
Trwały fundament życia	18
Nasza misja	21
Ogień Bożej miłości	24
Impulsy Święta Żniw	27
Próba wiary	30
Bóg pragnie mieć pasterzy	33
Szczęśliwy epilog	36
Gniew i troska	39
Wojny a Boży pokój	42
Potrzeba cierpliwości	45
Właściwy oręż	48
Kto jest najważniejszy	51
Strumień w winnicy	54
Promieniujemy światłością	57
Jedynie usprawiedliwienie	60
Otwarte serce, szczodra dłoń	63
Dostrzec brata i siostrę	66
Biblia daje pociechę	69
Przyjdzie z wyżyn Bożej chwały	72
Brama do życia	75
Stan posiadania	78
Wiara bez miłości nic nie znaczy	81
Duchowy remanent	85
Idźmy pełni wiary i ufności	88
A czynię to dla Ewangelii	91
Bądźmy mądrzy	94
Nie można być zbyt pewnym	97
Czy patrzemy wstecz?	100
Moc Boża w działaniu Jezusa Chrystusa	103
Droga chrześcijan do Ojca Niebiańskiego	106
Świadkowie sprawy Chrystusowej	109
Uwierz, a będziesz zbawiony	112
Jak przejednać Boga?	115
Czy jesteśmy przydatni?	119
Jeszcze kiedyś się spotkamy	122
Zdrowi nie potrzebują lekarza	125
Naśladowanie Mistrza	128

Woda i ogień	132
Głód duchowy i cielesny	135
Działanie Boga nie ustaje	139
Początek nowego życia	142
Jej godzina jest nieznana	145
Prośmy o jedność chrześcijan	148
Poznają, żeście uczniami moimi	151
Pan daje ukojenie	153
Wspomnienia, wystąpienia, artykuły	157
Siedem lat na Syberii	158
30 lat w służbie ekumenii	165
Z ekumenizmem jest jak z PZPR	172
Misyjno-ewangelizacyjny wymiar nauczania kościelnego	174
Nasze świadectwo wielkanocne	178
O zagubionych ewangelikach	181
Wartość ludzkiej pracy	183
Ewangelickie Duszpasterstwo Wojskowe – podejmujemy przerwane dzieło	187
Zbyt dobry na ten świat	192
Wspomnienie o przyjacielu	205
Ekumenista wzorowy	208
Fotografie	211

Przedmowa

Tytuł *W służbie Bogu i Ojczyźnie* oddaje treści niniejszej publikacji. Pierwsza część obejmuje kazania sługi Bożego, druga część zawiera wspomnienia o tym, który uczył się miłości do Ojczyzny cierpiąc dla niej, a następnie poświęcając się jej w służbie.

Książka nie jest postyllą, choć większa jej część to zbiór kazań z różnego okresu działalności kaznodziejskiej ich autora. Ks. Jan Hause był bowiem przede wszystkim głosicielem Słowa Bożego. Ponieważ nie dane mu było rozwinąć skrzydeł na polu duszpasterskim – pracował głównie w parafiach ewangelickiej diaspory – dlatego był wszystkim zwiastującym Ewangelię.

Kazania, których wygłosił ponad tysiąc czterysta, są głównie biblijnym i teologicznym przekazem chrześcijańskich wartości. Niewiele w nich znajdziemy przykładów z życia codziennego, alegorii, porównań, za to wiele napomnień, biblijnych wskazań dla naszej codzienności. Ponad wszystko natomiast – zachętę do powierzenia życia Bogu oraz oddawania Mu chwały i dziękczynienia.

W kazaniach ekumenicznych, które zajmują szczególne miejsce w jego dorobku, rysuje się niezwykle silne dążenie do jedności pośród chrześcijan. Ks. Jan Hause wygłosił bowiem kazania w 30 różnych kościołach i zborach nieluterańskich oraz w 80 luterańskich. W niektórych miejscach głosił Słowo Boże tylko raz, w innych wielokrotnie, często regularnie przez wiele lat. Stałym i wypróbowanym ekumenicznym kaznodzieją był od lat 70. ub. wieku w stołecznym rzymskokatolickim kościele św. Marcina przy zgromadzeniu sióstr franciszkanek. To tam, u boku późniejszego biskupa Bronisława Dembowskiego, wprowadzał mnie w ekumeniczną wspólnotę. Franciszkanie wydali jego ekumeniczne kazania w dwóch tomach, w tym

jeden z nich już pośmiertnie. Wiele kazań zostało opublikowanych m.in. w bratniej „Jednocie” Kościoła reformowanego, nieco mniej w ewangelickim „Zwiastunie”.

Kazania na poszczególne niedziele roku kościelnego dają pewien obraz dawnej, odchodzącej już retoryki kaznodziejskiej. Szkicują też pobożność tego duchownego, żyjącego na przełomie wieków.

Wszystkie kazania, które wygłaszał, zostały wcześniej napisane odręcznie, rzadziej na maszynie. Niekiedy powstawały tzw. konspekty kazań. Do napisania każdego kazania ks. Jan Hause używał najpierw modlitwy, a dopiero potem pióra.

Te, które zamieszczono w niniejszej publikacji, zostały napisane i wygłoszone w różnych miejscach. Staralem się, by były to różne, wybrane teksty perykop kościelnych, czasami tzw. wolne teksty. Niestety nie wszystkie daty ich wygłoszenia można było po latach ustalić, dotyczy to też niektórych brakujących tekstów biblijnych czy nazw niedziel roku kościelnego. Był lubianym kaznodzieją, ze względu na sposób wygłaszania kazań ale także ich treść. Niektóre zapadają w pamięć, inne może mniej. Jednym te kazania się podobały, inni je krytykowali, czasem czyniłem to i ja. Jeśli nawet ich autor nie był wybitnym i wielkim artystą, to na pewno sumiennym i pracowitym „rzemieślnikiem”. Może jeszcze i teraz jego kazania komuś posłużą? Może po prostu przypomną jego postać, choć on sam zawsze wskazywał na Chrystusa.

Gdy czytam raz jeszcze kazania mego Ojca, słyszę, jak brzmi jego głos, widzę jego twarz. Widzę siebie – słuchającego niczym syn marnotrawny. Dziękuję Bogu za mojego wspaniałego, drogiego i ukochanego Tatę.

W drugiej części zamieszczone zostały różne materiały w formie wystąpień, artykułów i wspomnień. Również w przypadku części z nich nie udało się ustalić daty powstania, są jednak na tyle charakterystyczne i znaczące dla poglądów autora, że zostały tu zamieszczone. Zawarłem w niej moje osobiste wspomnienia o Ojcu, jak też wspomnienia innych o nim. Przede wszystkim jednak na uwagę zasługuje wspomnienie autora kazań o swoim najtrudniejszym okresie życia na Syberii. Wspomnienie dziecka, które stało się zesłańcem tylko dlatego, że jego ojciec – ks. major Paweł Hause – był kapelanem, duchownym i żołnierzem.

Nie mniej poruszający jest rozdział opisujący 30 lat w służbie ekumenii, napisany zanim został jako ekumenista doceniony, w czasach, gdy ekumenia była owocem zakazanym, ale już wtedy przez niego upragnionym. Nie brak w tekście goryczy, pokazuje to jednak drogę, jaką musiała przebyć ekumenia, także w naszym powojennym Kościele. Niektóre teksty

mogą zabrzmieć nieco archaicznie, trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że z kolei inne w ogóle nie straciły aktualności.

Z tej drugiej części wyłania się postać duchownego, który służy umiłowanej Ojczyźnie. Zesłanie, a potem nauka i praca, prowadzą do objęcia ważnej funkcji: Naczelnego Kapelana Ewangelickiego Duszpasterstwa Wojskowego.

Starałem się, by wspomnienia i artykuły złożyły się na sylwetkę skromną, lecz wybitną, a zarazem tak szlachetną i wartościową. „Gazeta Wyborcza”, pisząc o Ojcu pośmiertnie, zatytułowała tekst *Patriotyzm w genach*. Wysokie odznaczenia państwowe i wojskowe, które otrzymał, potwierdzają jego godną i patriotyczną postawę.

Pragnę podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki: Księdzu Biskupowi Jerzemu Samcowi i władzom Kościoła Ewangelicko – Augsburskiego, Ewangelickiemu Duszpasterstwu Wojskowemu, Ośrodkowi Wydawniczemu „Augustana” i Wydawnictwu „Warto”.

Wszystkich Czytelników proszę o życzliwe przyjęcie i życzę dobrej lektury.

ks. Paweł Hause

Nieustające
żniwo
Kazania

Prawdziwi czciciele Boga

10. Niedziela po Trójcy Świętej

Rzekła mu niewiasta: Panie, widzę, żeś prorok. Ojcowie nasi na tej górze oddawali Bogu cześć; wy zaś mówicie, że w Jerozolimie jest miejsce, gdzie należy Bogu cześć oddawać. Rzekł jej Jezus: Niewiasto, wierz mi, że nadchodzi godzina, kiedy ani na tej górze, ani w Jerozolimie nie będziecie oddawali czci Ojcu. Wy czcicie to, czego nie znacie, my czcimy to, co znamy, bo zbawienie pochodzi od Żydów. Lecz nadchodzi godzina i teraz jest, kiedy prawdziwi czciciele będą oddawali Ojcu cześć w duchu i w prawdzie; bo i Ojciec takich szuka, którzy by mu tak cześć oddawali. Bóg jest duchem, a ci, którzy mu cześć oddają, winni mu ją oddawać w duchu i w prawdzie. Rzekła mu niewiasta: Wiem, że przyjdzie Mesjasz (to znaczy Chrystus); gdy On przyjdzie, wszystko nam oznajmi. Rzekł jej Jezus: Ja, który mówię z tobą, jestem nim.

J 4,19-26

W jaki sposób należy oddawać cześć Bogu? To pytanie pojawiło się już wówczas, gdy ludzie uwierzyli, że Bóg rządzi światem i w Jego rękę są ludzkie losy. Również dla Żydów i Samarytan żyjących w czasach Jezusa Chrystusa, nie były obojętne miejsce i sposób wielbienia Boga. Przykładem tego jest opisana przez ewangelistę Jana rozmowa Jezusa z Samarytanką.

Chrześcijaństwo, będąc religią uniwersalną, obejmującą ludzi różnych języków i narodów, nie było pozbawione tendencji separatystycznych. Wszystkie podziały między chrześcijanami, w wyniku których powstały nowe Kościoły, przysporzyły jeszcze więcej różnic utrwalonych w postaci takiej czy innej tradycji. Pytanie, jak należy czcić Boga, pojawia się też w naszych czasach. I nie jest to tylko sprawą grupy specjalistów teologów, którzy ustalą najwłaściwsze formy kultu i pobożności. Zarówno Żydzi, jak i Samarytanie uważali, że tylko oni we właściwy sposób oddają cześć Bogu.

„*Prawdziwi czciciele oddają Bogu cześć w duchu i w prawdzie*”. Wydarzeniem, które zadecydowało o losach całego chrześcijaństwa, było niewątpliwie zesłanie Ducha Świętego. Spełnienie obietnicy Jezusa, danej uczniom o przyjściu „*Pocieszyciela Ducha Prawdy*”, wyzwoliło moc, która ogarnęła cały Kościół. Święto Zesłania Ducha Świętego jest dla wszystkich chrześcijan dniem szczególnym, ukazującym wielkość i potęgę Boga. Dzięki Duchowi Świętemu poznajemy Pana i Zbawiciela, którym jest Jezus Chrystus.

Niewiasta samarytańska w rozmowie z Jezusem powiedziała: „*Wiem, że przyjdzie Mesjasz, to znaczy Chrystus; gdy On przyjdzie, wszystko nam oznajmi*”.

Nasze życie duchowe kształtuje się podobnie, to znaczy: żyjemy z wiary w Syna Bożego i oczekujemy na Jego powtórne przyjście. Możemy powiedzieć, że i dziś Zbawiciel przychodzi do nas w swym Słowie i sakramencie. Jest wśród nas obecny, mimo iż nie potrafimy Go ogarnąć naszymi zmysłami. Jezus przychodzi do nas nie dlatego, że należymy do takiego czy innego Kościoła, nie wywyższa jednych, a poniża innych. Wszyscy jesteśmy Jego uczniami.

To, co niewiasta samarytańska usłyszała z ust Jezusa, przekonało ją, że On, mimo iż był Żydem, nie uważał wcale, że tylko naród żydowski jest tym jedynym, wybranym przez Boga. Jezus przyszedł przede wszystkim po to, aby ratować grzeszników. I dziś też przychodzi do nas, aby okazać nam swą miłość w Słowie i w czynie. Chce nam powiedzieć, że dzięki Jego zbawczemu działaniu zostajemy uwolnieni od winy za grzechy i możemy prowadzić lepsze, podobające się Bogu życie. Świadomość tego, że w osobie Jezusa Chrystusa mamy Pana i Zbawiciela, nakłada na nas wszystkich obowiązek głoszenia światu, że Bóg jest naszym Panem i przyjmuje wszystkich, którzy do Niego przychodzą. Będąc niedościgłym wzorem miłości Boga i bliźniego, Jezus umacnia nas w wierze i miłości do ludzi. Bez względu na czas i miejsce, w którym się znajdujemy, możemy i winniśmy wielbić Boga w duchu i w prawdzie. Wszystko jest możliwe dzięki temu, że Jezus przychodzi do nas. Nie szukajmy nowych dróg, skoro mamy jedną, wytyczoną przez samego Jezusa. Są ludzie, którym słowa Pisma Świętego nie wystarczają i nie przekonują o tym, że Jezus już przyszedł jako zapowiedziany przez starotestamentowych proroków Mesjasz.

Niewiasta samarytańska żyła tylko nadzieją Jego przyjścia, dopóki Jezus nie stanął na jej drodze i nie powiedział: „*Ja, który mówię z tobą, jestem Nim*”.

Dzień, w którym Duch Święty zstąpił na apostołów, był dniem narodzin Kościoła chrześcijańskiego. Wówczas zarówno Żydzi, jak i poganie, którzy przyjęli chrzest, odrzucili kult, którego centrum była świątynia jerozolimska. Odtąd jedynym pośrednikiem między Bogiem a Jego ludem stał się Jezus Chrystus. Przez Niego Bóg dał ludziom Ducha Świętego, który ogarnął i zjednoczył cały Kościół chrześcijański we wspólnej wierze. Tym Duchem Bóg

odnawia i ożywia społeczność wszystkich wierzących w Jezusa Chrystusa na całej ziemi po wsze czasy.

Do nas, zebranych na nabożeństwie ekumenicznym, Bóg też kieruje swoje wezwanie, byśmy Mu oddawali cześć „*w duchu i w prawdzie*”. Potwierdzeniem tej prawdy są słowa naszego Pana i Zbawiciela: „*Ojciec takich szuka, którzy by Mu tak cześć oddawali*”. Dlatego i nasze modlitwy o jedność chrześcijan nie są daremne, mimo iż wciąż jeszcze dzielą nas bariery wyznaniowe. Nie możemy jednak przerywać naszej wędrówki do celu, który wskazał nam Bóg w Jezusie Chrystusie tylko dlatego, że mamy przed sobą taką czy inną górę przeciwności. Chrystus Pan, który przychodzi dziś do nas, pragnie nas zapewnić, że wszyscy, którzy zostali ochrzczeni w Jego imię, spożywają Jego ciało i krew, są z Nim złączeni zarówno w tym, jak i w przyszłym życiu. Trzeba zgodzić się z tym, że Jezus Chrystus przychodzi do każdego i nie czyni różnic między ludźmi. Jezus wnosi w nasze życie pokój, radość i sprawiedliwość, abyśmy mogli służyć Mu, będąc użytecznymi dla naszych braci i sióstr. Oddawanie Bogu czci w duchu i w prawdzie, to nie tylko modlitwa do Pana, który jest źródłem wszechogarniającej łaski i miłości. Całe nasze życie winno być rozmową z Bogiem. Jeśli Chrystus przychodzi do nas, to chce, abyśmy powierzali Mu samych siebie ze wszystkimi nurtującymi nas problemami.

Rozmowa Jezusa z Samarytanką sprawiła, że jej życie prywatne, tak bardzo skomplikowane i obciążone brzemieniem win, nabrało innego sensu. W jednej chwili zdała sobie sprawę z tego, że ma przed sobą prawdziwego Mesjasza.

Nasze życie również obfituje w wiele spraw, które wolelibyśmy przemilczeć. Ludzie na ogół są zamknięci w sobie, a jeśli decydują się wyjawić komuś to, co ich dręczy i niepokoi, czynią to wobec najbliższych przyjaciół. Z chwilą, gdy decydujemy się powierzyć nasze sprawy Chrystusowi, życie nasze nabiera nowego sensu. Oto Chrystus Pan przychodzi do nas i chce, abyśmy znaleźli w Nim powiernika i przyjaciela, który może nas zawsze zrozumieć i dopomóc nam.

Jeśli szukasz Pana i Zbawiciela w Jezusie Chrystusie, to musisz uwierzyć Jego zapewnieniu: „*Ja, który mówię z tobą, jestem Nim*”. Kto chce spotkać Boga na drodze swego życia i oddawać Mu cześć w duchu i w prawdzie, ten winien się „*narodzić na nowo*”. Dlatego powierzmy raz jeszcze nasze życie Bogu ze wszystkim, co nas od Niego dzieli; nie sądźmy, że nie ma dla nas ratunku. A Bóg, który jest dawcą wszelkich darów, poświęci nas i obdarzy pokojem i nadzieją życia wiecznego w Jezusie Chrystusie.

Amen.

maj 1989 r.

Nauka Jezusa – naszą drogą życiową

9. Niedziela po Trójcy Świętej

Nie każdy, kto do mnie mówi: Panie, Panie, wejdzie do Królestwa Niebios; lecz tylko ten, kto pełni wolę Ojca mego, który jest w niebie. W owym dniu wielu mi powie: Panie, Panie, czyż nie prorokowaliśmy w imieniu twoim i w imieniu twoim nie wypędzaliśmy demonów, i w imieniu twoim nie czyniliśmy wielu cudów? A wtedy im powiem: Nigdy was nie znałem. Idźcie precz ode mnie wy, którzy czynicie bezprawie. Każdy więc, kto słucha tych słów moich i wykonuje je, będzie przyrównany do męża mądrego, który zbudował dom swój na opoce. I spadł deszcz ulewny, i wezbrały rzeki, i powiały wiatry, i uderzyły na ów dom, ale on nie runął, gdyż był zbudowany na opoce. A każdy, kto słucha tych słów moich, lecz nie wykonuje ich, przyrównany będzie do męża głupiego, który zbudował swój dom na piasku. I spadł ulewny deszcz, i wezbrały rzeki, i powiały wiatry, i uderzyły na ów dom, i runął, a upadek jego był wielki. A gdy Jezus dokończył tych słów, zdumiewały się tłumy nad nauką jego. Albowiem uczył je jako moc mający, a nie jak ich uczeni w Piśmie.

Mt 7,21-29

Tym, co osłabia więź człowieka z Bogiem i stanowi naruszenie przymierza z Nim, jest nieposłuszeństwo i niekonsekwencja rozbieżność między słowem a czynem ludzkim.

Jezus nauczając lud Bożej mądrości, określił wyraźnie, jakimi winni być ludzie, którzy uważają się za Jego uczniów. Końcowy fragment *Kazania na górze* ukazuje w sposób nie podlegający dyskusji tok postępowania Boga i następstwa wypływające z postawy, jaką zajmujemy wobec Słowa Bożego. Gdybyśmy zawsze uważnie słuchali słów naszego Pana, Jezusa Chrystusa, brali je na serio i zawsze według nich postępowali, wówczas

nasze życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Inaczej wyglądałby też Kościół chrześcijański, oparty jedynie na tym fundamencie, którego kamieniem węgielnym jest Jezus Chrystus. Tymczasem prawda wygląda tak, że chociaż słuchamy Słowa Bożego wielokrotnie, i choć nieraz godzi ono w nasze życie, obnaża wszystkie nasze złe czyny – nie myślimy o zmianie postępowania.

Taką postawę Jezus uważa za przejaw zwyczajnej głupoty. Mimo to wielu chrześcijan ogranicza się tylko do słuchania prawdy i teoretycznego jej akceptowania, ale równocześnie nie wyciąga z tego żadnych praktycznych wniosków. Świadczy to o całkowitym ignorowaniu Bożych nakazów i o nieliczeniu się z następstwami lekkomyślnego postępowania.

Historia ludu wybranego Starego Przymierza dostarcza wielu dowodów na to, że Bóg nie pozostaje obojętny wobec ludzi, którzy czynią zło. Tak właśnie stało się z królem judzkim, który przez swoje grzeszne postępowanie ściągnął na siebie i na cały naród żydowski karę Bożą w postaci uprowadzenia do niewoli babilońskiej. Podobnie dla nas, chrześcijan, konsekwencją grzechu nieposłuszeństwa wobec Boga jest niewątpliwie rozdarcie Kościoła chrześcijańskiego. To, że ciągle mówimy o miłości Boga i bliźniego, a przy tym myślimy tylko o własnej chwale, z pewnością nie może podobać się Bogu. I nie wiadomo, jak długo jeszcze potrwa ta niewola. Bóg oczekuje od wszystkich swoich wyznawców żalu za grzechy i postawy wskazującej na to, iż z wiarą przyjmujemy Jego napomnienie i wezwanie do pokuty. Nie chcemy zasłużyć na miano głupców, którzy budują gmach swego życia na piasku. Dlatego przychodzimy przed oblicze Boga w poczuciu naszych win i upadków; szukamy przebaczącej miłości Jezusa Chrystusa, który za nas wszystkich złożył swe życie w ofierze. Chcemy, aby naszą dewizą stały się słowa psalmisty: *„Początkiem mądrości jest bojaźń Pana: wszyscy, którzy ją okazują, są prawdziwie mądrzy”* (Ps 111,10). Trzeba sobie uświadomić to, że naprawdę mądrym staje się człowiek dopiero wówczas, gdy jego życie podporządkowane zostaje Bożym nakazom. Jezus dlatego w tak kategoryczny i zdecydowany sposób wyraził pogląd odnośnie postępowania ludzi, abyśmy mogli dokonać właściwego wyboru. Nie możemy być tylko teoretykami chrześcijaństwa, ludźmi, którzy wiedzą o tym, co mówił i czynił Jezus i postępują nadal według własnego upodobania. To tak, jakbyśmy wiedząc o szkodliwości palenia tytoniu czy picia alkoholu, nadużywali jednego i drugiego, i nie mogli wyzwolić się od ich zgubnego wpływu.

Jezus nie po to głosił swą naukę i przekazał nam te słowa, aby stały dla nas wspaniałymi, niedoścignionymi wzorami postępowania, ale po to, aby Słowo Boże stało się naszą drogą życiową. On powiedział: *„Ja jestem drogą i prawdą, i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze mnie”*

(J 14, 6). Bądźmy więc posłuszni naszemu Panu i Zbawicielowi: idźmy drogą, która prowadzi do Królestwa Bożego i jest dostępna dla wszystkich, którzy postępują zgodnie z wolą Ojca niebiańskiego. Pamiętajmy, że Jezus oczekuje od nas nie samych deklaracji słownych, ale czynów, będących potwierdzeniem naszej wiary i posłuszeństwa wobec Boga.

Miliony ludzi w naszych kościołach co niedzielę słuchają Słowa Bożego i przystępują do Komunii Świętej. Ci ludzie wiedzą na ogół, czego Jezus nauczał, a mimo to czynią bardzo mało albo zgoła nic, by stosować się do tej nauki i wcielać ją w życie. Właśnie o konieczności takiej postawy przypomina apostoł Jakub, który pisze swym liście: „*A bądźcie wykonawcami słowa, a nie tylko słuchaczami oszukującymi samych siebie*” (Jk 1,22). W tym napomnieniu tkwi sedno sprawy. Można oszukać ludzi, stwarzając pozory pobożności, samemu ulec złudzeniu, ale nie da się oszukać Boga. Niektórym ludziom wydaje się, że szafując obficie Słowem Bożym, wznoszą dom, który na pewno oprze się wszelkim niszczyielskim wpływom i zapewni im właściwą ochronę. Ale jest to przekonanie złudne.

Prawdziwy, mocny gmach możemy zbudować tylko na tym jedynym fundamencie, którym jest Jezus Chrystus. On jest opoką naszej wiary i daje nam pewność przetrwania wszystkich burz dziejowych: „*Jezus Chrystus, wczoraj i dziś, ten sam na wieki*” (Hbr 13,8).

Amen.

czerwiec 1990 r.

Trwały fundament życia

Słyszeliście, iż powiedziano: Będziesz miłował bliźniego swego, a będziesz miał w nienawiści nieprzyjaciela swego. A Ja wam powiadam: Miłujcie nieprzyjaciół waszych i módlcie się za tych, którzy was prześladują, abyście byli synami Ojca waszego, który jest w niebie, bo słońce jego wschodzi nad złymi i dobrymi i deszcz pada na sprawiedliwych i niesprawiedliwych. Bo jeśli byście miłowali tylko tych, którzy was miłują, jakż macie zapłatę? Czyż i celnicy tego nie czynią? A jeśli byście pozdrawiali tylko braci waszych, cóż osobliwego czynicie? Czyż i poganie tego nie czynią? Bądźcie wy tedy doskonali, jak Ojciec wasz niebieski doskonały jest.

Mt 5,43-48

Wskazania zawarte w zakończeniu *Kazania na górze*, odnosiły się nie tylko do ludu Starego Przymierza, jakim był Izrael. Te słowa naszego Pana, Jezusa Chrystusa, odnoszą się i do nas, dziś żyjących. To, co Jezus pragnie nam powiedzieć w swym Słowie, to nie jest tylko wspaniała nauka i niedościągły, godny uwielbienia ideał, lecz droga, po której my, chrześcijanie, mamy kroczyć. Tą wspaniałą nauką trzeba żyć, tę najdoskonalszą etykę praktykować. W przeciwnym razie zadajemy kłam prawdzie, że jesteśmy chrześcijanami. Nie można budować gmachu życia na teorii, choćby najpiękniejszej, najbardziej wzniosłej, nie usiłując dostosować go do wymogów, jakie stawia nam Pismo Święte.

Człowiek, który ogranicza się do słuchania Słowa Bożego, ale nie wyciąga zeń praktycznych wniosków i nie stosuje się do Bożych przykazań, jest nazwany przez Jezusa głupcem. I chociaż w oczach i w opinii ludzkiej może uchodzić za mądrego, stwarzając pozory prawdy, nie zdoła na pewno oszukać Boga. Nie na darmo Pismo Święte mówi: „*Nie błądzcie, Bóg się nie da z siebie naśmiewać: albowiem co człowiek sieje, to i żąć będzie*” (Ga 6,7).

Dopóki żyjemy w tym świecie, tak długo możemy łudzić się fałszywą nadzieją, ale nadejdzie taki dzień – dzień Sądu Ostatecznego, w którym

według słów Jezusa nastąpi pełna konfrontacja faktów i każdy okaże się takim, jakim jest w rzeczywistości.

Nikt z nas nie zna dnia ani godziny odejścia z tego świata, ale z pewnością nie jest jeszcze za późno, abyśmy dokonali niezbędnej korekty naszego postępowania i wznosili gmach życia wsparty na mocnym fundamencie.

Dla zilustrowania prawd dotyczących Królestwa Bożego Jezus wielokrotnie posługiwał się przykładami zaczerpniętymi z życia. Tak było i tym razem, gdy wykazał, że źle postawiony dom, pozbawiony trwałego fundamentu, nie oprze się nawałnicom i musi runąć. To porównanie odnosiło się pierwotnie do terenu Palestyny z jej pustynnym krajobrazem. Ale nie tylko, bo i w naszych czasach wznoszone są różne budowle, które ulegają zniszczeniu na skutek wadliwej budowy, niedokładnych obliczeń czy użycia niewłaściwego materiału. Im słabsza budowla, tym większe jest niebezpieczeństwo jej zniszczenia pod wpływem czynników zewnętrznych.

Nie zapominajmy jednak, że Jezus miał na myśli przede wszystkim duchową budowlę – życie wewnętrzne człowieka i jego stosunek do Boga. Chrystus Pan myślał głównie o tej budowli, jaką jest Jego Kościół zbudowany z żywych kamieni. A Kościół chrześcijański, mimo iż został zbudowany na trwałym fundamencie, zarysował się tu i ówdzie na skutek wielowiekowych, burzliwych niekiedy dziejów. Mówiąc w bardziej obrazowy sposób, fundament jest niewzruszony i niezniszczalny, gdyż jest dziełem samego Boga. Tylko ci, którzy na nim budują, nie zawsze są zgodni w działaniu, a to pociąga za sobą określone skutki, jak mówi o tym Paweł w *Liście do Koryntian*: „A czy ktoś na tym fundamencie wznosi budowę ze złota, srebra, drogich kamieni, z drewna, siana, słomy, to wyjdzie na jaw w jego dziele: dzień sądny bowiem to pokaże, gdyż w ogniu się objawi, a jakie jest dzieło każdego, wypróbuje ogień” (1 Kor 3,13).

Nie można jednak biernie oczekiwać, aż nastąpi ta ogniowa próba. Lepiej zawczasu starajmy się postępować zgodnie z wolą Bożą. A jak ten stan osiągnąć? Tego właśnie uczy Jezus w *Kazaniu na górze*. On chce, abyśmy Go słuchali i czynili to, co nam przykazał. Niestety, ludzie często nie słuchają Jezusa albo mają błędne pojęcie o tym, co powiedział. W każdą niedzielę i święto gromadzą się wierni w naszych kościołach i słuchają Ewangelii. Wiemy, czego uczy Jezus, a jednak tak mało czynimy, aby Jego boską naukę wcielać w życie.

O tym, jak wielką wagę przywiązywał Jezus do słuchania i przestrzegania Jego słów, świadczy Jego wypowiedź zapisana w *Ewangelii Łukasza*. Jest tam mowa o tym, jak matka Jezusa i jego bracia chcieli się z Nim widzieć, a Jezus odpowiedział im: „*Matką moją i braćmi moimi są ci, którzy słuchaj*

Słowa Bożego i wypełniają je” (Łk 8,21). Jezus, od tych, którzy przyjęli Jego Słowo, domagał się czynów i według nich oceniał ludzi.

Władza ma znaczenie tylko wtedy, gdy przeobraża się w działanie. Ktoś może znać historię Kościoła chrześcijańskiego i etykę chrześcijańską, a jednak nie być chrześcijaninem. To tak, jakby ktoś poszedł do lekarza, wysłuchał jego zaleceń, ale nie zastosował się do nich. Podobnie niewiele da człowiekowi odwiedzenie rzeczoznawcy, jeśli nie zastosuje się do jego rady. Jeżeli naprawdę chcemy być naśladowcami Jezusa Chrystusa, to winniśmy nie tylko słuchać Jego nauki, ale również czynić to, co nakazał swoim uczniom. Życie ugruntowane na posłuszeństwie względem Jezusa jest bezpieczne, bez względu na to, jakie burze i nawałnice uderzą w nasz dom.

Ciągle jesteśmy świadkami i uczestnikami różnego rodzaju doświadczeń, prób i przełomów dziejowych, które nie omijają naszego kraju. Ten nasz wspólny dom też chwieje się i drży w posadach, bo nie jest zbudowany na zbyt mocnym fundamencie.

Zmienne bywają losy narodów, jak o tym świadczy choćby historia narodu izraelskiego. Państwo izraelskie przeżywało swoje chwile świetności za panowania takich królów, jak Dawid czy Salomon. Ale Izrael odwrócił się od jedyne go, prawdziwego Boga i oddawał cześć bóstwom. Wówczas Bóg ukarał ten naród, który sobie upodobał. Nastąpił czterdziestoletni okres niewoli babilońskiej.

Wśród tych, którzy oddawali cześć obcym bogom, zachowała się jednak garstka ludzi, którzy pozostali wierni jednemu Bogu. Ich wiara sprawiła, że Pan zachował naród izraelski przed ostateczną zagładą. Historia powtórzyła się w czasie II wojny światowej, która stała się dla milionów Żydów w Europie prawdziwą hekatombą. Ale nie wszyscy zginęli. Raz jeszcze Bóg wyciągnął swoją dłoń, aby błogosławić swemu ludowi.

To samo czyni z ludem Nowego Przymierza, którego jedynym pośrednikiem i zbawicielem jest Jezus Chrystus. On jest przedziwną opoką swego Kościoła, On daje nam pewność przetrwania w tym domu, którego nie przemogą moce piekielne. Dlatego trzymajmy się mocno tej nadziei, mając jedynie oparcie w Tym, który był, jest i będzie: *„Jezus Chrystus, wczoraj i dziś, ten sam i na wieki”* (Hbr 13,8).

Amen.

czerwiec 1992 r.

Nasza misja

1. Niedziela po Wielkanocy

I rzekł im: Idąc na cały świat, głoscie ewangelię wszystkiemu stworzeniu. Kto uwierzy i ochrzczony zostanie, będzie zbawiony, ale kto nie uwierzy, będzie potępiony. A takie znaki będą towarzyszyły tym, którzy uwierzyli: w imieniu moim demony wyganiać będą, nowymi językami mówić będą, węże brać będą, a choćby coś trującego wypili, nie zaszkodzi im. Na chorych ręce kłaść będą, a ci wyzdrowieją. A gdy Pan Jezus to do nich powiedział, został wzięty w górę do nieba i usiadł po prawicy Boga. Oni zaś poszli i wszędzie kazali, a Pan im pomagał i potwierdzał ich słowo znakami, które mu towarzyszyły.

Mk 16,15-20

Dopóki Jezus przebywał z uczniami i prowadził ich ze sobą, podążali za Nim wszędzie aż do chwili, gdy zdradzony i wydany w ręce prześladowców, został ukrzyżowany i złożony w grobie. Żal i bojaźń po śmierci Mistrza osłabiły ich wiarę do tego stopnia, że nie mogli uwierzyć i pojąć, że Jezus zmartwychwstał i żyje. Przez swoje zmartwychwstanie i ukazanie się uczniom, Jezus ostatecznie dowiódł, że jest ponad tym światem, który dla człowieka jest wymierny i skończony.

Rozkaz misyjny Jezusa Chrystusa dany uczniom zapoczątkował nowy etap w dziejach ludzkości. Chrystus zmartwychwstały jest obecny w świecie – mimo iż niewidzialny – a wieść o tym ogarnia narody całej ziemi. Ten uniwersalny charakter poselstwa Bożego skierowany do świata w Jezusie Chrystusie jest centralnym punktem zwiastowania w Kościele chrześcijański. Zmartwychwstały Pan, ukazując się uczniom po raz ostatni na tej ziemi, określił zadanie Kościoła, które my dziś, jako spadkobiercy obietnic Bożych, sprawujemy. Misja, którą jako chrześcijanie mamy do spełnienia w świecie, oparta jest na potrójnym fundamencie:

1. przyjęciu zapewnienia o mocy Bożej Jezusa Chrystusa,
2. spełnianiu poselstwa Chrystusowego,
3. pewności tego, że Pan i Zbawiciel zmartwychwstał.

Ukazanie się zmartwychwstałego Jezusa Chrystusa uczniom zostało potwierdzone Jego zapewnieniem: „*Dana mi jest wszelka moc na niebie i na ziemi*” (Mt 28,18). Ta moc, która nie ma sobie równej, prowadzi do Boga, Ten zaś sprawił, że Jego jednorodzony Syn przekroczył barierę śmierci, będącej kresem życia każdego człowieka. Syn Boży od dnia swoich narodzin aż do chwili, w której wzięty został do nieba, był wyposażony w tę moc. A to, że uległ wobec przemocy ludzi, którzy targnęli się na Jego życie, nie oznaczało porażki. Pamiętamy przecież, co powiedział do Piłata, który usiłował wypuścić Go na wolność: „*Nie miałbyś żadnej władzy nade mną, gdyby ci to nie było dane z góry*” (J 19,11).

Kiedy patrzymy na to wszystko, co dzieje się na świecie, jak ludzie potrafią wzajemnie zadawać sobie cierpienia i pozbawiać życia, to mimo woli rodzi się pytanie: Czy Bóg to wszystko widzi, a jeśli tak, to dlaczego na to pozwala? Czyżby Bóg nie miał mocy, aby położyć kres nienawiści ludzkiej? Wiadomo, że przyczyną wszelkiego zła jest grzech, który choć pleniony, odradza się na nowo w sercu człowieka. I nie jesteśmy w stanie skutecznie zwalczyć go do końca. Tylko Chrystus mógł przeciwstawić się grzechowi i wziąć na siebie nasze winy, jak o tym pisze apostoł Paweł w *Liście do Koryntian*: „*Chrystus umarł za grzechy nasze (...) został pogrzebany i dnia trzeciego zmartwychwstał*” (1Kor 15,3 i 4). W tym dziele odkupienia objawiła się pełnia Bożej mocy.

Przekonani o zbawczej mocy Jezusa Chrystusa, uczniowie otrzymali od swego Pana i Zbawiciela polecenie, by głosić Ewangelię całemu światu. Nietatwe to było wówczas zadanie i uczniowie nie wiedzieli, jak mają temu sprostać. A czy my dziś, u końca drugiego tysiąclecia istnienia chrześcijaństwa, potrafimy skutecznie głosić ludziom Ewangelię? Cóż z tego, że rozbrzmiewa ona w wielu kościołach, skoro nie znajduje odzewu w sercach ludzi? Zgodnie z poleceniem naszego Pana, Jezusa Chrystusa, staramy się krzewić wiarę i przez Chrztę Święty przyjmujemy do Kościoła wierzących, aby byli zbawieni. W wielkiej masie ludzkiej religia chrześcijańska jest tylko niewielką częścią, a spośród tych, którzy zostali ochrzczeni, nie wszyscy dochodzą do pełni wiary. Tak zwani nominalni chrześcijanie żyją pośród nas, ale ich wiara jest martwa.

Cóż więc mamy czynić, by prowadzić ludzi do Chrystusa i utwierdzać ich, przekonaniu o skuteczności Bożej mocy? Kiedyś uczniowie pytali o to Jezusa, a On im odpowiedział w przypowieści *O pszenicy i kąkolu*. Dał też wykładnię tego podobieństwa, określając świat jako rolę, na której

wysiewa się dobre ziarno – „Synów Królestwa” i kąkol – „Synów złego”. Jezus powiedział wówczas „Pozwólcie obydwom rosnąć aż do żniwa (...) a następnie (...) Zbierzcie najpierw kąkol i powiążcie go w snopki na spalenie, a pszenicę zwieźcie do mojej stodoły” (Mt 13,30). Z praktyki wiemy jednak, że „dobre nasienie” i „kąkol” są dziś tak przemieszane, że nie sposób ich od siebie oddzielić. Tak, to nie leży w mocy człowieka, ale Bóg jest w stanie to uczynić! Dzień Sądu Ostatecznego będzie tym dniem, w którym Bóg położy kres wszelkiej niesprawiedliwości. I wówczas – jak mówi Ewangelia – „Syn Człowieczy przyjdzie w chwale (...) i będą zgromadzone przed Nim wszystkie narody, i odłączy jedne od drugich, jak pasterz odłącza owce od kozłów” (Mt 28,18).

Uczniowie Jezusa nie mogą jednak biernie oczekiwać na dzień powtórnego przyjścia Syna Bożego. Mimo iż – jak czytamy w końcowych słowach Ewangelii – „Jezus został wzięty w górę do nieba i usiadł po prawicy Boga”, społeczność z nim nie została zerwana. Siedzący po prawicy Boga Ojca Syn jest w ścisłej łączności ze swym Kościołem na ziemi. A jak się ma ta prawda do sytuacji, w której my dziś żyjemy? Wiadomo przecież, że jako chrześcijanie jesteśmy podzieleni między sobą, i to nie tylko z racji przynależności do takiego czy innego wyznania. Te podziały są o wiele głębsze, one zaznaczają się w społeczeństwie, do którego należymy, w rodzinie chrześcijańskiej i w życiu każdego człowieka. To wszystko dokonuje się za sprawą ludzi, którzy potrafią zarówno nawiązywać, jak i zrywać łączące ich więzi. Ale nie da się podzielić Chrystusa, co najwyżej można podzielić Jego szaty, tak jak to uczynili żołnierze w dniu Jego śmierci na krzyżu Golgoty.

Dlatego zwracamy się bezpośrednio do Tego, który jest Panem żywych i umarłych. Kierujemy nasze serca i myśli do Jezusa Chrystusa zmarłych i wywyższonego na Bożą prawicę. Wierzymy, że tylko On, swoją mocą z wysokości, jest w stanie położyć kres podziałom i waśniom. Niech duch miłości i pokoju zaszczerpiony nam przez Jezusa Chrystusa, panuje nad nami teraz i po wieczne czasy.

Amen.

kwiecień 1996 r.

Ogień Bożej miłości

3. Niedziela przed Końcem Roku Kościelnego

Ogień przyszedłem rzucić na ziemię i jakżebym pragnął, aby już płonął. Chrztem mam być ochrzczony i jakże jestem udręczony, aż się to dopełni. Czy myślicie, że przyszedłem, by dać ziemi pokój? Bynajmniej, powiadam wam, raczej rozdwojenie. Odtąd bowiem pięciu w jednym domu będzie poróżnionych; trzej z dwoma, a dwaj z trzema; będą poróżnieni ojciec z synem, a syn z ojcem, matka z córką, a córka z matką, teściowa ze swą synową, a synowa z teściową.

Łk 12,49-53

Z opisu Ewangelii wiemy, że Jezus nauczał lud, używając często podobieństw i przykładów, którymi ilustrował prawdy dotyczące Królestwa Bożego. A mimo to nie zawsze rozumiano sens Jego wypowiedzi. Tak było i wówczas, gdy mówił o znamionach czasu, o swoim posłannictwie i o jego skutkach. Obie te wypowiedzi zanotował Ewangelista Łukasz. Ogień, który Jezus przyszedł rozniecić na ziemi, to żar płynący ze Słowa Bożego albo Duch Święty działający w duszy człowieka ogarniający cały Kościół chrześcijański. Pragnieniem Jezusa było, aby ten ogień ogarnął najpierw serca apostołów, a przez ich naukę wszystkich wierzących w Boga. Zanim jednak do tego doszło, Jezus musiał sam poddać się działaniu „chrztu”, co oznaczało w tym przypadku przejście przez mękę i śmierć krzyżową. Ale śmierć Jezusa Chrystusa na krzyżu stanowiła odkupienie grzesznej ludzkości. To zbawcze działanie zapoczątkowało drogę i rozwój Kościoła chrześcijańskiego na świecie. Nie wszyscy ludzie przyjęli tę prawdę i z tego wyniknęły podziały trwające po dziś dzień. Jako pierwszy doświadczył tego naród izraelski, z którego wywodził się Jezus. Jedni

opowiedzieli się za Nim jako zapowiedzianym przez proroków Mesjaszem, drudzy – przeciwko Niemu. Stało się więc to, co w swej proroczej wizji oglądał i przepowiedział o Jezusie bogobojny starzec Symeon: „*Oto ten przeznaczony jest, aby przezeń upadło i powstało wielu w Izraelu i aby był znakiem, któremu się sprzeciwiać będą*” (Łk 2,34).

Droga, jaką przeszło chrześcijaństwo od tamtych czasów, to kolejne podziały i rozdzielenie, o którym mówił Jezus. Ale Pan miał na myśli nie tyle podziały między chrześcijanami, co rozłam wśród ludzi sobie bliskich, nie wyłączając rodzin. Uczniowie Jezusa też byli początkowo jedną rodziną złączoną w miłości na dobre i złe. Oni wiedzieli, że Pan oczekiwał od nich gotowości opowiedzenia się po Jego stronie, niezależnie od trudności, które mogą być z tym związane.

Jezus i dziś oczekuje od nas jako swych uczniów, wyraźnego opowiedzenia się za Nim jako jedynym Panem i Zbawicielem. Zdajemy sobie jednak sprawę z tego, że żyjemy w świecie nastawionym wrogo lub obojętnie do Chrystusa. Tym, co nas zniewala i odwodzi od Chrystusa, jest nie tylko zagrożenie z zewnątrz, ze strony niewierzących. O wiele większym niebezpieczeństwem jest grzech, który rodzi się w sercach i stara się nami zawładnąć. W efekcie zamiast służyć Bogu, „oddajemy nasze członki” – jak pisze apostoł Paweł w *Liście do Rzymian* – „w służbę nieczystości i nieprawości” (Rz 6,19).

Izraelici usiłowali oczyścić swoje sumienie przy pomocy składanych Bogu ofiar całopalnych. Bóg jednak przejrzał ich postępowanie i potępił, mówiąc przez proroka: „*Wasze winy są tym, co Was odłączyło od Waszego Boga, a Wasze grzechy zastoniły przed Wami Jego oblicze(...) wasze dłonie są splamione krwią, a wasze palce winą; wasze wargi mówią kłamstwo, wasz język szepce przewrotność*” (Iz 59,2,3). A czego mogą oczekiwać od Boga ludzie, którzy choć są chrześcijanami, znieważają Jego imię? Usiłujemy niekiedy zatrzeć nasze złe postępowanie praktykami religijnymi w postaci długotrwałych modłów czy postów. Ale czy to może stanowić zadośćuczynienie za popełnione przez nas grzechy? Chrystus Pan dobrze wiedział, jak przewrotny jest człowiek, dlatego powiedział w *Kazaniu na górze*: „*Nie każdy, kto do Mnie mówi: Panie, Panie, wejdzie do Królestwa Niebios; lecz tylko ten, kto pełni wolę ojca Mojego, który jest w niebie*” (Mt 7,21). Wydawać by się mogło, że ogień miłości zapalony niegdyś przez Chrystusa w sercach uczniów pokona złe moce, które osłabiają w nas Ducha Bożego. Wciąż jednak jesteśmy za daleko od tego źródła miłości i wiary w przewyciężanie zła. I nasz dom, którym jest Kościół chrześcijański, też jest miejscem poróżnienia między braćmi i siostrami. I do nas też, tak jak niegdyś do chrześcijan w Koryncie, apostoł Paweł

mógłby skierować te słowa: „Jeszcze bowiem cielesni jesteście. Bo skoro między wami są zazdrość i kłótnie, to czyż cielesni nie jesteście i czy na sposób ludzki nie postępujecie?” (1 Kor 3,3).

Wciąż jeszcze nasza wiara w Boga przesiąknięta jest specyficzną pobożnością, która nie pozwala nam wyjść poza obręb własnego wyznania i widzieć w drugim człowieku o innej formacji religijnej brata i siostrę w Chrystusie. Wielu chrześcijan nie może pogodzić się z tym, że Chrystus Pan nie ocenia ludzi według ich przynależności do grona luteran czy prawosławnych. Wszyscy jesteśmy grzesznikami zasługującymi na doczesne i wieczne kary, a jedynym, który gładzi nasze grzechy, jest Jezus Chrystus. Jego łaska i miłość sprawiają, że możemy się ostać przed obliczem Boga, którego mamy prawo nazywać Ojcem.

Dlatego zwracajmy nasze myśli i serca ku Niemu. Niech ten ogień Bożej miłości wypala w nas to, co jest złe; niech nie będzie między nami rozdwojenia i poróżnienia, które zakrada się tak często do naszych serc i do naszych domów.

Idźmy drogą, którą Bóg wskazał nam w swoim Synu i niech te słowa apostoła Pawła, będące wezwaniem do jedności, staną się naszą dewizą: „*Jeden Pan, jedna wiara, jeden chrzest, Jeden Bóg i Ojciec wszystkich, który jest ponad wszystkimi, przez wszystkich i we wszystkich*” (Ef 4, 5-6).

Amen.

październik 1998 r.

Impulsy Święta Żniw

Dziękczynne Święto Żniw

A powiadam: Kto sieje skąpo, skąpo też żąć będzie, a kto sieje obficie, obficie też żąć będzie. Każdy, tak jak sobie postanowił w sercu, nie z żalem albo z przymusu; gdyż ochotnego dawcę Bóg miłuje. A władny jest Bóg udzielić wam obficie wszelkiej łaski, abyście, mając zawsze wszystkiego pod dostatkiem, mogli hojnie łożyć na wszelką dobrą sprawę, jak napisano: Szczodrze rozdaje, udziela ubogim, Sprawiedliwość jego trwa na wieki. A ten, który daje ziarno siewcy i chleb na pokarm, da i pomnoży zasiew wasz, i przysporzy owoców sprawiedliwości waszej; a tak ubogaceni we wszystko będziecie mogli okazywać wszelką szczodrobliwość, która za naszym przyczynieniem pobudza do dziękczynienia Bogu (...) Bogu niech będą dzięki za niewysłowiony dar jego.

2 Kor 9,6-11.15

Tylko raz w roku obchodzimy w naszym kościele Dziękczynne Święto Żniw. Chcemy w ten sposób wyrazić wdzięczność Bogu za wszystko, co nam w ciągu minionego roku ofiarował. Ale czy postępując tak możemy uważać, że spełniliśmy nasz obowiązek i spłaciliśmy dług wdzięczności wobec Boga? Nie wystarczy wiedzieć o tym, że Bóg jest dawcą wszelkich darów. Z tym związane jest również nasze życie według zasad przez Niego ustalonych. Apostoł Paweł uświadamia nam, jak ważną rolę odgrywa w życiu chrześcijan umiejętne korzystanie z posiadanego bogactwa. Nie tylko gromadzenie, lecz i dzielenie się nagromadzonymi dobrami.

Można powiedzieć, że podział dóbr doczesnych wypływa z poczucia wspólnoty i solidarności między ludźmi. Przecież bogate państwa pomagają biednym. Istnieją różnego rodzaju organizacje społeczne, humanitarne, dzięki którym udzielana jest pomoc potrzebującym. To prawda. Ale to nie zmienia faktu, że jako chrześcijanie jesteśmy zobligowani do działania z innych pobudek. Wyrazem wspólnoty chrześcijan, o której pisze Paweł,

było zebranie i przekazanie kolekty w zborze korynckim dla wyznawców w Jerozolimie.

My, w naszych kościołach, też zbieramy kolekty na różne cele i przekazujemy je ludziom będącym w potrzebie. Sami niejednokrotnie też korzystamy z takiej czy innej formy pomocy. Jesteśmy zatem włączeni jakby do krwioobiegu tego systemu, w którym żyje i działa Kościół Jezusa Chrystusa. Musimy sobie zatem uświadomić, jak działa ten system:

1. Kto jest faktycznym dawcą, a kto biorcą?
2. Czy spełniamy wymogi stawiane nam przez Boga i jak to się dzieje?
3. Co sprawia takie postępowanie?

Wydawać by się mogło, że łatwo odpowiedzieć na te pytania, ale znacznie trudniej jest realizować w praktyce to, o czym mówi Bóg.

Na świecie panuje przekonanie, że to, co ludzie posiadają i określają mianem swojej własności, zawdzięczają pracowitości rąk i umysłóm. Ten ideał pracy uczciwej i sumiennej jest nam, ewangelikom, znany i praktykowany nie od dziś. Nie możemy jednak zapomnieć o tym, że Bóg jest faktycznym sprawcą tego wszystkiego, czym my dysponujemy. On nie tylko daje nam ziarno i chleb na pokarm, lecz „pomnaża” i „ubogaca”. Nasza pilność, pomysłowość, wytrwałość w dążeniu do wyznaczonego celu, są następstwem otrzymanego od Boga impulsu. Podobieństwo Jezusa o talentach jest wymownym tego dowodem. Nie można marnować powierzonych nam talentów, lecz należy je pomnażać. I jest rzeczą samą przez się zrozumiałą, że mając dary, potrafimy z nich zrobić właściwy użytek. To nie my – lecz Bóg – jak o tym świadczy dobitnie Paweł: „*Nie jakobyśmy byli zdolni pomyśleć, coś sami z siebie, lecz zdolność nasza jest z Boga*” (2 Kor 3,5).

Musimy liczyć się też z tym, że ręka Boża nie zawsze okaże się dla nas szczodra. Bywa i tak, że Bóg doświadcza nas i wystawia na różne próby. Tak było w życiu bogobojnego człowieka, jakim był biblijny Hiob. Pamiętamy, jak w chwili największego poniżenia i bólu zawołał: „*Pan dał, Pan wziął, niech będzie imię Pańskie błogosławione*” (Hi 1,21). Mając to przeświadczenie, że wszystko, co posiadamy, zawdzięczamy Bogu, winniśmy za wszystko Mu dziękować.

Pastor F. Bodelschwing powiedział kiedyś: „Jeśli słuchamy Słowa Bożego i wykonujemy Jego dzieła, wówczas całe nasze życie jest niekończącym się świętem dziękczynnym”.

Uświadomienie sobie, że Bóg jest dawcą, a my biorcami, prowadzi do zastanowienia się nad tym, co mamy czynić z powierzonymi darami? W tekście biblijnym czytamy: „*Ochotnego dawcę Bóg miłuje*”. Jest to zapewnienie, a zarazem wezwanie, byśmy otrzymane od Boga dary przekazywali innym ludziom – naszym bliźnim. Nasze ręce i nasze serca nie mogą być zamknięte.

Gromadzenie dóbr tylko na własny użytek nie daje się pogodzić z chrześcijańskim postępowaniem. A jednak znamy wiele przykładów marnotrawstwa połączonego z chciwością i chęcią posiadania wszystkiego. Jest takie opowiadanie, legenda o człowieku, który był bardzo bogaty i gdy umierał, poprosił dzieci, żeby mu włożyły do trumny sakiewkę z pieniędzmi. Kiedy umarł, spełniono jego życzenie, a gdy znalazł się na tamtym świecie, zobaczył stół zastawiony wspaniałymi potrawami. Pomyślał wówczas, że będzie mógł sobie to kupić. Ale jakie było jego zdziwienie, kiedy ukazał mu się anioł i powiedział, że tu się płaci pieniędzmi, które człowiek ofiarował za życia innym. Niestety, on nie miał takich pieniędzy i został strącony do piekieł.

Człowiek, który potrafi ofiarować coś innym ludziom ze szczerego serca, doznaje radości nie mniejszej niż obdarowany. I nie chodzi wcale o wielkość daru, lecz nastawienie: „*nie z żalem albo z przymusu*”. Znamy z ewangelii przykład Jezusa o ubogiej wdowie, która wrzuciła do skarbonki z ofiarami jeden grosz, ale to było wszystko, co posiadała. Nie można tego przykładu traktować dosłownie, Bogu z pewnością nie chodzi o to, byśmy stali się nędzarcami, lecz byśmy mieli otwarte ręce i współczujące serca tam, gdzie jest taka potrzeba.

Będąc szczerze obdarowanymi przez Boga nie możemy zapominać o naszych siostrach i braciach w wierze. Nasza ofiarność ma mieć nie tylko charakter zadośćuczynienia. Każdy złożony dar to potwierdzenie, że miłujemy Boga, bliźnich; to przejaw wspólnoty z tymi, którzy wielbią Boga i oddają mu cześć. Nasze życie winno być nieustającą modlitwą dziękczynną za wszelkie dobrodziejstwa, za dary dla ciała i ducha.

Dziękujemy Bogu za nasz chleb powszedni, to jest za wszystko, co służy zaspokojeniu potrzeb ciała. Nade wszystko jednak winniśmy dziękować Bogu za dary duchowe: za to, że w Jezusie Chrystusie zapewnił nam zbawienie i życie wieczne.

Dzięki Jezusowi Chrystusowi zostaliśmy powołani do społeczności wielkiej rodziny Bożej. Mamy tę świadomość, że zostaliśmy zrodzeni cieleśnie i duchowo. Każdy z nas winien wzrastać w łasce i poznaniu Boga, a to znaczy czerpać z tej skarbnicy wszelkiego dobra i przynosić owoce. Owoce Bożego błogosławieństwa, odnoszące się do dóbr materialnych, możemy oglądać i spożywać w tym życiu. Ale kiedyś będziemy zbierać owoce, które dojrzewają w ciągu całego naszego życia. Dlatego, jak pisze apostoł Paweł: „*A czynić dobrze nie ustawajmy, albowiem we właściwym czasie żąć będziemy bez znużenia*” (Ga 6,9).

Amen.

4 października 1998 r.

Próba wiary

Niedziela *Judaica*

Po tych wydarzeniach wystawił Bóg Abrahama na próbę i rzekł (...) Weź syna swego, jedynaka swego, Izaaka, którego miłujesz, i udaj się do kraju Moria, i złoż go tam w ofierze całopalnej na jednej z gór, o której ci powiem. (...) A ten odpowiedział: Oto jestem, synu mój! I rzekł: [Izaak] Oto ogień i drwa, a gdzie jest jagnię na całopalenie? Abraham odpowiedział: Bóg upatrzy sobie jagnię na całopalenie, synu mój. (...) Potem związał syna swego Izaaka i położył go na ołtarzu na drwach. I wyciągnął Abraham swoją rękę, i wziął nóż, aby zabić syna swego. Lecz anioł Pański zawołał nań z nieba i rzekł: Abrahamie! Abrahamie! A on rzekł: Otom ja! I rzekł: Nie podnoś ręki na chłopca i nie czyni mu nic, bo teraz wiem, że boisz się Boga, gdyż nie wzbraniałeś się ofiarować mi jedynego syna swego. A gdy Abraham podniósł oczy, ujrzał za sobą barana, który rogami uwikłał się w krzakach. Poszedł tedy Abraham, a wziąwszy barana, złożył go na całopalenie zamiast syna swego.

1 Mż 22,1-13

Kiedy wymawiamy słowa Modlitwy Pańskiej „nie wódz nas na pokuszenie” nie zastanawiamy się na ogół nad ich znaczeniem. Marcin Luter w objaśnieniach do szóstej prośby *Małego katechizmu* pisze: „Bóg nikogo wprawdzie nie kusi, lecz prosimy w tej modlitwie, aby nas Bóg raczył ustrzec i zachować, żeby nas szatan i ciało nasze nie oszukiwały ani też nie uwodziły w błędną wiarę”.

Jednak patrząc wstecz i mając przed oczyma opisane w 1 *Księdze Mojżeszowej* wydarzenie, trudno się oprzeć przekonaniu, że Bóg może kusić człowieka. Zdają się o tym świadczyć słowa: „Wystawił Bóg Abrahama na próbę”. Znamy dobrze to opowiadanie z dzieciństwa i wiemy, że Izaak nie został złożony w ofierze. Tymczasem dla Abrahama było to prawdziwe doświadczenie. Bóg postawił przed nim na jednej szali

autorytet swego Słowa, a na drugiej miłość ojca do jedynego syna. Abraham, który do tej pory bezwzględnie ufał Bogu, musiał teraz zmagać się z samym sobą. Czy Bóg rzeczywiście żądał od niego takiej ofiary? Tak. Podobnie jak to miało miejsce w przypadku bogobojnego człowieka, jakim był Hiob. W obu przypadkach ofiara była oparta na posłuszeństwie względem Boga i poddaniu się Jego woli.

I my również musimy stawiać sobie to pytanie: Jak żyć i postępować zgodnie z Bożą wolą? Całe nasze życie winno być podporządkowane tej prawdzie: „Powinniśmy Boga bać się, miłować Go i ufać Mu”.

Bojaźń Boża jest dziś pojęciem mało popularnym. Ludzie boją się: o swoje bezpieczeństwo, chorób, cierpienie, prześladowań, wojen i śmierci. Martwią się, co stanie się z tym wszystkim, co człowiek zdołał nagromadzić w tym życiu. Jednym słowem, nasze myśli obracają się wokół spraw czysto ziemskich.

W tej sytuacji bojaźń wobec Boga i troska o spełnianie Jego przykazań schodzą na plan dalszy, jeśli w ogóle mają miejsce w życiu człowieka.

W życiu Abrahama ta troska była zawsze na pierwszym miejscu. Abraham był od początku poddawany woli Boga i ufał Mu bezgranicznie. Jako starszy człowiek opuścił ojcowski dom i udał się do ziemi, którą mu wskazał Bóg. Zarówno Abraham, jak i jego żona Sara otrzymali obietnicę o potomku, prawowitym dziedzicu, jakim miał się stać Izaak. I choć Sara z powątpiewaniem przyjęła tę zapowiedź, Bóg spełnił to, co obiecał. Tym boleśniej musiał odczuć Abraham, że Bóg zażądał od niego złożenia w ofierze upragnionego syna.

Abraham jednak nie zbuntował się przeciwko Bogu lecz poszedł drogą posłuszeństwa. I w tej – zdawałoby się beznadziejnej sytuacji – nie utracił nadziei. Bojaźń i posłuszeństwo wobec Boga okazały się silniejsze niż miłość do syna. I choć z bolejącym sercem, lecz nieświadomy tego, co nastąpi, odpowiedział synowi, który pytał o baranka na ofiarę: „Bóg upatrzył sobie jagnię na całopalenie”.

Mówiąc o bojaźni Bożej, musimy mieć przede wszystkim na uwadze posłuszeństwo wobec Niego. Każdy z nas może znaleźć się w sytuacji, która wydawać się będzie beznadziejna. Wówczas może pojawić się pytanie: Dlaczego Bóg tak ze mną postępuje? Czyżbym był igraszką w Jego rękę? Nie. Bóg nikogo nie kusi, lecz poddaje próbie naszą wiarę w Niego.

Mamy Boga miłować z całego serca, a to znaczy być Mu za wszystko wdzięczni. Abraham był wdzięczny Bogu za to, że Bóg obdarował go synem. Wyrazem tej wdzięczności były ofiary dziękczynne. Ale ofiarować Bogu jedynego syna, który był nadzieją Abrahama w jego starości, gdy

być może wkrótce będzie musiał zejść z tego świata? Tego się nie spodziewał i nie potrafił znaleźć właściwej odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak ma być. Pozostało przekonanie, że skoro Bóg zażądał tej ofiary, to tak być musi. Zanim to miało nastąpić, Abraham złożył w swym sercu ofiarę ze swego syna. Podobnie zareagował Hiob wyznając: „*Pan dał, Pan wziął, niech będzie imię Pańskie błogosławione*” (Hi 1,21).

A jak reagujemy my, ilekroć z takich czy innych powodów musimy poświęcić Bogu to, co stanowi o naszej radości i przywiązaniu? Z jakim uczuciem rodzice żegnają swoich synów podczas wojny, gdy rozstają się z nimi? Przecież nie zawsze wszyscy powrócą szczęśliwie. I choć nie są to ofiary składane Bogu, lecz na użytek bliźnich, to jednak żal wypełnia bez reszty serca matek i ojców, którzy utracili swe dzieci. Bóg jednak kieruje losem człowieka nawet wówczas, gdy zabiera nam naszych bliskich, obdarowuje nowym życiem. O tym nie wiedział wówczas Abraham.

A Jezus Chrystus, kiedy szedł drogą cierpienia i wstąpił na drogę śmierci też, jako człowiek, zadawał sobie pytanie: Czy muszę umrzeć? Ale pamiętamy również Jego modlitwę w ogrodzie Getsemane, gdzie mówił: „*Ojcie mój, jeśli można, niech mnie ten kielich minie; wszakże nie jako ja chcę, ale jako Ty*” (Mt 26,39). Bóg potwierdził konieczność ofiary swego Syna. I dzięki niej mamy przed sobą drogę wiodącą do nowego życia.

Winniśmy Bogu nade wszystko ufać – to znaczy, że mamy mieć w Nim nadzieję, która nie zawodzi. Tak właśnie uczynił Abraham, który zwracając się do sług powiedział: „*Zostańcie tutaj, a ja i chłopiec pójdziemy tam, a gdy się pomodlimy, wrócimy do was*”. Wbrew nadziei uwierzył Abraham Bogu i zaufał Mu do końca. „*Bóg upatrzył sobie jagnię na całopalenie*” – i tak się stało. Baranek został złożony w ofierze zastępczej. Wiara, miłość i nadzieja nie zawiodły.

To, co Bóg uczynił dla Abrahama, w ostatniej chwili, dokonało się raz jeden – Bóg oszczędził jego syna Izaaka. Tego nie uczynił dla swego jednorodzonego Syna, Jezusa Chrystusa. Jego ofiara musiała być spełniona, abyśmy, grzeszni, mogli powstać do nowego życia. To była zapłata za grzechy, aby zwyciężyć śmierć. To też wydaje się niepojęte dla rozumu ludzkiego, ale jest pewnością dla wierzących, miłujących Boga i ufających Mu.

Amen.

21 marca 1999 r.

Bóg pragnie mieć pasterzy

Niedziela *Misericordias Domini*

I doszło mnie słowo Pana tej treści: Synu człowieczy, prorokuj przeciwko pasterzom Izraela, prorokuj i powiedz im: Pasterze! Tak mówi Wszechmocny Pan: Biada pasterzom Izraela, którzy sami siebie paśli! Czy pasterze nie powinni raczej paść trzody?

Ez 34,1-2

Izraelici szczycili się niegdyś tym, że byli narodem wybranym przez Boga; że wierzą w jedyne Boga, stwórcę nieba i ziemi, i nie oddają czci bóstwom tak, jak to czyniły narody pogańskie.

Mając za podstawę Dziesięcioro przykazań i przepisy prawa Mojżeszowego chlubili się tym, że postępują sprawiedliwie i mogą być autorytetem moralnym dla pogańskich ludów. Z opisów biblijnych wiemy jednak, że nie zawsze i nie wszędzie przestrzegano Bożych przykazań. Wówczas Bóg niejednokrotnie przypominał swojemu ludowi, że zszedł z właściwej drogi, napominał go i groził karą.

Tak mówił Bóg przez proroka Izajasza: „*Ponieważ ten lud zbliża się do mnie swoimi ustami i czci mnie swoimi wargami, a jego serce jest daleko ode mnie (...) Dlatego też Ja będę nadal dziwnie postępował z tym ludem*” (Iz 29,13-14). I oto te słowa stały się rzeczywistością. Naród izraelski został podbity i uprowadzony do niewoli babilońskiej, a jego pasterze uwięzieni.

Świątynia jerozolimska, to centrum kultu religijnego, legła w gruzach, a mieszkańcy Jerozolimy pozbawieni zostali swego miasta i skazani na tułaczkę. W kraju zapanował terror, a ci, którzy nauczali innych, podzielili los wygnańców.

Mimo woli nasuwa się tu porównanie z tym, co działo się w okresie II wojny światowej w Polsce i na świecie, i co dziś dzieje się w Kosowie i Jugosławii. Wojna, ten straszny kataklizm, kładzie kres najbardziej szczytnym ideom i przeobraża ludzkie dążenia ku pokojowi w paniczny strach przed tym, co

będzie dalej. Tak było właśnie w Izraelu. Wrogowie tryumfowali, niszcząc miejscową ludność i plądrując świątynię, a jej święte naczynia bezczeszcząc. I wówczas ludzie zaczęli pytać: dlaczego tak się stało? Odpowiedzią były słowa proroka Ezechiela: *„Biada pasterzom Izraela, którzy sami siebie paśli”*.

Podobnie było i w czasach Jezusa, kiedy faryzeusze i uczeni w piśmie zmuszali ludzi do bezwzględnego posłuszeństwa i poszanowania prawa Mojżeszowego, a sami nie przestrzegali go. Jezus jednak przejrzał ich dobrze i dlatego powiedział: *„Biada wam uczeni w Piśmie i faryzeusze, obłudnicy, że podobni jesteście do grobów pobielanych, które na zewnątrz wyglądają pięknie, ale wewnątrz są pełne trupich kości i wszelkiej nieczystości. Tak i wy na zewnątrz wydajecie się ludziom sprawiedliwi, wewnątrz zaś jesteście pełni obłudy i bezprawia”* (Mt 23,27-28).

Podobnych wypowiedzi Jezusa należałoby przytoczyć więcej. Jedno jest pewne – ludzie, którym powierzono zadanie, by nauczali i prowadzili lud do Boga, zawiedli i nie sprostali Bożym wymogom. Tak było w przeszłości, ale i dziś pasterze ludu – nie tylko ci, którzy głoszą Słowo Boże – ale też nauczyciele, wychowawcy i politycy nie zawsze spełniają właściwie swój urząd.

Właściwie każdy człowiek odpowiedzialny jest w swoim środowisku – w mniejszym lub większym stopniu – za tych, którzy powierzeni zostali jego pieczy. Rodzice i rodzice chrzestni również ponoszą odpowiedzialność za swoje dzieci. Od nich, w dużej mierze, zależy przyszłość ich dzieci i wnuków, które wynoszą z domu rodzinnego to, co im zostało przekazane. To samo odnosi się do wszelkiego rodzaju instytucji kościelnych, rad parafialnych, diecezjalnych i innych gremiów kościelnych.

Warto więc postawić sobie pytanie: Czy jako pasterz spełniam dobrze swoje zadanie, czy też tylko stwarzam pozory, że postępuję właściwie? Nietrudno jest odróżnić prawdziwego pasterza od takiego, który ma na uwadze tylko swój interes. Dobry pasterz ma przede wszystkim na względzie dobro powierzonych mu owiec. I znów możemy się posłużyć przykładem zaczerpniętym z Ewangelii. Sam Jezus jest przykładem dobrego pasterza, jak świadczą o tym Jego słowa: *„Ja jestem dobry pasterz. Dobry pasterz życie swoje kładzie za owce. Najemnik, który nie jest pasterzem, do którego owce nie należą, widząc wilka nadchodzącego, porzuca owce i ucieka, a wilk porywa je i rozprasza”* (J 10,11-12).

Jezus nie tylko mówił o sobie w taki sposób, lecz potwierdził to swoim życiem. On poświęcił się dla grzeszników i celników, dla chorych i ułomnych, dla faryzeuszy i uczonych w Piśmie, dla Żydów i Greków. Tę prawdę poznał i rozumiał Wielki Apostoł, który w *Liście do Rzymian* tak pisze: *„Usprawiedliwieni tedy z wiary, pokój mamy z Bogiem przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, dzięki któremu też mamy dostęp przez wiarę do tej łaski, w której stoimy i chlubimy się nadzieją chwały Bożej”* (Rz 5,1-2).

Jezus jest więc jedynym, którego Bóg uznał za godnego Pasterza owiec, którego trzodę stanowimy. To dzięki Niemu Bóg okazał nam, grzesznym, swoje miłosierdzie, jak o tym głosi nazwa niedzieli *Misericordias Domini* (Miłosierdzie Pana), która wzywa nas do wstąpienia w ślady Jezusa, Dobrego Pasterza.

Bóg dziś pragnie mieć pasterzy, którzy będą posłuszni Jego woli. Za ich pośrednictwem chce rządzić światem. I nie znaczy to, że mamy być ludźmi pozbawionymi woli. Bóg chce nas prowadzić do swego Królestwa, a zadaniem pasterzy jest wskazywać drogę do niego. I na tym polega rola chrześcijan, by wyrzekali się swoich korzyści dla dobra innych. Nie bójmy się tego, że jesteśmy słabi; nie jesteśmy pierwszymi, którzy wstępują w ślady Jezusa i chcą Mu służyć.

Potrzebna jest nam jako pasterzom pokora słabości, o której mówi Paweł, gdy nie bacząc na ułomności swego ciała zwraca się do Boga o pomoc i słyszy odpowiedź: „*Dosyć masz, gdy masz łaskę moją, albowiem pełnia mej mocy okazuje się w słabości*” (2 Kor 12,9).

Dowodem tego jest zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa, który chociaż cierpiał, był umęczony i zabity, ale zwyciężył śmierć, a Bóg wskrzesił Go z umarłych. Ta perspektywa nowego życia pozwala i nam, grzesznym i słabym ludziom, patrzeć z nadzieją w przyszłość.

Czasami może się wydawać, że będąc w służbie Pańskiej przez kilkanaście czy kilkadziesiąt lat, niewiele zdołaliśmy. Nie daliśmy ludziom tego wszystkiego, czego od nas oczekiwali. Nie naszą rzeczą jest jednak wydawać sąd o ludziach i krytycznie oceniać własne postępowanie. To Bóg w perspektywie wieczności oceni, czy byliśmy sługami pożytecznymi, czy też nie, czy nie zmarnowaliśmy powierzonych nam talentów.

Pamiętajmy o obietnicy Boga, który mówi: „*Ja sam będę pasł moje owce i Ja sam ułożę je na legowisku*”. Ta obietnica dotyczyła nie tylko ludu izraelskiego, rozproszonego przez obce narody. Ci wszyscy, którzy dochowali Bogu wierności i ich potomkowie, mogli wreszcie powrócić do ojczyzny. Na gruzach, w których legło ich święte miasto Jerozolima, wzniesli nowy dom – ludziom na pożytek, a Bogu na chwałę.

I my również żyjemy obietnicą, według której po życiu ziemskim nastąpi wejście do chwały Bożej – do wiekuistego Królestwa naszego Pana i Zbawiciela, Jezusa Chrystusa. I do nas dziś też odnoszą się te słowa: „*Moimi owcami jesteście, owcami mojego pastwiska, a Ja, jestem waszym Bogiem*” – mówi wszechmocny Pan.

Amen.

8 kwietnia 1999 r.

Szcześliwy epilog

Bracia Józefa, widząc, że umarł ojciec ich, mówili: Może Józef będzie teraz wrogo do nas usposobiony i odplaci nam sowicie, za wszystko zło, które mu wyrządziliśmy? Kazali więc Józefowi powiedzieć: Ojciec twój dał takie polecenie przed śmiercią. Tak powiedzcie Józefowi: Ach, przebacz braciom swoim ich występki i ich grzech oraz zło, którą ci wyrządzili. Odpuść przeto teraz występki sług Boga Ojca twego. I zapłakał Józef, gdy to mówiono do niego.

Potem przyszli bracia jego, upadli przed nim i rzekli: Sługami twoimi jesteśmy. A Józef rzekł do nich: Nie bójcie się! Czyż ja jestem na miejscu Boga? Wy wprawdzie knuliście zło przeciwko mnie, ale Bóg obrócił to dobro, chcąc uczynić to, co się dziś dzieje: zachować przy życiu liczny lud. Nie bójcie się więc. Ja będę utrzymywał was i dzieci wasze. Tak pocieszał ich i przyjaźnie z nimi rozmawiał.

1 Mż 50,15-21

Ostatni rozdział pierwszej księgi Mojżeszowej opowiada o Józefie i jego jedenastu braciach po śmierci ich ojca Jakuba. Jest to dobrze znana i piękna historia o Bożej miłości, i o postawach ludzi względem Boga oraz bliźnich.

Józef, niegdyś ulubieniec swego ojca, darzącego tego syna szczególną miłością, ściągnął na siebie zazdrość i gniew braci. Pałając uczuciem nienawiści, bracia omal nie popełnili zbrodni bratobójstwa. W końcu sprzedali go Izmaelitom, wędrownym kupcom, a Józef znalazł się w Egipcie. Tu przechodził różne koleje losu, ale Bóg był z nim i sprawił, że faraon wyniósł Józefa do godności najwyższego urzędnika, namiestnika Egiptu.

Znamy dalsze dzieje Józefa i jego zapobiegliwość, która uratowała Egipt przed klęską głodu. Szcześliwy epilog miał miejsce również w życiu Jakuba, który ujrzał swego ukochanego syna Józefa uważanego za nieżyjącego.

Bracia Józefa czuli się jednak winni i gdy umarł ich ojciec, sądzili, że teraz Józef zemści się na nich za popełnione czyny. Tak przecież bywa

między ludźmi, którzy doznawszy krzywdy niezapominają o niej, a kiedy nadarzy się okazja, mszczą się i odpłacają pięknym za nadobne.

Poczucie krzywdy i winy jawi się w całej rozciągłości na świecie. Nienawiść na tle rasowym, narodowościowymi oraz religijnym ciągle bierze górę nad przebaczeniem. Mamy jeszcze w pamięci wydarzenia z Kosowa, gdzie miejsca tragedii ludzi znaczą masowe groby pomordowanych i wciąż rosnące konflikty.

A czy nasze, polskie, społeczeństwo wolne jest od negatywnych skutków wzajemnych waśni i doznanych krzywd? Tymczasem można żyć inaczej, w zgodzie i miłości.

Pamiętna wizyta w naszym kraju papieża Jana Pawła II to przecież nieustanne apele o życie w pokoju, miłości i braterstwie. Skąd więc bierze się na świecie tyle zła i nienawiści między ludźmi?

Bracia Józefa nie byli do końca pewni, czy on zechce im przebaczyć i czy nie jest to tylko pozorna zgoda, by nie zasmucać starego ojca. Nie mogli pozbyć się obawy, że za wyrządzone przez nich krzywdy zostaną srodze ukarani. Dlatego nie mieli odwagi sami przyjść do Józefa, lecz prosili o wstawiennictwo kogoś, kto miał bezpośrednio dostęp do ich brata.

A czy i my nie postępujemy podobnie, nie szukamy mediatorów, którzy mogą wstawić się za nami? Ten brak odwagi i zaufania braci zasmucił Józefa. Uważał, że stanowią jedną rodzinę i nie muszą wspominać dawnych grzechów. Ale w nich odezwało się sumienie i żal za wyrządzone zło. Dlatego bali się sami prosić o przebaczenie. Reakcja Józefa przekonała ich jednak o szczerości jego uczuć, o tym, że nie żywi w stosunku do nich nienawiści, lecz pragnie przebaczyć i pojednać się z nimi. Dlatego w końcu zdobyli się na to, by stanąć przed nim i raz jeszcze prosić o przebaczenie. Teraz widzieli w nim nie tylko brata, lecz wielkorządcę, oświadczyli więc: „sługami twoimi jesteśmy”. W tym miejscu nasuwa się refleksja: czy do Boga, który jest naszym Ojcem, nie powinniśmy zwracać się bezpośrednio jako Jego dzieci? Czy mamy szukać pośrednictwa i wstawiennictwa, tak jak to czynią niektórzy?

Odpowiedź Józefa na prośbę braci była jednoznaczna i zdecydowana: „Nie bójcie się! Czyż ja jestem na miejscu Boga? Wprowadźcie ojciec nasz nie żyje, ale jesteśmy braćmi z jego krwi i kości. O wiele większe znaczenie ma jednak to, że jesteśmy dziećmi Bożymi. I tylko Ojciec niebiański może czynić z nami to, co uważa za właściwe. Jakże ja, słaby, grzeszny człowiek, miałbym w Jego imieniu was osądzać i wydać wyrok.”

Zastanówmy się, czy i w naszym życiu nie ma takich sytuacji, że ferujemy wyroki na naszych bliźnich i uzurpujemy sobie prawo do osądzania czyjegoś postępowania.

Kierując napomnienie do chrześcijan apostoł Paweł w *Liście do Rzymian* zapisał takie słowa: „*Nikomu złem za złe nie oddawajcie. Nie mścijcie sami, ale pozostawcie to gniewowi Bożemu, albowiem napisano: Pomsta do mnie należy, Ja odpłacę, mówi Pan*” (Rz 12,17-19).

To wszystko, co stało się z Józefem i jego braćmi, nie uszło uwadze Boga, który udaremnił złe zamysły. Świadczą o tym słowa Józefa: „Wy wprowadzie knuliście zło przeciwko mnie, ale Bóg obrócił to w dobro. Zostałem wprowadzie sprzedany przez was jako niewolnik do Egiptu, byłem w więzieniu, niewinnie oskarżony, wy zaś musieliście cierpieć głód, ale Bóg nie cofnął obietnicy danej Abrahamowi i zachował jego potomstwo”

Na tym polega przebaczenie, że nie stawiamy się na miejscu Boga, ale podporządkowujemy się Jego woli. To On odpuszcza i gładzi nasze winy. To stało się na Golgocie z Jezusem Chrystusem. To ludzie uknuli zło i przybili Syna Bożego do krzyża, ale Bóg wzbudził Go z umarłych. I dzięki Jezusowi Chrystusowi Bóg przekreślił nasze winy i zapewnił życie wieczne wierzącym w Niego.

Mimo tych obietnic, żyjemy i obracamy się w kręgu zła, które za sprawą szatana przenika do naszych serc i prowadzi do rozbicia ludzkiej społeczności. Dlatego w każdej sprawie starajmy się powierzać wszystko Bogu, który odpuszcza nam wszelki grzech i przemienia zło w dobro. Bądźmy wdzięczni Bogu za Jego dobroć i miłosierdzie, i trwajmy w miłości braterskiej!

Amen.

27 czerwca 1999 r.

Gniew i troska

10. Niedziela po Trójcy Świętej

A gdy się zbliżała Pascha żydowska, udał się Jezus do Jerozolimy. I zastał w świątyni sprzedających woły i owce, i gołębie, i siedzących wekslarzy. I skręcivszy bicz z powrózków, wypędził ich wszystkich ze świątyni wraz z owcami i wołami; wekslarzom rozsypał pieniądze i stoły powywracał, a do sprzedawców gołębi rzekł: Zabierzcie to stąd, z domu Ojca mego nie czyńcie targowiska. Wtedy uczniowie jego przypomnieli sobie, że napisano: Żarliwość o dom twój pożera mnie. Wtedy odezwali się Żydzi, mówiąc do niego: Jaki znak okażesz nam na dowód, że ci to wolno czynić? Jezus, odpowiadając, rzekł im: Zburcie tę świątynię, a Ja w trzy dni ją odbuduję. Na to rzekli Żydzi: Czterdzieści sześć lat budowano tę świątynię, a Ty w trzy dni chcesz ją odbudować? Ale On mówił o świątyni ciała swego. Gdy więc został wzbudzony z martwych, przypomnieli sobie uczniowie jego, że to mówił, i uwierzyli Pismu, i słowu, które wyrzekł Jezus.

J 2,13-22

Jezus pałający gniewem i wznoszący bicz nad głowami przekupniów i wekslarzy w świątyni jerozolimskiej. Ten obraz zdaje się być zaprzeczeniem Jego łagodności i miłosierdzia, jakie cechowały Go w odbiorze ludzi garnących się wokół Jego osoby. Przecież słyszeliśmy niejednokrotnie, jak uzdrawiał chorych, karmił głodnych i zwiastował Słowo Boże. Czyżby jako człowiek nie różnił się od każdego z nas i podobnie jak my reagował na wszelkie przejawy zła?

Nie ulega wątpliwości, że sytuacja, w jakiej znalazł się Jezus i obraz, jaki ujrzał w świątyni – w domu Bożym, mogły wywołać nie tylko oburzenie, lecz coś więcej – święty gniew. Gniew Boga na niewłaściwe postępowanie ludzi.

My, jako ludzie i chrześcijanie, też nie zawsze potrafimy reagować na różne przejawy zła ze spokojem. Już małe dziecko pozbawione zabawki lub karczone przez rodziców okazuje gniew. Młodzież, która wymyka się spod kontroli

rodziców i wpada w złe towarzystwo, nabiera złych nawyków, a nawet wchodzi na drogę przestępstwa. Jakże często wyładowuje swoje niezadowolenie niszcząc i demolując wszystko, co spotka na swojej drodze! Jest to wyraz buntu i chęci postawienia na swoim.

Czy jednak ludzie dorośli nie postępują podobnie? Niekiedy może się wydawać, że gniew ludzki jest jak najbardziej uzasadniony. Szczególnie wówczas, gdy mamy do czynienia z niesprawiedliwością i łamaniem tzw. praworządności. Przecież niemal codziennie słyszymy o buntach i protestach różnych grup społecznych i zawodowych. A wszelkiego rodzaju dyskryminacja na tle religijnym czy rasowym – czyż nie jest usprawiedliwieniem dla gniewu ludzi? Tego wszystkiego nie da się uniknąć i zadowolić wszystkich, a tym samym położyć kresu wszelkim sporom i waśniom.

Gniew słuszny, czy niesłuszny potrafi opanować serca i umysły ludzi, także wierzących i uważających się za uczniów Jezusa. Chodzi nie tylko o nasz stosunek do bliźnich, ale do Boga. Czy mamy prawo do wyrażania swego gniewu w Kościele, do którego należymy? Przecież nie zawsze i nie wszędzie mamy do czynienia z idealnym stanem. Spory i gniew miały miejsce już w pierwszym zborze chrześcijańskim, sami uczniowie Jezusa niejednokrotnie bywali skłócenii.

W dziejach Kościoła chrześcijańskiego też dochodziło do rozłamów i podziałów. U podłoża tych działań był ludzki gniew. I dziś również nie wszystko przebiega zgodnie w naszych zborach i w całym Kościele. Toteż nie bez powodu apostoł Paweł wzywa chrześcijan do zachowania jedności, pisząc w *Liście do Efezjan*: „*Gniewajcie się, lecz nie grzeszcie; niech słońce nie zachodzi nad gniewem waszym*” (Ef 4,26).

W przeciwieństwie do nas, ludzi, gniew Jezusa był w pełni uzasadniony, wypływał bowiem z troski o dom Boży. Żarliwość, z jaką wówczas wystąpił, miała wskazać ludziom, jak winni się zachowywać w świątyni będącej miejscem kultu najwyższego Boga.

Handel tymi wszystkimi akcesoriami potrzebnymi do składania ofiar był z pewnością potrzebny, zwłaszcza pielgrzymom przybywającym do Jerozolimy z daleka. Ale zarówno miejsce, jak i sposób, w jaki to czyniono, były niewłaściwe i godne potępienia.

Wiemy z historii Kościoła, że jednym z powodów wystąpienia naszego Reformatora ks. Marcina Lutera z krytyką pod adresem władz kościelnych był handel odpustami. Jego wystąpienie też było przejawem „świętego gniewu”.

Jezus przez swoje gwałtowne wystąpienie w świątyni jerozolimskiej wskazał ludziom właściwą drogę. Nie można robić interesów z Bogiem i sprowadzać Go na ziemię dla naszych celów. Bóg sam przybliżył się do nas, tak jak to uczynił w Jezusie Chrystusie. Czyż Chrystus nie złożył swego ciała w ofierze? Czyż

nie był biczowany i przybity do krzyża przez ludzi? Ale przez swą śmierć męczeńską i zmartwychwstanie wskazał ludziom jedyną, właściwą drogę pojednania z Bogiem Ojcem. Gniew Jezusa i Jego miłosierdzie nie wykluczają się wzajemnie, i są niezbędne w naszym życiu. Tak jak rodzice kochają swoje dzieci i otaczają je opieką, ale gdy te popełnią zły czyn, wówczas strofują je i wymierzają karę.

Jezus jako Syn Boży i człowiek reaguje w podobny sposób, dlatego winniśmy zważać na Jego słowa i trzymać się wskazanej przez Niego drogi. A wiemy, że ta droga nie kończy się w tym życiu, lecz prowadzi do spotkania z Bogiem w Niebie. Jezus zapewnił o tym swoich uczniów mówiąc: *„Ja jestem droga i prawda, i żywot, nikt nie przychodzi do Ojca, tylko przeze mnie”* (J 14,6). Dlatego trzymajmy się tej drogi, byśmy mogli w przyszłości osiągnąć wskazany cel.

Oczyszczenie świątyni jerozolimskiej przez Jezusa miało na celu zmianę jej charakteru. To nie miała być instytucja, w której ludzie wypełniają określone w Zakonie powinności według przyjętych reguł, lecz w całym słowa tego znaczeniu – Dom Bożej Chwały. To samo odnosi się do naszych kościołów, w których gromadzimy się podczas nabożeństw i wszelkiego rodzaju uroczystości religijnych.

Nie należy zapominać o tym, że ten żywy Kościół (pisany wielką literą) to nie budowle ręką ludzką uczynione, lecz społeczność wierzących w Jezusa Chrystusa i kierowanych Duchem Świętym. I jakkolwiek te nasze domy modlitwy są niezbędne, a ich utrzymanie wymaga wiele wysiłku i troski ze strony wszystkich parafian, to u podstaw winna znajdować się głęboka wiara, poparta prośbą zanoszoną do Boga: *„Święć się imię Twoje, przyjdź, Królestwo Twoje”*.

Troska o czystość domu Bożego i żarliwość, z jaką Jezus o to zabiega, nie pozostały bez wpływu na Jego uczniów, którzy mieli w przyszłości świadczyć o Nim. Świadectwo o Jezusie Chrystusie, który przez swój święty gniew wypełnił to, co było sprzeczne z wolą Ojca Niebieskiego i ukazał Jego prawdziwe oblicze, winno poruszyć i ożywić nasze serca i umysły. Winniśmy poprzez Jego Słowo widzieć Boga Ojca, którego ręka nami kieruje oraz moc, która sprawia, że to, co fałszywe i błędne w naszym życiu, zostaje wyprostowane i ukazane we właściwym świetle.

Nie bójmy się usłyszeć i przyjąć prawdy, która – choćby była bolesna – otwiera przed nami nowe perspektywy i prowadzi na spotkanie z Bogiem Ojcem.

Amen.

8 lipca 1999 r.

Wojny a Boży pokój

13. Niedziela po Trójcy Świętej

I stanie się w dniach ostatecznych, że góra ze świątynią Pana będzie stać mocno jako najwyższa z gór i będzie wyniesiona ponad pagórki, a tłumnie będą do niej zdążać wszystkie narody. I pójdzie wiele ludów, mówiąc: Pójdźmy w pielgrzymce na górę Pana, do świątyni Boga Jakuba, i będzie nas uczył dróg swoich, abyśmy mogli chodzić jego ścieżkami, gdyż z Syjonu wyjdzie zakon, a słowo Pana z Jeruzalemu. Wtedy rozsądzać będzie narody i rozstrzygać sprawy wielu ludów. I przekują swoje miecze na lemieszce, a swoje włócznie na sierpy. Żaden naród nie podniesie miecza przeciwko drugiemu narodowi i nie będą się już uczyć sztuki wojennej. Domu Jakubowy! Nuże! Postępujmy w światłości Pana!

Iz 2,1-5

Zasadnicze pytanie, jakie nasuwa się po przeczytaniu fragmentu tekstu z księgi proroka Izajasza brzmi: Czy możliwe jest życie na ziemi bez wojen, wzajemnych waśni i podbojów słabszych narodów przez silniejsze? Czy ludzkość jest zdolna zapewnić sobie trwały pokój i raz na zawsze żyć w tym stanie? Żyjąc w świecie, w którym nienawiść i przemoc jest czymś tak rozpowszechnionym, wydaje się to absolutną niemożliwością. Zawsze tak było i jest, że silniejszy narzuca swoją wolę i dyktuje prawa słabszemu. Dlatego te słowa o powszechnym pokoju na świecie wydają się jakąś mrzonką czy iluzją. Ten czysto ludzki punkt widzenia nie pozwala nam widzieć przyszłych wydarzeń w innym świetle niż to, do którego jesteśmy przyzwyczajeni. Toteż nic dziwnego, że słowa Bożej obietnicy o powszechnym pokoju na świecie nie docierają do naszych serc i umysłów. Tylko że Boże plany i zamiary realizowane są inaczej niż byśmy tego oczekiwali.

Słowa o powszechnym pokoju Pana wypowiedział prorok Izajasz, który żył 2700 lat temu i skierował je do mieszkańców Judy i Jeruzalem, dwóch państw. Przy czym nie były to zwykłe słowa, ale wizja, którą miał prorok.

Już wówczas czasy, w których żył, były niespokojne i zarówno królestwo judzkie, jak i jerozolimskie miały upaść pod ciosami wrogów. Jedynie góra Syjon ze świątynią Pana w Jerozolimie miała pozostać ostoją pokoju. Oczywiście mowa tu jest o nowej Jerozolimie – tej, o której mówi ewangelista Jan w *Księdze Objawienia*: „*I widziałem miasto święte nowe Jeruzalem, zstępujące z Nieba od Boga*” (Obj 21,2). Dlatego też prorok Izajasz mówi o dniach ostatecznych, które z woli Pana nieba i ziemi dopiero nastaną. Znamieniem owych czasów będą charakterystyczne przemiany: niewielkie wzgórze Syjon wraz z jego świątynią stanie się największą spośród gór. To, co małe i niepozorne, stanie się centralnym punktem zainteresowania. Nie będzie to już świątynia ręką ludzką uczyniona, lecz dom Boży, do którego zmierzać będą wszystkie narody. To, co wydaje się bez znaczenia, stanie się za sprawą Boga najbardziej godnym i budzącym zainteresowanie wielu ludzi i narodów, które podążać będą na „górze Pana”.

Znamieniem naszych czasów są miejsca pamięci ofiar czy różnych cudownych wydarzeń, do których pielgrzymują ludzie z różnych względów. Pielgrzymka, o której mówi prorok, to podążanie za głosem i wskazaniem Boga wszystkich ludów, i narodów zamieszkujących ziemię. Wówczas nie ludzie możni, w których rękach spoczywa władza, będą rządzić i ustanawiać prawa, lecz sam Bóg pokoju. Nie będzie więcej silniejszy okazywał swej mocy nad słabszymi, lecz zapanuje Boża sprawiedliwość. „*I przekazują swoje miecze na lemieszce, a swoje włócznie na sierpy*” – ta obietnica wydaje się być zaprzeczeniem panującej od wieków rzeczywistości. Przecież zarówno w przeszłości, jak i dziś ludzkość doskonali się w rzemiośle wojennym, a każde państwo i naród broni swej niepodległości. Dążenia do ekspansji terytorialnej, jak to miało miejsce w Jugosławii, Palestynie czy Kurdystanie nie należą wcale do rzadkości. Jakże więc można myśleć o powszechnym rozbrojeniu i o tym, że Bóg położy kres przemocy i – jak mówi prorok – „*rozsądzać będzie narody i rozstrzygać sprawy wielu ludów*”?

Z punktu widzenia naszej, ludzkiej rzeczywistości, jest to absolutnie niemożliwe, by politycy i władcy narodów dobrowolnie zgodzili się na powszechne rozbrojenie. Jak można mówić o pokoju, gdy wyznawcy różnych religii, a nawet sami chrześcijanie, walczą między sobą i nie idą za głosem Boga?

Słowa i wizja proroka Izajasza nie jest jednak rzucona w próżnię. Jest to Boża obietnica, która zostaje spełniona wbrew wszystkim dążeniom i oczekiwaniom ludzi. O niezawodności Bożych obietnic świadczą starotestamentowi prorocy, oraz autorzy ksiąg Nowego Testamentu. A spośród tych ostatnich Paweł w *Liście do Rzymian* stwierdza wyraźnie: „*Ale nie jest tak, jakoby miało zawieść Słowo Boże*” (Rz 9,6). Nie tylko Izraelici

mieli przyjąć zapewnienie Boże i wezwanie do życia w pokoju. Ono dotyczy również nas, chrześcijan i zawsze jest w tych słowach: „*Postępujmy w światłości Pana!*”.

Wezwanie i misja pokojowa wyrażona przez proroka Izajasza obejmuje swym zasięgiem cały świat. Celem, do którego winniśmy zmierzać, jest owa święta góra – Golgota, na której znajduje się krzyż naszego Pana i Zbawiciela – Jezusa Chrystusa.

Niech więc to miasto, leżące na górze, pozostanie w centrum naszej uwagi i niech kieruje tam nasze serca i myśli – myśli o pokoju i Bożej sprawiedliwości, która ogarnia cały świat. Dlatego idźmy, pełni nadziei i ufności, że Boża obietnica stanie się rzeczywistością.

Pamiętajmy o tym, że zostaliśmy wezwani przez Boga do życia w pokoju i posłuszeństwie Bożym nakazom. Tego wszystkiego uczy nas Pan i Zbawiciel Jezus Chrystus, który w *Kazaniu na górze* mówi: „*Błogostawieni pokój czyniący, albowiem oni synami Bożymi będą nazwani*”.

Amen.

29 lipca 1999 r.

Potrzeba cierpliwości

16. Niedziela po Trójcy Świętej

Niewyczerpane są objawy łaski Pana, miłosierdzie jego nie ustaje. Każdego poranku objawia się na nowo, wielka jest wierność twoja. Pan jest moim działem, mówi dusza moja, dlatego w nim mam nadzieję. Dobry jest Pan dla tego, kto mu ufa, dla duszy, która go szuka. Dobrze jest czekać w milczeniu na zbawienie Pana.

Tr 3,22-26

Wydarzenia opisane w *Księdze Trenów* proroka Jeremiasza przypadają na okres upadku państwa izraelskiego i uprowadzenia do niewoli babilońskiej jego mieszkańców. Sam prorok Jeremiasz doświadczył prześladowania i uwięzienia. Jego skarga odnosi się jednak do całego Izraela, a utyskiwanie nad niedolą mieszkańców Jeruzalem przeplata się ze słowami nadziei pokładanej w Bogu. Świadczą o tym niezbita słowa: „*Albowiem Pan nie odrzuca na wieki. Gdy zasmuca, znowu się lituje według obfitości swojej łaski*”. Te słowa są również wskazaniem dla nas, chrześcijan. Obfitość łaski Boga spływa na nas w osobie Jezusa Chrystusa. Możemy więc wyznać wraz z prorokiem: „*Niewyczerpane są objawy łaski Pana*”.

Mamy powody by dziękować Bogu za Jego dobroć i wierność. Tak długo, jak jesteśmy w stanie poświęcać nasze siły i zdolności w służbie Bogu i ludziom, winniśmy to czynić. Upływający czas i nieuchronny proces starzenia się i ubytku sił sprawiają, że lepiej dostrzegamy, jak wielkim darem jest moc cielesna. Oznacza to, że Bóg troszczy się o nas i pozwala żyć w zmieniających się warunkach. Potrafimy znosić zarówno upał, jak i mróz, lato i zimą, czas siewu i czas żniwa.

Starsze pokolenie pamięta z pewnością lata wojny, które nauczyły nas, czym jest chleb powszedni, naturalny pokarm dla ciała. Czy nie powinniśmy Bogu zawsze dziękować, ilekroć zasiadamy do stołu, by spożywać dary Boże? Bóg troszczy się o każdego z osobna i o społeczność między

ludźmi w domu, w rodzinie i w Kościele, i w narodzie. Dlatego winniśmy przestrzegać Bożych przykazań i w oparciu o nie kształtować nasze życie.

Ludzie często szczycą się swoimi osiągnięciami w pracy – co jest zresztą zrozumiałe – ale nie można zapominać o tym, że to Bóg jest dawcą wszelkich darów, a człowiek biorcą i wykonawcą. Dzięki dobroci Bożej możemy być dobrymi szafarzami – jak o tym mówi Jezus w podobieństwie o talentach. Boża dobroć i wierność winny się spotykać z naszą wdzięcznością i aprobatą.

Winniśmy dziękować Bogu za dar cierpliwości i nadziei. A to oznacza, że mamy się podporządkować Jego woli bez względu na okoliczności. Już w starożytności posługiwano się zegarem słonecznym, który wskazywał godziny. Pod jednym z takich zegarów umieszczono napis w języku łacińskim: *Cum solus non lucet patientia est opus*, co znaczyło: „Jeśli słońce nie świeci, niezbędna jest cierpliwość”. Wiadomo bowiem, że słońce ukryte za chmurami pojawi się znów i wskaże właściwą godzinę. Taką nadzieję na spotkanie z Bogiem, który jest źródłem prawdziwej światłości, wyraża autor *Trenów*. On wie, że Bóg o nim nie zapomniał, lecz „każdego poranku objawia się na nowo”.

Bywają w naszym życiu chwile, w których możemy czuć się osamotnieni, pogrążeni w niepewności i zdani na własne siły. Czy możemy powiedzieć wówczas, że Bóg o nas zapomniał? Czy nie powinniśmy raczej powtórzyć za psalmistą: *„Choćbym nawet szedł ciemną doliną, zła się nie ulękę, boś Ty [Boże] ze mną (...). Dobroć i łaska towarzyszyć mi będą przez wszystkie dni życia mego”* (Ps 23,4-6).

Te słowa były z pewnością pocieszeniem dla tych wszystkich, którzy w latach wojny przejść musieli przez obozy koncentracyjne, więzienia i zesłanie. Cierpliwość i nadzieja nie opuściły ich w najgorszych czasach: *„Albowiem Pan nie odrzuca na wieki: gdy zasmuca, znowu się lituje według obfitości swojej łaski”*.

Trudno odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Bóg zasmuca i obarcza cierpieniem zarówno tych, którzy stoją od Niego z dala, jak tych, którzy ufają Jego łasce i miłosierdziu. Jedno jest pewne: nie jesteśmy igraszką w Jego ręku. Nie jesteśmy wystawieni na cierpienie i śmierć, tak jak to miało miejsce za panowania cesarza Nerona, który z upodobaniem obserwował chrześcijan rozszarpywanych na arenach przez dzikie zwierzęta.

Jeżeli za Bożym przyzwoleniem zostajemy poddani różnym cierpieniom, to nie jest to celem samym w sobie, lecz próbą naszej wiary i wytrwałości.

Bóg także w cierpieniach – a zwłaszcza przez nie – nie pozostaje być naszym Ojcem, a Chrystus naszym bratem. Jeśli o tym wiemy i pamiętamy, wówczas cierpliwie znosimy wszelki ból i smutek. Bywa niekiedy tak, że

winą za nasze cierpienia i doznane winy obarczamy innych ludzi, którzy niewątpliwie potrafią doprowadzić do takiego stanu. Ale nie możemy Boga czynić odpowiedzialnym za to, co nas spotyka w życiu! Z łatwością dostrzegamy poczynania naszych bliźnich, którzy postępują z nami niewłaściwie i wyrządzają nam krzywdę. Sami jednak nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tego, że postępujemy podobnie. Ta egoistyczna postawa sprawia, że nasze problemy wydają się najważniejsze i łatwiej jest nam uważać się za ofiarę niż za sprawcę zła. Wszyscy jesteśmy grzesznikami, mimo iż w codziennej modlitwie zwracamy się do Boga mówiąc: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Dlatego niezbędna jest w naszym życiu samokontrola i krytyczna ocena samego siebie.

Autor *Trenów* wiedział o tym dobrze, wołając: „*Doświadczajmy i badajmy nasze drogi i nawróćmy się do Pana*” (w. 40). Tu nie chodzi tylko o zewnętrzną postawę pokory, jaką często przyjmują ludzie, by zwrócić na siebie uwagę. O wiele ważniejsze jest przekonanie i wyznanie: Jestem grzesznikiem, który żyje z łaski Boga, a moim Panem jest Jezus Chrystus, który dał mi przykład cierpliwości w znoszeniu zadawanych Mu cierpień.

Dlatego trwajmy w tym przekonaniu, że łaska i miłosierdzie Boże nie mają końca, tak jak słońce, które świeci nawet poprzez chmury. Dziękujemy Bogu za wszystko, co jest dziełem Jego ręki: za dobre i złe godziny w naszym życiu, za wolność i smutek.

„*Niewyczerpane są objawy łaski Pana, miłosierdzie Jego nie ustaje (...)*
Dobry jest Pan dla tego, kto Mu ufa, dla duszy, która Go szuka”.

Amen.

19 września 1999 r.

Właściwy oręż

21. Niedziela po Trójcy Świętej

Nie mniemajcie, że przyszedłem przynieść pokój na ziemię; nie przyszedłem przynieść pokój, ale miecz. Bo przyszedłem poróżnić człowieka z jego ojcem i córkę z jej matką, i synową z jej teściową. Tak to staną się wrogami człowieka domownicy jego. Kto miłuje ojca albo matkę bardziej niż mnie, nie jest mnie godzien; i kto miłuje syna albo córkę bardziej niż mnie, nie jest mnie godzien. I kto nie bierze krzyża swego, a idzie za mną, nie jest mnie godzien. Kto stara się zachować życie swoje, straci je, a kto straci życie swoje dla mnie, znajdzie je.

Mt 10,34-39

Dziwne mogą się wydawać te słowa Jezusa; „*Nie przyszedłem przynieść pokój, ale miecz*” w zestawieniu z Jego wypowiedzią z *Kazania na górze*: „*Błogosławieni pokój czyniący, albowiem oni synami Bożymi będą nazwani*” (Mt 5,9). Czyżby Ewangelista Mateusz źle zapisał lub zinterpretował słowa Jezusa? Z pewnością nie – nie ma tu żadnej sprzeczności. Wezwanie do pokoju i błogosławieństwo dla ludzi, którzy to czynią, jest jak najbardziej uzasadnione. Ale dla uczniów Jezusa, dla tych, którzy chcą Go naśladować i żyć według Jego wskazań, pokój nie zawsze jest możliwy.

W cytowanym fragmencie Ewangelii Jezus mówi, na jakie niebezpieczeństwa narażeni są ci, którzy chcą być głosicielami i wykonawcami Słowa Bożego. Życie chrześcijan nie jest i nie może być usłane różami, ale wystawione zostaje na wiele niebezpieczeństw i przeciwności.

W życiu chrześcijanina istotną rolę odgrywają:

1. walka, której symbolem jest ów miecz,
2. podziały i rozłam w życiu rodzinnym,
3. krzyż.

1. Mniemanie, jakoby Jezus nawoływał do prowadzenia wojen w obronie wiary i ugruntowania idei chrześcijańskich, jest z gruntu fałszywe. Nawet wówczas, gdy pojmano Jezusa w Ogrójcu i uczniowie chcieli stanąć w Jego obronie, kazał schować miecz do pochwy. A wiemy z historii, że w przeszłości toczono wiele wojen i przelewano krew rzekomo w obronie czystości wiary chrześcijańskiej. Jezus z pewnością nie pochwaliłby takiego postępowania. Nie o taką walkę chodziło Jezusowi, gdy mówił o mieczu. Właściwe znaczenie tego słowa wskazał Paweł, który w *Liście do Efezjan* pisze: „*Weźcie też przyłbicę zbawienia i miecz Ducha, którym jest Słowo Boże*” (Ef 6,17).

Inaczej mówiąc: winniśmy uzbroić się w niezbędny oręż, który zapewni nam właściwe zrozumienie wielu spraw, dotyczących nas samych i naszych bliźnich. Świat, który nas otacza, żyjący w nim ludzie i przemiany zachodzące w życiu społecznym, i rodzinnym nie zawsze układają się pomyślnie. Nie zawsze potrafimy właściwie ocenić nasze działanie, jak i działanie innych. Mamy tendencję do pomniejszania własnych win i obciążania nimi innych. Brak nam właściwej perspektywy. To tak, jakbyśmy patrzyli przez lornetkę z odwrotnej strony: wtedy rzeczy bliskie wydają się bardzo odległe. Podobnie jest ze Słowem Bożym, które wytycza drogę postępowania.

Trzeba jednak dostrzec to Słowo i usłyszeć, co Bóg chce nam przez nie powiedzieć. Nie tylko lud Starego Przymierza miał to do siebie, że Słowo prorockie było zwiastowane, ale ludzie patrząc – nie widzieli, słuchając – nie słyszeli, bo serca ich były zatwardziałe. I dziś także wielu jest takich, którzy nie przyjmują Słowa Bożego i nie czynią zeń właściwego użytku. W konsekwencji prowadzi to do nieporozumień i konfliktów z otoczeniem, nawet w łonie rodziny.

2. Według wierzeń żydowskich, nadejście Dnia Pańskiego miało się charakteryzować podziałami obejmującymi rodziny. I taki obraz przedstawił Jezus w omawianym przez nas tekście, nawiązując do słów proroka Micheasza: „*Bo syn lekceważy ojca, córka powstaje przeciwko matce, synowa przeciwko teściowej, a własni domownicy są nieprzyjaciółmi człowieka*” (Mi 7,6).

Można z całą pewnością stwierdzić, że stan taki utrzymuje się aż po dzień dzisiejszy. Tu nie chodzi tylko o różnicę poglądów czy charakterów i chęć postawienia na swoim. Podziały i wrogość między ludźmi zarysowują się również w stosunku do Jezusa Chrystusa. Podczas gdy jedni przyjmują bez zastrzeżeń Jego boską naukę, drudzy ją odrzucają. Może się również zdarzyć, że człowiek pozostający w dobrych stosunkach ze swoją rodziną, postawiony zostaje przed wezwaniem do poświęcenia. Przyjęcie takiej

postawy i służba dla Chrystusa może spowodować konflikt i zerwanie z najbliższymi osobami. Tak nie musi być i zwykle wybiera się drogę kompromisu. Ale Jezus wyraźnie postawił sprawę mówiąc: „*Kto miłuje ojca albo matkę bardziej niż mnie, nie jest mnie godzien*”. Ludźmi, którzy zostali postawieni przed takim wyborem, byli pierwsi uczniowie Jezusa. A ponieważ ich wybór był właściwy, otrzymali od Jezusa zapewnienie, że będą wraz z Nim w Jego Królestwie.

3. Decydując się na wstąpienie do służby Chrystusowej, człowiek podejmuje pewnego rodzaju ryzyko, polegające na wyrzeczeniu się wszystkiego. Jezus sformułował bardzo ostro ten warunek, mówiąc: „*Kto stara się zachować życie swoje stracie, a kto straci życie swoje dla mnie, znajdzie je*”. Wielu ludzi starało się naśladować Jezusa i postępować według Jego wskazań, a jednocześnie nie utracić nic z tego, co zdołali nagromadzić w tym życiu. Należał do nich między innymi bogaty młodzieniec, o którym mowa w Ewangelii. A dziś nie brak chrześcijan, którzy wprawdzie przyznają się do swojego Pana i Zbawiciela, ale swoim postępowaniem zadają temu kłam.

Z prawdziwym chrześcijaństwem mamy do czynienia tylko tam, gdzie człowiek bierze na siebie krzyż pod postacią takiej czy innej służby dla Boga i bliźnich i niesie go bez szemrania, i bez narzekania na swoją dolę.

Chrystus oczekuje od każdego z nas takiego zaangażowania, które wskazywałoby na to, że wступujemy w Jego ślady i zbliżamy się, a nie oddalamy od Jego krzyża na Golgocie. Nie jest łatwo podjąć taką decyzję, jeszcze trudniej wytrwać w takim działaniu. Krzyż, który niósł Jezus na Golgotę, był zarazem narzędziem Jego śmierci. Dla nas jest on symbolem zwycięstwa nad śmiercią i początkiem nowego życia. Wierzmy bowiem, że Bóg dał nam swego jednorodzonego Syna po to, aby przez swą śmierć krzyżową wybawić nas od śmierci wiecznej.

Dlatego z ufnością spoglądamy w przyszłość i nie boimy się, że wrogie moce mogą nas oderwać od tej miłości, którą Bóg objawił nam w Jezusie Chrystusie.

Amen.

24 października 1999 r.

Kto jest najważniejszy

Niedziela *Sexagesimae*

Lecz powiedział do mnie: Dosyć masz, gdy masz łaskę moją, albowiem pełnia mej mocy okazuje się w słabości. Najchętniej więc chlubić się będę słabościami, aby zamieszkała we mnie moc Chrystusowa. Dlatego mam upodobanie w słabościach, w zniewagach, w potrzebach, w przesławowaniach, w uciskach dla Chrystusa; albowiem kiedy jestem słaby, wtedy jestem mocny.

2 Kor 12, 9-10

W swoich podróżach misyjnych i wystąpieniach zarówno wobec Żydów, jak i pogan Apostoł Narodów napotykał liczne trudności związane ze zwiastowaniem Ewangelii Chrystusowej. Słuchany i doceniany przez jednych, stawał się często przedmiotem ataków innych ludzi. Powodem była postawa pełna pokory i słabości, przyjmowana przez niego, by tym bardziej uwydatnić Bożą moc Jezusa Chrystusa.

Wówczas w zborze korynckim, pod nieobecność Pawła pojawili się ludzie usiłujący podporządkować sobie tę społeczność. Zarzut, jaki wysunięto przeciw Pawłowi, polegał na tym, że w nie dość przekonujący sposób udawał, że jest apostołem Jezusa Chrystusa. Apostoł odparł ten zarzut jednym zdaniem: „*Albowiem nie ten kto sam siebie zaleca, jest wypróbowany, lecz ten, kogo Pan poleca*” (2 Kor 10,18)

W ten sposób Paweł nawiązał do słów Jezusa, który mówiąc o swoim posłannictwie powoływał się na swego Ojca w Niebie.

Tymczasem przeciwnicy Pawła w Koryncie sądzili, że jako apostoł Chrystusowy winien posiadać szczególne dary: przede wszystkim być dobrym mówcą, mówić językami, popadać w ekstazę i mieć wizje. Wbrew tym poglądom Paweł utrzymywał, że najbardziej istotne jest głoszenie Ewangelii Chrystusowej w prostych słowach, bez ubierania ich w ludzką mądrość. Jednakże z uwagi na to, aby nie dopuścić do powstawania rozłamu

w zborze korynckim Paweł opowiedział o swoich duchowych przeżyciach z przeszłości. Przy czym jest rzeczą charakterystyczną, że Paweł nie mówi wprost o sobie, lecz tak, jakby był narratorem, ale jednocześnie daje do zrozumienia odbiorcom swego listu, że to on jest tym, któremu Bóg się objawił. To dzięki Bożemu objawieniu istnieje Kościół Jezusa Chrystusa, w którym i my się znajdujemy. I chociaż upłynęło już dwa tysiące lat od narodzin Chrystusa, to Jego wyznawcy ciągle spierają się o to, kto w tym Kościele jest najważniejszy: katolicy, prawosławni czy protestanci? Każde z tych ugrupowań uważa, że przedstawia sobą najbardziej właściwy kierunek. Ale te spory i podziały sięgają o wiele głębiej. Przecież i w naszym Kościele zarysowują się różne tendencje. Z pewnością i wśród nas są ludzie, którzy gotowi byłiby przedłożyć swój program odnowy Kościoła.

W dyskusjach teologicznych i na łamach prasy kościelnej ścierają się poglądy tych, którzy uważają, że Kościół winien iść z postępem czasu, z poglądami ludzi uważających, że chrześcijaństwo nie powinno odstępować od raz przyjętych zasad. Jedni i drudzy zdają się zapominać o tym, że trwałość tej budowli, jaką jest żywy Kościół Jezusa Chrystusa, nie zależy od Jego wyznawców, lecz od fundamentu, na którym została zbudowana.

Tym, który kieruje nawą Kościoła jest jego Pan i Zbawiciel, Jezus Chrystus. Ku tej prawdzie kieruje się też apostoł Paweł. Walcząc z własną cielesną słabością najpierw zwraca się do Boga i prosi Go, aby oddalił od niego cierpienia. W odpowiedzi słyszy głos: *„Dostyc masz gdy masz łaskę moją, albowiem pełnia mej mocy okazuje się w słabości”* (2 Kor 12,9). W ten sposób Bóg przyznał się do swego sługi i uczynił go skutecznym narzędziem w zwiastowaniu Ewangelii Chrystusowej.

Ta sama łaska Boża okazana zostaje ludziom żyjącym w dzisiejszym świecie. Jest ona mocą Bożą skuteczną w naszym życiu, w walce z grzechami i słabością natury ludzkiej. Widomym znakiem tej łaski jest krzyż Jezusa Chrystusa na Golgocie.

Ku temu krzyżowi zbliżamy się teraz w miarę upływu czasu, jaki dzieli nas od dnia obchodu śmierci męczeńskiej Jezusa Chrystusa.

Krzyż był niegdyś narzędziem wymiaru sprawiedliwości stosowanym przez Rzymian jako kara dla najgorszych złoczyńców. I takiej kary dla Jezusa domagali się członkowie najwyższej rady żydowskiej – Sanhedrynu. W ich ocenie ten człowiek w pełni zasłużył na śmierć krzyżową, gdyż ośmielił się nazywać siebie Synem Bożym.

Znamy dobrze przebieg wydarzeń związanych ze śmiercią Jezusa na krzyżu i wiemy, że Bóg przekreślił plany i zamiary ludzi. To On sprawił, że narzędzie kary i hańby stało się symbolem mocy dla wszystkich cierpiących i upatrujących nadziei w Bogu.

Tę nadzieję żywi też apostoł Paweł, który nie bacząc na swoje cierpienia, wyznał: *„Najchętniej więc chlubić się słabościami, aby zamieszkała we mnie moc Chrystusowa”*. Dzięki tej mocy mógł sprostać apostołskiej misji wobec zboru w Koryncie. Nie ugiął się pod wpływem stawianych mu zarzutów i nie odstąpił od dzieła, które powierzył mu Jezus Chrystus. Ziarno Słowa Bożego, które zasiał w Koryncie i w innych zborach, miało wydać obfity plon.

I tak jest aż po dzień dzisiejszy wszędzie tam, gdzie głoszone jest Słowo Boże w mocy krzyża Chrystusowego. Ludzie, którzy dostrzegają i uznają moc krzyża Zbawiciela, potrafią wznieść się ponad własne słabości.

Pod krzyżem, jako znakiem łaski i nadziei, możemy budować i umacniać naszą społeczność z Bogiem. Ten krzyż jest ostoją w życiu i śmierci dla każdego wierzącego. Kierujmy więc nieustannie nasz wzrok i nasze myśli ku Temu, który przez krzyż odniósł największe zwycięstwo.

Niech moc krzyża Chrystusowego przewycięża nasze słabości i zamieszka w nas.

Amen.

27 lutego 2000 r.

Strumień w winnicy

Niedziela *Reminiscere*

Ulubieniec mój miał winnicę na pagórku urodzajnym. Przekopał ją i oczyścił z kamieni, i zasadził w niej szlachetne szczepy. Zbudował w niej wieżę i wykuł w niej prasę, oczekiwał, że wyda szlachetne grona, lecz ona wydała złe owoce. Teraz więc, obywatele jeruzalemscy i mężowie judzcy, rozsądźcie między mną i między moją winnicą! Cóż jeszcze należało uczynić mojej winnicy, czego ja jej nie uczyniłem? Dlaczego oczekiwałem, że wyda szlachetne grona, a ona wydała złe owoce? Otóż teraz chcę wam ogłosić, co uczynię z moją winnicą: Rozbiorę jej płot, aby ją spasiono, rozwalę jej mur, aby ją zdeptano. Zniszczę ją doszczętnie: Nie będzie przycinana ani okopywana, ale porośnie cierniem i ostem, nadto nakażę obłokom, by na nią nie spuszczały deszczu. Zaiste, winnicą Pana Zastępów jest dom izraelski, a mężowie judzcy ulubioną jego latoroślą. Oczekiwał prawa, a oto – bezprawie; sprawiedliwości, a oto – krzyk.

Iz 5,2-7

Zarówno pieśń o winnicy z księgi proroka Izajasza, jak i podobieństwa Jezusa o *dzierżawcach winnicy* wyrażają tę samą myśl. Właścicielem winnicy jest Bóg, a winnicą lub tymi, którzy ją uprawiają – naród izraelski. Oba teksty ukazują Boga jako pracodawcę, który kierując się miłością do swego ludu wybranego, powierza mu wszystko, co najlepsze. W zamian oczekuje posłuszeństwa: dobrych owoców, które ma wydać urodzajna ziemia, w którą zasadzono szlachetne winorośle.

Tymczasem wbrew temu, co uczynił Bóg, stało się inaczej. Przez usta proroka Izajasza Bóg oznajmił swojemu ludowi, iż: „*oczekiwali, że (winnica) wyda szlachetne grona, lecz ona wydała złe owoce*”. To ubolewanie nad nieposłuszeństwem ludu Starego Przymierza wobec Boga i związana z nim zapowiedź kary występuje wielokrotnie w Starym Testamencie. Ale nie tylko Izraelici odstępowali od Boga. Lud Nowego Przymierza, jakim

są chrześcijanie – Nowy Izrael też chodzi drogą nieposłuszeństwa i nie spełnia pokładanych w nim nadziei.

Stary Izrael, ta winnica Pańska miała być – jak mówi prorok Izajasz: „doszczętnie zniszczona”. To samo mówi Jezus do nas w podobieństwie o krzewie winnym i latoroślach: „Ja jestem krzewem winnym, wy jesteście latoroślami. Kto nie trwa we mnie, ten zostaje wyrzucony precz jak zeschnięta latorośl; takie zbierają i wyrzucają w ogień, gdzie spłoną” (J 15, 5-6).

Zarówno wypowiedź proroka Izajasza, jak i słowa Jezusa stanowią przestrożę i zapowiedź sądu Bożego nad ludzkością. Są też wezwaniem do pokuty, którą winniśmy czynić przez całe nasze życie.

W porównaniu z innymi uprawami winnica wymaga szczególnej pielęgnacji. Nie wystarczą jednak same zabiegi pielęgnacyjne, potrzebne jest duże nasłonecznienie i wilgoć. O to wszystko troszczy się człowiek, ale wzrost daje Bóg, który sprawia, że dojrzewają piękne grona winorośli. Tak jest od wieków i dzięki temu możemy wciąż na nowo zbierać plony i spożywać dobre owoce.

Podobieństwo o winnicy ma jednak inny cel. Ono ukazuje, jak Bóg troszczy się o swój lud, otacza go opieką i darzy miłością. Ten strumień miłości Bożej płynie nieprzerwanie. Potwierdzeniem tej prawdy są dzieje ludu Starego Przymierza.

I dziś także po dwóch tysiącach lat widzimy i doświadczamy tego, jak Bóg w Jezusie Chrystusie okazuje nam swą łaskę i dobroć. Posiew Jego Słowa ogarnia Kościół Chrystusowy na całej ziemi. W zetknięciu z Bożym Słowem człowiek ogarnięty Duchem Świętym otrzymuje wciąż nową szansę, by słuchać i postępować zgodnie z wolą Boga. Izraelici mieli również taką szansę, ale jej nie wykorzystali – jak wskazuje prorok Izajasz – Bóg bowiem „oczekiwał prawa, a oto bezprawie; sprawiedliwości, a oto krzyk”. Nieposłuszeństwo wobec Boga znalazło swoje odbicie w stosunkach międzyludzkich. Bóg widział, że Jego lud nie postępuje zgodnie z prawem, lecz wytycza swoje własne ścieżki. To, co nazywano prawem, było w istocie omijaniem prawa lub bezprawiem, a miejsce sprawiedliwości zajęła niesprawiedliwość.

Bóg widział to wszystko i nie pozostał obojętny, lecz wzywał do upamiętania, jak na to wskazują słowa z księgi proroka Amosa: „Niech prawo tryska jak woda, a sprawiedliwość jak potok niewysychający” (Am 5,24).

Tak było przed wiekami, a jak jest dziś? Czy my, chrześcijanie, postępujemy zgodnie z prawem ustanowionym przez Boga, czy też mamy własne poczucie sprawiedliwości? Ktoś mógłby powiedzieć, że chrześcijanie nie powinni zajmować się takimi sprawami w Kościele. Przecież żyjemy

w państwie, które ma odpowiedni aparat sprawiedliwości, ustanowiony po to, by jego obywatele postępowali zgodnie z prawem.

Nie możemy jednak wyjść poza obręb stosunków międzyludzkich i kierować się jedynie poczuciem przynależności do Boga, i żyć w oderwaniu od wszystkiego, co ma powiązanie z życiem w społeczeństwie.

Ten dylemat pojawił się już w czasach Jezusa, który – jak pamiętamy – pytany podstępnie przez faryzeuszy, czy należy płacić podatek cesarzowi odpowiedział: „*Oddawajcie, co jest cesarskiego, cesarzowi, a co jest Bożego, Bogu*” (Mk 12,17).

Napomnienia kierowane pod adresem Izraela nie odnosiły skutku, dlatego Bóg postanowił, że nie będzie więcej troszczyć się o ten naród, który dotąd otaczał opieką i darzył miłością. Ta urodzajna winnica miała przeistoczyć się w pustkowie, jak o tym świadczą słowa: „*Zniszczę ją doszczętnie. Nie będzie przycinana ani okopywana, ale porośnie cierniem i ostem, nadto nakażę obłokom, by na nią nie spuszczały deszczu*”.

Wypełnieniem tych słów miała być niewola babilońska, do której wprowadzono Izraelitów. Tak dokonał się w przeszłości sąd Boga nad Jego ludem, który nie dochował wierności swemu Panu. Bóg jednak nie zniszczył całkowicie, nie zatracił ludu, który upodobał sobie przed wiekami.

Wołanie do Boga o ratunek i pokuta za popełnione grzechy przejednały Boży gniew. Bóg w swym miłosierdziu i niezrównanej dobroci powołał nowy lud, którego częścią stanowi Kościół chrześcijański.

Pamiętać jednak musimy o tym, że i nad nami ciąży Boży gniew za liczne przewinienia, których dopuszczamy się w codziennym życiu. I od nas Bóg oczekuje upamiętania, i szczerego żalu za popełnione grzechy. Tym, który może osłabić Boży gniew i uchronić nas od kary za grzechy jest nasz Pan i Zbawiciel, Jezus Chrystus.

Nasza sytuacja podobna jest do sytuacji załogi lotu kosmicznego, który odbywa się w przestrzeni międzygwiazdnej. Pojazd, którym ci ludzie odbywają dalekie podróże, wchodząc w atmosferę ziemską, mógłby spłonąć, zapobiega jednak temu specjalna osłona termiczna. Taką osłoną przed Bożym gniewem jest dla nas Jezus Chrystus.

On, Syn Boży, idzie drogą cierpienia i śmierci po to, byśmy mogli zachować życie. W ogniu miłości Chrystusowej topnieją grzechy ludzkie. Dziękujemy Bogu za ten dar i bądźmy Mu wierni.

Amen.

19 marca 2000 r.

Promieniujmy światłością

3. Niedziela po Trójcy Świętej

A zwiastowanie to, które słyszeliśmy od niego i które wam ogłaszamy, jest takie, że Bóg jest światłością a nie ma w nim żadnej ciemności. Jeśli mówimy, że z Nim społeczność mamy, a chodzimy w ciemności, kłamiemy i nie trzymamy się prawdy. Jeśli zaś chodzimy w światłości, jak On sam jest w światłości, społeczność mamy z sobą i krew Jezusa Chrystusa, Syna Jego, oczyszcza nas od wszelkiego grzechu. Jeśli mówimy, że grzechu nie mamy, sami siebie zwodzimy i prawdy w nas nie ma. Jeśli wyznajemy grzechy swoje, wierny jest Bóg i sprawiedliwy, i odpuści nam grzechy, i oczyści nas od wszelkiej nieprawości. Jeśli mówimy, żeśmy nie zgrzeszyli, kłamcę z Niego robimy i nie ma w nas Słowa Jego. Dziaćki moje, to wam piszę, abyście nie grzeszyli. A jeśli by kto zgrzeszył, mamy orędownika u Ojca, Jezusa Chrystusa, który jest sprawiedliwy. On ci jest ubłaganiem za grzechy nasze, a nie tylko za nasze, lecz i za grzechy całego świata. A z tego wiemy, że Go znamy, jeśli przykazania Jego zachowujemy. Kto mówi: Znam Go, a przykazań Jego nie zachowuje, kłamcą jest i prawdy w nim nie ma. Lecz kto zachowuje Słowo Jego, w tym prawdziwie dopełnia się miłość Boża. Po tym poznajemy, że w Nim jesteśmy.

1 J 1,5-2,5

Wiadomo, jaką rolę spełnia w życiu człowieka i przyrody światło. Słońce, księżyc i gwiazdy od pokoleń oświetlają naszą planetę. W ciągu wieków ludzie nauczyli się wykorzystywać zasoby przyrody i wytwarzać energię świetlną niezbędną w codziennym życiu. Wiemy również, że im więcej światła pada na określony przedmiot, tym większa jest ciemność po przeciwnej stronie danego obiektu. Znane jest też powiedzenie „najciemniej jest pod latarnią”.

Światłość, o której czytamy w tekście biblijnym, ma zgoła inny charakter, pozbawiona jest cienia. Bóg, który jest dawcą życia, On – jak pisze Jan,

„jest światłością, a nie ma w Nim żadnej ciemności”. Dlatego mając kontakt z Bogiem, należymy do tych, którzy żyją w światłości. Inaczej mówiąc, jako chrześcijanie żyjemy w kręgu Bożej światłości. Ta światłość sprawia, że:

1. mamy społeczność z Bogiem i między sobą,
2. dostępujemy odpuszczenia grzechów,
3. trwamy w miłości.

Światłość to określenie często występujące w Biblii i oznacza to, co Boże, w odróżnieniu od tego, co jest Bogu przeciwne. Ewangelista Jan w prologu swojej Ewangelii mówi o Bogu, jako nieprzemijającej światłości. A Jezus Chrystus mówi: „Ja jako Światłość przyszedłem na świat, aby nie pozostał w ciemnościach nikt, kto wierzy we mnie” (J 12,46).

Oznacza to światłość stałej obecności Boga w naszym życiu. Tak jak słońce swoim ciepłem i promieniami budzi do życia przyrodę i ma dobroczynny wpływ na nasze życie, tak Bóg, gdy trwamy w społeczności z Nim, przeistacza nasze serca i umysły, odwracając je od tego, co ciemne i złe, a kierując ku dobremu. Przebywanie w atmosferze Bożej światłości sprawia, że człowiek mimo swojej grzesznej natury, staje się istotą dobrą i promieniującą światłością na otoczenie.

Jest więc niezbędne, byśmy nieustannie zwracali się ku Bogu i umacniali społeczność z Nim, poprzez systematyczne czytanie Pisma Świętego i modlitwę. Ale nie powinniśmy tego czynić na nasz osobisty użytek, lecz łączyć się w wierze i miłości do Boga z innymi, którzy żywią podobne uczucia.

Miejszem, które służy umacnianiu społeczności z Bogiem poprzez Słowo Boże i modlitwę, jest Kościół i parafia, do której należymy. Dlatego tak ważny jest nasz udział w nabożeństwie każdej niedzieli, a nie „od wielkiego dzwonu”, z powodu wielkich uroczystości kościelnych. Winniśmy stale podsycać płomień, który Bóg rozniecił w naszych sercach i potęgować ogień wiary, i miłości do Boga oraz bliźnich.

Trwanie w społeczności z Bogiem nie uwalnia nas od grzechu. To w świetle Słowa Bożego poznajemy, jacy jesteśmy w rzeczywistości. Nikt też nie może uwolnić się od grzechu, który kła nasze dusze i ciała. Nawet tak wielki człowiek, jakim był apostoł Paweł, musiał o sobie powiedzieć: „Nędzny ja człowiek! Któż mnie wybawi z tego ciała śmierci?” (Rz 3,23).

Czy mamy zadowolić się tym stwierdzeniem i tkwić w grzechach? To tak, jakbyśmy zrezygnowali z codziennego mycia naszego ciała, bo i tak się pobrudzimy.

Łatwiej dostrzegać grzechy innych ludzi niż swoje własne. Żle jest, jeśli nie stosujemy samokontroli i nie poddajemy się działaniu Słowa Bożego, i naruszamy Boże przykazania. „Jeśli mówimy, że grzechu nie mamy,

sami siebie zwodzimy i prawdy w nas nie ma” – stwierdza ewangelista Jan i dodaje: *„Jeśli wyznajemy grzechy swoje, wierny jest Bóg i sprawiedliwy, i odpuści nam grzechy, oczyści nas od wszelkiej nieprawości”*.

To oczyszczające działanie jest możliwe dzięki wstawiennictwu Jezusa Chrystusa, o którym czytamy, że jest naszym „*orędownikiem u Ojca*” i „*ubłaganiem za grzechy nasze*”. Sami z siebie niewiele możemy uczynić, by znaleźć łaskę Boga. Możemy jedynie przyjąć postawę celnika, który bił się w piersi mówiąc: *„Boże, bądź miłosierny dla tego grzesznika”* (Łk 18,13). Tym, co oczyszcza nasze grzeszne ciała i dusze, i pozwala stanąć przed Bogiem, jest krew Syna Bożego Jezusa Chrystusa przelana na Golgocie.

Przyjęcie ciała i krwi naszego Zbawiciela w Sakramencie Wieczery Pańskiej jest potwierdzeniem tego, że chcemy społeczności z Bogiem. Przyjmujemy więc to, co Bóg daje nam darmo i chodzimy w światłości dnia.

Społeczność z Bogiem, o którą zabiegamy, jest jednocześnie wezwaniem do utwierdzania społeczności między nami. Jako zбір Jezusa Chrystusa tworzymy jeden Kościół Boży, którego On jest głową, a my członkami. Dlatego, choć wykonujemy różne posługi, łączy nas wspólna wiara, jeden cel, do którego zmierzamy – Królestwo Boże.

Jezus wiele mówił o tym Królestwie w licznych przypowieściach i wskazywał ludziom drogę do niego. On sam był tą drogą prowadzącą do Ojca w niebie. I my również jesteśmy wezwani do pójścia w ślady Jezusa, a to znaczy, że mamy pełnić Jego wolę i przestrzegać przykazań Bożych.

Na krótko przed swoim odejściem do Ojca, Jezus powiedział do uczniów, *„Nowe przykazanie daję wam, abyście się wzajemnie miłowali, jak Ja was umiłowalem”* (J 13,31). Te słowa zobowiązują nas do umacniania więzi łączącej ludzi, którzy pragną pojednania z Bogiem i życia w światłości.

Trwajmy więc nieustannie w społeczności z Tym, który jest naszym Panem i w swej łaskawości odpuszcza nam grzechy. Dziękujmy Bogu za to, że pozwala nam zrzucić z siebie jarzmo grzechu i przyobleka w nowe szaty sprawiedliwości. Jemu niech będzie cześć i chwała, teraz i po wieczne czasy.

Amen.

9 lipca 2000 r.

Jedynie usprawiedliwienie

11. Niedziela po Trójcy Świętej

Wiedząc wszakże, że człowiek zostaje usprawiedliwiony nie z uczynków zakonu, a tylko przez wiarę w Chrystusa Jezusa, i myśmy w Chrystusa Jezusa uwierzyli, abyśmy zostali usprawiedliwieni z wiary w Chrystusa, a nie z uczynków zakonu, ponieważ z uczynków zakonu nie będzie usprawiedliwiony żaden człowiek. A jeśli szukając usprawiedliwienia w Chrystusie i my sami okazaliśmy się grzesznikami, to czy Chrystus jest sługą grzechu? Z pewnością nie. Bo jeśli znowu odbudowuję to, co zburzyłem, samego siebie czynię przestępcą. Albowiem ja przez zakon umarłem zakonowi, abym żył Bogu. Z Chrystusem jestem ukrzyżowany; żyję więc już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus; a obecne życie moje w ciele jest życiem w wierze w Syna Bożego, który mnie umiłował i wydał samego siebie za mnie. Nie odrzucam łaski Bożej; bo jeśli przez zakon jest sprawiedliwość, tedy Chrystus daremnie umarł.

Ga 2,16-21

Rozważając Słowo Boże zastanawiamy się, w jakiej mierze skierowane jest Ono do nas i co Bóg chce nam przez nie powiedzieć. Czy to, co miało miejsce przed dwoma tysiącami lat jest tak samo ważne dziś? Stojąc na gruncie Pisma Świętego, które uznajemy za najwyższy autorytet w sprawach wiary i moralności, podporządkowujemy nasze życie Bogu. Zdajemy jednak sobie sprawę z tego, że nie należymy całkowicie do Boga, lecz dzieli nas od Niego bariera grzechu, naszej cielesności. Takie odczucie miał również Reformator Kościoła ks. Marcin Luter, który w swoich poszukiwaniach zbawiającego Boga zadawał sobie pytanie postawione też przez apostoła Pawła: „*Nędzny ja człowiek! Któż mnie wybawi z tego ciała śmierci*” (Rz 7,24). Poszukując tej prawdy, Reformator doszedł do przekonania, że wiara nie jest dziełem człowieka, lecz darem Boga ofiarowanym człowiekowi z łaski w Duchu Świętym. „*Przez wiarę Chrystus żyje w nas*”

- jak mówi Paweł. Pytanie: jak dalece jesteśmy poddani działaniu Bożemu i czy możemy powiedzieć, że cechuje nas żywa wiara?

Wkrótce minie rok od podpisania przez Kościoły luterańskie i Kościół Rzymskokatolicki „Wspólnej deklaracji w sprawie nauki o usprawiedliwieniu”. To co nam, ewangelikom, wydaje się oczywiste – usprawiedliwienie z łaski przez wiarę – było przez blisko 500 lat jedną z głównych przyczyn podziału między chrześcijanami. Dzisiaj, w dobie ekumenii, chrześcijanie różnych wyznań w poszukiwaniu jedności zwracają się ku źródłom – *ad fontem*. A źródłem, z którego czerpać możemy „żywą wodę”, jest Jezus Chrystus. To on uświęca życie grzesznych ludzi i usprawiedliwia.

Wydawać by się mogło, że skoro chrześcijanie odnaleźli właściwą drogę wiodącą do zbawienia, to nie powinno być więcej przeszkód w osiągnięciu jedności wszystkich dzieci Bożych. Kościół chrześcijański, mimo różnych tradycji i poglądów religijnych, nie utracił przecież swej tożsamości i ma jednego Pana Jezusa Chrystusa. Jesteśmy co do tego zgodni i potwierdzamy to każdorazowo w wyznaniu chrześcijańskiej wiary. A mimo to nie ma jednomyślności wśród chrześcijan, lecz jest wiele dróg, które mogą prowadzić na manowce.

Weźmy dla przykładu dzieje ludu wybranego przez Boga – Izraela. Dopóki ten lud służył jednemu Bogu i przestrzegał Jego przykazań, Bóg był z nim i błogosławił mu. Ale z chwilą, gdy Izraelici odwracali się od Pana, wznosili pogańskie świątynie i oddawali cześć obcym bogom, następował upadek Izraela. Nie inaczej jest dziś, choć żyjemy w innych czasach i inne są bóstwa, którym człowiek cześć oddaje.

Dla zapewnienia sobie egzystencji w tym tak bardzo zmaterializowanym świecie ludzie stali się bezwzględni, wyrachowani i wyobcowani duchowo. Dążenia do tego, by stać mocno na gruncie ziemskim sprawiły, że człowiek ufa tylko we własne siły i w samousprawiedliwienie. Apostoł Paweł widział to niebezpieczeństwo u chrześcijan pochodzenia żydowskiego, którzy bardziej wierzyli w skuteczność tradycyjnej żydowskiej pobożności opartej na Zakonie niż w usprawiedliwienie przez wiarę w Jezusa Chrystusa.

Trzeba pamiętać, że usprawiedliwienie z wiary w Jezusa Chrystusa – w Jego zbawienną moc – wyklucza ludzkie działanie w tej mierze. Śmierć Jezusa Chrystusa, Syna Bożego na krzyżu za nasze grzechy jest jedynym usprawiedliwieniem dla człowieka. Bóg nie oczekuje od nas działania mającego na celu udoskonalenie procesu zbawienia. On chce jedynie, abyśmy uwierzyli w jego obietnice. Tu chodzi nie tylko o nasze życie ziemskie, ale o przejście ze stanu śmierci do życia wiecznego. Jako chrześcijanie nie jesteśmy lepsi od innych ludzi, ale spoglądamy w przyszłość z nadzieją.

Wiara w jedynobawcze działanie Jezusa Chrystusa sprawia, że żyjąc w tym świecie jesteśmy jednocześnie obywatelami Królestwa Bożego.

Świadomość tego faktu skłania nas ku temu, byśmy prowadzili nowe życie, oparte nie na własnej sprawiedliwości, lecz na zaufaniu wobec Boga. „*Jeśli ktoś jest w Chrystusie, nowym jest stworzeniem*” (2 Kor 5,17) – te słowa są nie tylko podsumowaniem, streszczeniem głoszonej przez Pawła nauki.

Każdy, kto został obdarowany przez Boga i usprawiedliwiony w Jezusie Chrystusie Jego niewinnie przelaną krwią złożoną w ofierze, ma szansę na nowe życie. Uwolniony z niewoli grzechu i śmierci nie kieruje się ku ziemskim marnościami, lecz staje się otwarty na działanie Boga i życie w społeczności zbawionych.

Wielu spośród chrześcijan zbawienie w Jezusie Chrystusie wydaje się ich osobistą sprawą. Dlatego zamykają się w swoim wyznaniu, w wąskim kręgu ludzi uznających podobne zasady. Być może dlatego nie ma jedności między chrześcijanami, że każde ugrupowanie usiłuje narzucić swój punkt widzenia i sposób uwielbienia Boga w Jezusie Chrystusie. I niczym bumerang powraca wciąż pytanie, postawione niegdyś przez Pawła: „*Czy rozdzielony jest Chrystus?*” (1 Kor 1,13). Nie! On zawsze ten sam. Tylko my, chrześcijanie, jesteśmy podzieleni i szukający własnej drogi. Tymczasem wraz z Chrystusem mamy tworzyć jedną społeczność, której On jest głową, a my członkami.

Dlatego gromadzimy się i skupiamy wokół Słowa Bożego, które zawiera Boże obietnice i prostuje błędne drogi ludzkich wyobrażeń.

I po to przychodzimy przed ołtarz Pański, by pod postacią chleba i wina przyjąć z rąk Chrystusa Jego ciało i krew – niebiański dar, będąc wyrazem społeczności z Bogiem i gwarancją zbawienia. Słowo Boże i sakrament utwierdzają naszą wiarę w łaskawego Boga, który nas, grzesznych, usprawiedliwia i prowadzi z doczesności do wieczności.

Amen.

3 września 2000 r.

Otwarte serce, szczodra dłoń

Dziękczynne Święto Żniw

Wszystko, co stworzył Bóg, jest dobre, i nie należy odrzucać niczego, co się przyjmuje z dziękczynieniem; albowiem zostają one poświęcone przez Słowo Boże i modlitwę.

1 Tm 4,4-5

Ludzie żyjący na wsi, uprawiający ziemię i prowadzący gospodarstwo muszą włożyć wiele wysiłku, aby zebrać plony swej pracy. Ale mimo to może się zdarzyć, że rok okaże się nieurodzajny i ziemia nie wyda plonów pod dostatkiem. Klęski żywiołowe, jak susze czy powódź lub pożar, mogą w zasadniczy sposób zniweczyć to wszystko, z czym człowiek wiązał swe nadzieje.

Inaczej podchodzą do tych spraw mieszkańcy miast. Wiadomo, że wszystko, co jest nam potrzebne do życia, możemy kupić w sklepie. Dlatego troszczymy się przede wszystkim o to, by zdobyć odpowiedni zawód, znaleźć pracę, zapewnić byt sobie i najbliższym. Pochłonięci tym wszystkim nie zdajemy sobie sprawy z tego, że to nie człowiek jest sprawcą i nie od niego zależy stan posiadania takich czy innych dóbr.

Jako chrześcijanie wiemy i pamiętać musimy o tym, że to Bóg jest dawcą wszystkich darów. Jemu zawdzięczamy nasze istnienie i do Niego kierujemy słowa podzięk. Dlatego obchodzimy w Kościele Dziękczynne Święto Żniw, które przypomina nam o tym, że jesteśmy dziećmi dobrego i miłosiernego Boga Ojca. Dlatego z ufnością kierujemy do Niego prośbę o chleb powszedni – to zaś oznacza, według objaśnienia katechizmowego ks. Marcina Lutera, że: „Bóg daje chleb powszedni, i bez prośby naszej nawet wszystkim złym ludziom, lecz prosimy w tej modlitwie, aby nam to dał poznać i abyśmy z dziękczynieniem przyjmowali chleb nasz powszedni”.

Mówiąc o tym, że „*wszystko, co stworzył Bóg, jest dobre*” – apostoł Paweł nawiązał do opisu stworzenia świata przez Boga. Ale wiemy przecież, że świat, w którym dziś żyjemy, to nie tamten świat. To świat skażony przez człowieka: to zatrute powietrze, woda i ziemia, która rodzi zatrute owoce. Najbardziej skażone jest jednak serce człowieka, będące siedliskiem wszelkiego zła. To ludzie, mniej lub bardziej świadomie, przyczyniają się do degradacji środowiska, w którym żyją. Przez swoje egoistyczne dążenia stajemy się wszyscy sprawcami zła i niszczycielami dobra, które stworzył i powierzył nam Bóg.

Wszyscy chcemy żyć zdrowo, wygodnie i bezpiecznie, a nie zawsze zważamy na potrzeby naszych bliźnich, pogrążonych w nędzy cielesnej. Przykładem tego są strajki i demonstracje. Jest więc w postępowaniu człowieka wiele z tego, co cechuje świat zwierzęcy – walka o byt. Cóż z tego, że człowiek obdarzony został rozumem, skoro nie potrafi czy nie chce postępować zgodnie z wolą Boga?

W tej kryzysowej sytuacji, jaką niewątpliwie można określić stan dzisiejszego świata, uwidaczniają się trzy ludzkie postawy. **Optymiści** – nie bacząc na okoliczności uważają, że wszystko jest dobre, a ludzkość zmierza we właściwym kierunku. **Pesymiści** – sądzą, że świat dąży ku zagładzie, którą ludzie sami sobie szykują. I wreszcie **obojętni**, którzy mówią: „Nie jest tak źle, do wszystkiego można się przyzwyczaić, oby nie było gorzej”. Tak myślą i postępują ludzie, dla których życie ziemskie stanowi zamknięty krąg, w którym wszystko zależy od woli, chęci i możliwości człowieka.

Tymczasem Biblia daje nam zupełnie inną perspektywę – ukazuje świat widziany oczyma Boga i podporządkowany Jego woli. Dla chrześcijanina oznacza to nie ucieczkę od rzeczywistości czy sposób na przetrwanie, lecz zaangażowanie i poświęcenie w służbie Bogu i ludziom. Mamy wszyscy do spełnienia określone zadania w tym świecie, żyjemy w otoczeniu ludzi, którym potrzebna jest zarówno pomoc materialna, jak i duchowe wsparcie. Nie czynimy tego sami z siebie, lecz z polecenia Boga, który nas wyposażył we wszelkie niezbędne dary. A przypomina nam o tym Słowo Boże z księgi proroka Izajasza: „*podzielisz swój chleb z głodnym (...)gdy zobaczysz nagiego, przyodziejiesz go, a od swojego współbrata się nie odwrócisz*” (Iz 58,7).

Wolą Boga jest, abyśmy zawsze i na każdym miejscu zwracali się ku Niemu, wielbili Go i dziękowali. Dlatego w dniu świętowania żniw zwracamy się w szczególny sposób do Boga, który jest Panem nieba i ziemi. Wielbimy Go za wszelkie dary, którymi nas wzbogaca. A nade wszystko dziękujemy Mu za to, że ofiarował nam swego jednorodzonego Syna, Jezusa Chrystusa. To Jezus Chrystus nauczył nas żyć i postępować zgodnie z wolą

Boga i wskazał nam właściwą drogę mówiąc: „*Jam jest droga i prawda, i żywot, nikt nie przychodzi do Ojca, tylko przeze mnie*” (J 14,6). Dlatego w imieniu Jezusa Chrystusa zanosimy nasze prośby i dziękczynienia do Ojca Niebiańskiego.

Ludzie potrzebujący pomocy szukają jej zazwyczaj u swoich bliskich, stukają do naszych drzwi, które pozostają zamknięte. Głodni i bezdomni wyciągają do nas ręce, a my przechodzimy wobec nich obojętnie. W przeciwieństwie do nas, Bóg nie odmawia swej pomocy tym, którzy Go o to proszą. Jego ojcowskie serce jest zawsze otwarte, a dłoń szczodra w rozdawaniu darów.

I my również należymy do obdarowanych przez Boga; zawdzięczamy Mu wszystko. Całe nasze życie jest w Jego ręku. Nie marnujemy więc tych darów, lecz róbmy z nich właściwy użytek; wykorzystujmy czas, który jest nam dany, dziękując Bogu wszechmogącemu za Jego łaskę i dobroć.

Amen.

1 października 2000 r.

Dostrzec brata i siostrę

Przedostatnia niedziela roku kościelnego

A do anioła zboru w Smyrnie napisz: To mówi pierwszy i ostatni, który był umarły, a ożył. Znam ucisk twój i ubóstwo, lecz tyś bogaty, i wiem, że bluźnią tobie ci, którzy podają się za Żydów, a nimi nie są, ale są synagogą szatana. Nie lękaj się cierpień, które mają przyjść na cię. Oto diabeł wtrąci niektórych z was do więzienia, abyście byli poddani próbie, i będziecie w udręce przez dziesięć dni. Bądź wierny aż do śmierci, a dam ci koronę żywota. Kto ma uszy, niechaj słucha, co Duch mówi do zborów. Zwycięzca nie dozna szkody od drugiej śmierci.

Obj 2,8-11

Przytoczony fragment z *Księgi Objawienia św. Jana* to list skierowany do jednego z siedmiu zborów Azji Mniejszej – zboru w Smyrnie (dzisiejszy Izmir). Charakterystyczną cechą każdego z tych listów jest to, że ukazuje na pierwszym miejscu nadawcę, którym jest Jezus Chrystus zmartwychwstały, Pan i Zbawiciel. Każdy z tych listów, mimo iż posiada swego adresata, ma szerszy zasięg i kończy się wezwaniem skierowanym do wszystkich chrześcijan: „*Kto ma uszy, niechaj słucha, co Duch mówi do zborów*”.

Chcemy zatem i my przyjąć skierowane do nas postanie. Szczególną wymowę ma to zdanie, które znamy niemal od dzieciństwa, a kojarzy się ono zazwyczaj z życzeniem wypowiedianym podczas konfirmacji: „*Bądź wierny aż do śmierci, a dam ci koronę żywota*”. To życzenie ma być zachętą dla młodego człowieka wstępującego w dorosłe życie i do wytrwania w wierze oraz do postępowania zgodnie z nauką Jezusa Chrystusa. A nagrodą za bogobojne, pełne ufności życie ziemskie będzie „korona żywota” czyli udział w życiu wiecznym. Ten szczytny cel osiągnąć można jednak nie w oderwaniu od zbiorowości, jaką jest zbor Chrystusowy – społeczność

wierzących. Taki zbor istniał niegdyś w Smyrnie – mieście, będącym ważnym ośrodkiem handlu i kultury starożytnego Wschodu.

Pod względem religijnym Smyrna nie ogrywała wielkiej roli, a żyjący tam chrześcijanie narażeni byli na ataki ze strony Żydów, którzy po upadku Jerozolimy przybyli do tego miasta. A zatem nie pogaństwo stanowiło największe zagrożenie dla chrześcijan, lecz ci spośród Żydów, którzy odrzucili Jezusa jako Mesjasza, a Jego wyznawców uważali za bluźnierców. Dlatego nazwani zostali przez Jezusa „synagogą szatana”. Zbór w Smyrnie istniał, mimo iż jego członkowie doznawali wielu cierpień ze strony prześladowców. I stąd te słowa będące pokrzepieniem w niedoli: „*Znam ucisk twój, nie lekaj się cierpień, które mają przyjść na cię*”.

Cierpienia chrześcijan w Smyrnie zadawane im przez ich pobratymców, Żydów, można uznać za wewnętrzne rozdarcie. Zarówno chrześcijanie, jak i Żydzi wierzyli przecież w jednego Boga – Boga Abrahama, Izaaka i Jabuba. Dla jednych i dla drugich Jerozolima była świętym miejscem, w którym oddawali cześć jednemu Bogu.

W przyszłości to rozdarcie miało okazać się jeszcze większe. Sami chrześcijanie podzielili się i zaczęli zwalczać wzajemnie. Ten stan trwa do dziś, mimo licznych prób pojednania i przywrócenia utraconej jedności.

A czy my, ewangelicy, nie doznajemy we własnym Kościele przejawów rozdarcia? Czy nasze zbory, domy i rodziny żyją w idealnej zgodzie? Jakże trudno jest przełamać niekiedy wzajemną niechęć, uprzedzenia i dostrzec w drugim człowieku siostrę czy brata. Cierpienie, które jest nieodzowne w życiu każdego człowieka, może mieć ten skutek, że pozbawi go radości życia oraz pograży w zwątpieniu i rezygnacji ze wszystkiego.

Ale jako ludzie wierzący, którzy mają przed oczyma Jezusa Chrystusa i Jego zbawcze dzieło, nie tracimy nadziei. Wierzymy Bożej obietnicy i tak jak niegdyś chrześcijanie w Smyrnie uciskani i prześladowani, chcemy przyjąć z ust Jezusa Chrystusa Jego zapewnienie: „*Znam ucisk twój i ubóstwo, lecz tyś bogaty*”. I chociaż nie grożą nam dziś prześladowania na tle religijnym czy narodowościowym, to nie jesteśmy w stanie uniknąć tego wszystkiego, co jeszcze przed nami.

Każdy z nas napotkać może na drodze życia różne przeszkody. Możemy być poddani cierpieniu fizycznemu lub psychicznemu. Wtedy trzeba sobie postawić pytanie: Jakie mam szanse na przezwycięzenie trudności, gdzie odnajdę radość i jak mam wzmocnić moją wiarę i nadzieję?

Odpowiedź daje nam Jezus Chrystus w *Kazaniu na górze*. Szczęśliwi i błogosławieni są nie ci, którzy opływają we wszelkie dobra i którym zawsze sprzyja szczęście, lecz ci, którzy się smucą i doznają wielu cier-

pień: „*Błogosławieni jesteście, gdy wam złorzeczyć i prześladować was będą i kłamliwie mówić na was wszelkie zło ze względu na mnie*”.

Prawdziwe bogactwo polega według Jezusa na tym, że potrafimy, mimo doznanych krzywd i cierpień, dostrzegać cierpienie innych ludzi i reagować na nie tak, jak On to czynił. Nie dając się opanować złu, mamy odpowiadać na nie dobrocią. Bogatym może się stać każdy, kto zaufa Bogu, kto wie, że Bóg go nie opuści, lecz zawsze jest przy nim.

Czy i my możemy uważać się za bogatych w tym rozumieniu? Jeśli tak, to powinniśmy wzajemnie umacniać się w prawdzie i poznaniu Boga łaski i miłości.

Świat, w którym żyjemy, jest pełen kontrastów i sprzecznych interesów ludzkich. Podczas gdy jedni gromadzą zyski i myślą tylko o tym, jak powiększyć swój stan posiadania, inni cierpią niedostatek i giną z głodu, są prześladowani, i gnębieni przez możnych tego świata. A co my, chrześcijanie, czynimy, by ulżyć niedoli bliźnich, którzy potrzebują pomocy? Czy ponad wszelkie dobra ziemskie wyżej stawiamy i cenimy te wartości, o których mówi Jezus?

Być bogatym w Bogu, to znaczy otwierać się na Jego Słowo pełne łaski i miłości; poruczać Bogu wszelkie ziemskie sprawy, znosić cierpienia i doświadczenia, a nade wszystko zachować wiarę w zmartwychwstałego Pana i Zbawiciela, który obiecał dać nam „koronę żywota”.

Amen.

19 listopada 2000 r.

Biblia daje pociechę

3. Niedziela Adwentu

Cokolwiek bowiem przedtem napisano, dla naszego pouczenia napisano, abyśmy przez cierpliwość i przez pociechę z Pism nadzieję mieli. A Bóg, który jest źródłem cierpliwości i pociechy, niech sprawi, abyście byli jednomyślni między sobą na wzór Jezusa Chrystusa, abyście jednomyślnie, jednymi ustami wielbili Boga i Ojca Pana naszego, Jezusa Chrystusa. Przeto przyjmujcie jedni drugich, jak i Chrystus przyjął nas, ku chwale Boga. Gdyż powiadam, że Chrystus stał się sługą obrzezanych ze względu na prawdę Bożą, aby potwierdzić obietnice dane ojcom. I aby poganie wielbili Boga za miłosierdzie, jak napisano: Dlatego będę cię wyznawał między poganami i będę śpiewał imieniu twemu. I znowu mówi: Weselcie się, poganie, z jego ludem. I znowu: Chwalcie Pana, wszyscy poganie, i niech go wystawiają wszystkie ludy. I znowu Izajasz powiada: Wyrośnie odrośl z pnia Jessego i powstanie, aby panować nad poganami; w nim poganie nadzieję pokładać będą. A Bóg nadziei niechaj was napełni wszelką radością i pokojem w wierze, abyście obfitowali w nadzieję przez moc Ducha Świętego.

Rz 15,4-13

Cierpliwość, pociecha i nadzieja – te trzy cechy odgrywają istotną rolę w naszym życiu. W odniesieniu do niektórych ludzi można powiedzieć, że mają anielską cierpliwość, zwłaszcza gdy przyjdzie im znosić przeciwności losu albo nie zawsze odpowiednie postępowanie bliźnich.

Na ogół jednak jesteśmy niecierpliwi i łatwo dajemy się opanować przez to uczucie. Każdy ojciec czy matka wie, ile trudu wymaga wychowanie dziecka, które łatwo wymyka się spod kontroli i nie zawsze postępuje zgodnie z wolą rodziców.

Podobnie rzecz ma się z pociechą. Łatwiej jest występować w roli pocieszyciela – choć nie zawsze – niż samemu doznawać pociechy w trudnych

sytuacja życiowych. Przytłoczeni ciężkimi doświadczeniami, jak choroba czy osamotnienie, nie możemy lub nie chcemy pogodzić się z tym stanem, jesteście zgorzkniali, pozbawieni radości.

W takiej sytuacji pozostaje jedynie mieć nadzieję, że wszystko co złe, przeminie niczym zły sen.

Cierpliwość, pociecha i nadzieja są więc niezbędnym orężem, którym winniśmy się posługiwać w codziennym życiu. Ale skąd mamy czerpać siły? Gdzie znaleźć źródło, które zaspokoi nasze pragnienia? Tym źródłem dla człowieka wierzącego i poszukującego prawdy jest Pismo Święte.

Według apostoła Pawła to Bóg wyposaża człowieka w niezbędne dary jakimi są: cierpliwość, pociecha i nadzieja. Sięgajmy więc po tę Księgę, która kieruje nasz wzrok ku Bogu z myślą – jak pisze Paweł – „*abyśmy przez cierpliwość i przez pociechę z Pism nadzieję mieli*”.

Biblia jest podręcznikiem, z którego korzystały pokolenia chrześcijan od dwóch tysięcy lat. Ktoś mógłby powiedzieć, że w takim razie jest ona przestarzałym podręcznikiem, który dziś już nie powinien mieć zastosowania. Tylko że w odróżnieniu od wszystkich innych ksiąg, będących dziełem człowieka, Biblia jest Słowem Boga objawionym i przekazanym przez ludzi. Przestarzałe mogą nam się wdawać jedynie pewne sformułowania – język Biblii – ale treść jest jak najbardziej aktualna! Biblia nie jest podręcznikiem naukowym, z którego czerpiemy wiedzę o świecie. Ona kształtuje naszą wiarę w Jezusa Chrystusa jako Pana i Zbawiciela.

Dlatego możemy z Niej korzystać, my, dziś żyjący, a także przyszłe pokolenia chrześcijan, tak jak to czynili chrześcijanie pierwszych wieków. Przyjmując z wiarą Słowo Boże stajemy się nie tylko posiadaczami Bożych obietnic i umocnieni jesteśmy w przewyciężaniu naszych słabości.

Wyposażeni w dary duchowe i wspierani mocą Bożą potrafimy wskazywać właściwą drogę ludziom borykającym się z niedolą cielesną i duchową. Słowo Boże ma być pociechą dla ludzi wszech czasów, tak jak na to wskazuje prorok Izajasz: „*Pocieszajcie, pocieszajcie mój lud, mówi nasz Bóg!*” (Iz 40,1). Ten Bóg jest również Bogiem ludu Nowego Przymierza, które zawarł z nami w Jezusie Chrystusie.

On, Syn Boży jest dla nas wzorem i świadectwem tego, że Bóg nie odrzuca człowieka w jego cierpieniu. Od Niego możemy się uczyć, że droga do chwały nie kończy się na krzyżu. W Jezusie Chrystusie Bóg jest obecny jako ucieleśnione Słowo – Słowo obietnicy o życiu wiecznym, którym nas chce obdarzyć.

W napomnieniu skierowanym do chrześcijan w Rzymie, Paweł wyraził dwa życzenia, które winny cechować każdy zbór chrześcijański: jednomyślność w uwielbieniu Boga i wzajemne uznawanie się wyznawców Jezusa

Chrystusa. Słowa wypowiedziane przez apostoła miały istotne znaczenie dla rzymskiego zboru. Chrześcijanie należący do tej społeczności wywodzili się bowiem po części z Żydów, a po części z pogan. Jednym i drugim była zwiastowana ta sama Ewangelia i wszyscy zostali wezwani do wielbienia Boga, w duchu i w prawdzie.

Tak samo jest dziś w Kościele chrześcijańskim, który choć podzielony od wieków na wiele wyznań, nie przestał być własnością Boga i miejscem Jego uwielbienia w Jezusie Chrystusie. Chrześcijanie wywodzący się z różnych tradycji i posiadający określony sposób oddawania Bogu czci, nie powinni zwalczać się wzajemnie i pretendować do miana lepszych. Apostoł Paweł wielokrotnie wyraża tę myśl w swoich listach, na przykład: „*A proszę was, bracia, w imieniu Pana naszego, Jezusa Chrystusa, abyście wszyscy byli jednomyślni i aby nie było między wami rozłamów, lecz abyście byli zespoleni jednością myśli i jednością zdania*” (1 Kor 1,10).

To, że Bóg prowadzi nas do siebie różnymi drogami, jakże często obfitującymi w różne doświadczenia, nie znaczy wcale, że jednych odrzuca, a drugich przygarnia i zapewnia im lepszą przyszłość. Wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Boga i mamy ten przywilej dany nam w Jezusie Chrystusie, że możemy Go nazywać naszym Ojcem. W imię tej prawdy gromadzimy się w kościele na nabożeństwie, by oddawać Bogu cześć przez wspólne wyznawanie prawd wiary, pieśni i modlitwę.

Biblia ukazuje nam wiele sytuacji, w których wspólna modlitwa i uwielbienie Boga przyczyniały się do Bożej ingerencji w ludzkie sprawy. Również nasze modlitwy nie są Bogu obojętne. On wysłuchuje naszych prośb, ilekroć zwracamy się doń z wiarą i ufnością w ich spełnienie. Okres adwentu jest czasem oczekiwania na powtórne przyjście Pańskie. Dla wielu ludzi jest to jedynie okres poprzedzający święta Bożego Narodzenia. Dla nas, ludzi wierzących, ten czas winien być cierpliwym oczekiwaniem na spełnienie Bożych obietnic. Powinniśmy znaleźć pociechę w Słowie Bożym, wreszcie, mamy z nadzieją oczekiwać na dzień, w którym Bóg przyjmie nas do swej chwały.

Winniśmy sobie zdawać sprawę z tego, że o własnych siłach niewiele możemy osiągnąć, że jesteśmy ludźmi grzesznymi, którzy potrzebują Bożej pomocy. Chciejmy więc zaufać Bogu, który do nas mówi przez swoje Słowo, objawione nam w Jezusie Chrystusie. Bądźmy gotowi na przyjęcie prawdy, którą apostoł Paweł zawarł w tym życzeniu: „*A Bóg nadziei niechaj was napełni wszelką radością i pokojem w wierze, abyście obfitowali w nadzieję przez moc Ducha Świętego*”.

Amen.

12 grudnia 2000 r.

Przyjdzie z wyżyn Bożej chwały

4. Niedziela Adwentu

Pocieszajcie, pocieszajcie mój lud, mówi wasz Bóg! Mówcie do serca Jeruzalemu i wołajcie na nie, że dopełnia się jego niewola, że odpuszczona jest jego wina, bo otrzymało z ręki Pana podwójną karę za wszystkie grzechy. Głos się odzywa: przygotujcie na pustyni drogę Pańską, wyprostujcie na stepie ścieżkę dla Boga naszego! Każda dolina niech będzie wzniesiona a każda góra i pagórek obniżony; co nierówne niech będzie wyrównane, a strome zbocza niech się staną doliną! I objawi się chwała Pańska i ujrzy to wszelkie ciało pospołu, gdyż usta Pana to powiedziały. Głos mówi: Zwiastuj! I rzekłem: co mam zwiastować? To: wszelkie ciało jest trawą, a cały jego wdzięk jak kwiat polny. Trawa usycha, kwiat więdnie, gdy wiatr Pana powieje nań. Zaprawdę: ludzie są trawą! Trawa usycha, kwiat więdnie, ale słowo Boga trwa na wieki.

Iz 40,1-8

Dzieje objawienia Bożego od początku istnienia świata miały szczególny charakter. Z opisów biblijnych wiemy, że Bóg objawił się wybranym przez siebie ludziom, że spośród wielu narodów wybrał naród izraelski, aby Mu służył jako lud wybrany. A tymi, którzy mieli sprawować pieczę nad ludem i oznajmiać mu wolę Boga, byli starotestamentowi prorocy. Gdy mimo to lud wybrany nie chciał słuchać głosu Boga i postępował wbrew Jego przykazaniom, wówczas posłał swego jednorodzonego Syna, Jezusa Chrystusa, aby wyzwolił świat z niewoli grzechu i wiecznej śmierci.

Ale to ucieleśnione Słowo Boże, jakim był i pozostał Jezus Chrystus, nie przemówiło do wszystkich i nie otworzyło serc, i umysłów ludzi ufających

tylko we własne siły. A czy ten głos Boga, skierowany także do ludzi żyjących we współczesnym świecie, jest słyszany i odbierany?

Czy my, chrześcijanie, żyjący u końca dwudziestego wieku i mieniający się ludem Bożym Nowego Przymierza, zdajemy sobie sprawę z tego, że to przesłanie prorockie jest skierowane również do nas?

„*Mówi wasz Bóg!*” – to nie są moje słowa skierowane do was. Ja stoję pośród was jako ten, który ma przekazać Boże posłannictwo. I choć czynię to nie po raz pierwszy, także zadaję sobie to pytanie: „*Co mam zwiastować?*”

Adwent to czas radosnego i pełnego nadziei oczekiwania na powtórne przyjście Zbawiciela Jezusa Chrystusa. Tylko że to powtórne przyjście Jezusa wydaje nam się tak bardzo odległe! O wiele bliższe i bardziej przemawiające do naszej wyobraźni są te wszystkie zwyczaje i obchody związane z adwentem i świętami Bożego Narodzenia. Myślmy przede wszystkim o tym, jak sprawić radość sobie, naszym dzieciom, wnukom.

A czy Słowo Boże, które jest od wieków zwiastowane, nie ma nam niczego do powiedzenia? To przecież ono jest po wsze czasy źródłem prawdziwej radości, pociech i nadziei dla wierzących. Tak było w czasach, gdy prorok Izajasz objawił wolę Boga ludowi izraelskiemu, pogrążonemu w niewoli babilońskiej. Dla ludu, który sprzeniewierzył się woli Boga i ściągnął na siebie Jego karę w postaci obcego jarzma, miał nastąpić kres niewoli. Te słowa proroka napełniły radością serca Izraelitów. Bóg odpuścił wam wasze grzechy i położył kres waszej niewoli. To zapewnienie rozlega się aż po dzień dzisiejszy i jest przekazywane każdemu pokoleniu. Widowym znakiem Bożej łaski i miłości jest narodzenie Jezusa Chrystusa. To w Nim Bóg zwraca się do nas i mówi: odpuszczone są wasze grzechy jesteście wolni! Co nie znaczy, że jesteście niewinni. Wciąż bowiem grzeszymy i oddalamy się od Boga, kierując na drogę występku i ulegając mocom ciemności.

Świat bez Boga to pustynia, po której błąka się ludzkość, to daremne poszukiwania i nawoływania ludzi, którzy twierdzą, że mogą zapewnić innym lepszą przyszłość. Nie dajmy się zwieść tym fałszywym prorokom, ale wsłuchajmy się w ten głos, który rozlega się z wysokości: „*Przygotujcie na pustyni drogę Pańską, wyprostujcie na stepie ścieżkę dla naszego Boga*”.

Czy jako ludzie grzeszni i słabi jesteśmy w stanie to uczynić? Wielu ludzi mądrych i uczonych próbowało zmienić świat, ale nie potrafili, bo nie byli w stanie zmienić duszy ludzkiej.

My, chrześcijanie, też nie możemy się uporać z wszystkimi przeciwnościami i usunąć przeszkód, i barier dzielących nas od Boga. Mamy jednak to zapewnienie Boga, że On wychodzi nam naprzeciw, tak jak ojciec syna marnotrawnego, i chce nas wyzwolić od grzechu i wiecznej śmierci.

„I objawi się chwała Pańska i ujrzy to wszystkie ciało pospołu, gdzie usta Pana to powiedziały”.

Na wszystkich bezdrożach i krętych ścieżkach naszego życia możemy odnaleźć właściwą drogę wiodącą do Boga. Nie zasklepiajmy się tylko w sobie i nie odwracajmy od wyciągniętej do nas Bożej ręki. Musimy pamiętać, że to nie od nas zależy teraźniejszość i przyszłość, którą objawił nam Bóg w swoim Słowie. I tak jak w przeszłości Bóg nie pytał o to, czy Jego Syn, Jezus Chrystus ma się narodzić w Betlejem i czy wszystko jest przygotowane na Jego przyjście, tak nie pyta dziś o to, czy możemy Go już przyjąć w naszych domach i do naszych serc. Bóg nie przychodzi do świata z kurtuazyjną wizytą, lecz by podnieść z upadku grzeszną ludzkość.

Adwent – to czas oczekiwania i przygotowania na przyjęcie wszechogarniającej Bożej miłości. Po to zapalamy świece adwentowe, aby w ich blasku ujrzyć przychodzącego z wyżyn Bożej chwały Jezusa Chrystusa i Jego zbawcze dzieło.

Całe nasze życie ziemskie jest oczekiwaniem na spełnienie Bożej obietnicy. I doświadczamy tego z każdym dniem, że świeca naszych dni wypala się i staje coraz mniejsza. Jesteśmy podobni do trawy, która usycha i więdnie. Ale to nie zmienia faktu, że pozostajemy w ręku Boga, że doświadczamy Jego miłość, która otwiera przed nami perspektywę nowego życia. *„Trawa usycha, kwiat więdnie, ale Słowo Boga naszego trwa na wieki”.* Ta wypowiedź świadczy niezbicie o nieprzemijającym działaniu Pana.

Bóg zstępuje do nas w Jezusie Chrystusie i zapewnia nam życie wieczne. Nikt i nic nie może odłączyć nas od Jego wielkiej miłości. Sam Chrystus zapewnił nas o tym, mówiąc: *„Ja jestem światłością świata: kto idzie za mną, nie będzie chodził w ciemności, ale będzie miał światłość żywota”.*

Amen.

19 grudnia 2000 r.

Brama do życia

Niedziela Judica

Wtedy arcykapłani i faryzeusze zwołali Najwyższą Radę i pytali: Co mamy robić, bo przecież ten człowiek czyni wiele znaków? Jeżeli go pozostawimy w spokoju, to w końcu wszyscy w Niego uwierzą, wtedy przyjdą Rzymianie i zniszczą nie tylko nasze święte miejsce, lecz także cały naród. Wówczas to jeden z nich, imieniem Kajfasz, pełniący w owym roku funkcję najwyższego kapłana, rzekł do nich: wy nic nie rozumiecie i nie pomyśleliście o tym, że lepiej będzie, ażeby jeden człowiek umarł za lud, niż by miał zginąć cały naród. Nie powiedział jednak tego sam od siebie, ale będąc najwyższym kapłanem w owym roku mimo woli wygłosił prorocstwo, zgodnie z którym Jezus miał umrzeć za naród, i więcej: nie tylko za naród, lecz i po to, aby wszystkie rozproszone dzieci Boże znów zgromadzić w jedno. Jeszcze tego samego dnia zapadła więc decyzja, żeby Go zgładzić.

J 11,47-53

Życie i śmierć to dwa przeciwstawne sobie pojęcia, dwie potęgi, którym podporządkowany jest człowiek. Przekroczenie bariery życia oznacza kres ludzkiego istnienia tu, na ziemi. Ukształtowani w tych realiach nie potrafimy wyobrazić sobie, co stanie się z nami po śmierci. Czy śmierć oznacza kres wszelkiego istnienia? Tak sądzi wielu ludzi i myśli tylko o tym, jak najlepiej urządzić się w tym świecie, żyć długo i szczęśliwie. Rzeczywistość bywa jednak inna. Choroby i rozmaite nieszczęścia spadają na ludzi i przerywają nić istnienia. Tak właśnie było z Łazarzem, o którego wskrzeszeniu przez Jezusa opowiada ewangelista Jan. To wydarzenie stało się też powodem, dla którego arcykapłani i faryzeusze zwołali najwyższą radę, która miała zadecydować o losach Jezusa. Czy pozostawić Go wśród żywych, a tym samym ściągnąć na siebie i na cały naród izraelski niebezpieczeństwo pogromu ze strony rzymskich okupantów? Czy też

lepiej pozbyć się niebezpiecznego i uzurpującego sobie – ich zdaniem – boską władzę Jezusa?

Słowa, które wówczas wypowiedział arcykapłan Kajfasz o Jezusie były wyrokiem wydanym przez ludzi na Syna Bożego. One dotyczą całej ludzkości bez względu na to, gdzie i kiedy ci ludzie żyli lub żyją. Możemy więc przyjąć, że:

1. żyjemy w tym świecie, bo Jezus umarł za nas,
2. śmierć Jezusa przynosi nam życie.

W przeciwieństwie do prostego ludu, który był świadkiem licznych cudów dokonywanych przez Jezusa i uwierzył w Niego, faryzeusze i uczeni w Piśmie nie chcieli w Nim uznać Syna Bożego, który ma władzę nad życiem i śmiercią. Dlatego zastanawiali się nad tym, jak się Go pozbyć, by nie narazić się ludowi i nie sprowokować Rzymian do zbrojnej interwencji, gdyby Jezus stał się duchowym i politycznym przywódcą Izraela.

Ale Jezus nie zamierzał wcale stawać na czele Izraela, toteż gdy Piłat zapytał Go, czy jest królem – odpowiedział: *„Królestwo moje nie jest z tego świata, gdyby z tego świata było królestwo moje, słudzy moi walczyliby, abym nie był wydany Żydom”* (J 18,36).

Mimo to arcykapłani woleli pozbyć się Jezusa, by nie zawładnął rzeszami ludzi, którzy wierzyli w Niego i chodzili za Nim. Obawa, by Jezus nie pociągnął za sobą ludzi, którzy witali Go przy wjeździe do Jerozolimy, znalazła swoje potwierdzenie w wyznaniu faryzeuszy: *„Widzicie, że nic nie wskóracie, oto cały świat poszedł za Nim”* (J 12,19).

Arcykapłani sądzili, że tylko śmierć Jezusa może raz na zawsze przekreślić i położyć kres pragnieniom ludzi, którzy pokładali w Nim nadzieję. Wolność Izraela i życie za cenę śmierci Jezusa to owa decyzja, którą wówczas podjęli. Możemy to zrozumieć i ocenić tak czy inaczej. Trudno jest jednak pogodzić się z faktem, że i my jesteśmy winni śmierci Jezusa.

Całe nasze życie skażone jest grzechem, który sprawia, że znajdujemy się po tej samej stronie, co ludzie, za których miał umrzeć Jezus. I choć nie jesteśmy bezpośrednimi sprawcami Jego śmierci, nosimy na sobie piętno Kainowej winy. O tym wszystkim przypomina nam czas pasyjny; czas pokuty i opamiętania, w którym wołamy wraz z psalmistą: *„Zmiłuj się nade mną Boże według łaski swojej, według wielkiej litości swojej zgładź występki moje”* (Ps 51,3).

To, że jesteśmy współwinni śmierci Jezusa na krzyżu ma swoje konsekwencje. Kiedy arcykapłan Kajfasz wypowiedział te słowa: *„lepiej jest dla nas, by jeden człowiek umarł za lud, niż żeby wszystkich ten lud zgiął”*, miał na myśli naród żydowski. I to były prorocze słowa, nie tylko

w odniesieniu do Izraela. Bóg bowiem sprawił, że śmierć Jego Syna na krzyżu była jedynym zadośćuczynieniem za grzechy ludzkości. Jak widzimy, podstępne knowania ludzkie, by zgładzić Jezusa i pozbyć się raz na zawsze Tego, który ośmielił się wyznać, że jest Synem Bożym, okazały się daremne. Stało się tak, jak w historii ze Starego Testamentu o Józefie i jego jedenastu braciach. Gdy bracia przybyli do Egiptu i stanęli przed Józefem, przypuszczali, że ów zemści się za wyrządzoną mu krzywdę. Jednak Józef odpowiedział: „*Wy wprawdzie knuliście zło przeciwko mnie, ale Bóg obrócił to w dobro, chcąc uczynić to, co się dziś dzieje: zachować przy życiu liczny lud*” (1 Mż 50,20). Zło, jakie ludzie wyrządzili Jezusowi skazując Go na śmierć, obciążyło całą ludzkość.

A mimo to Bóg w swej niezmierzonej miłości sprawił, że przez śmierć na krzyżu Jego jednorodzonego Syna otworzył ludziom drogę do nowego życia. Jezus nie umarł za swoje grzechy, lecz za grzechy ludzkości. Poniósł śmierć męczeńską nie tylko za naród, z którego się wywodził. On umarł również za nas – jak o tym świadczy apostoł Paweł w *Liście do Efezjan*: „*W nim mamy odkupienie przez krew Jego, odpuszczenie grzechów według bogactwa łaski Jego*” (Ef 1,7).

Śmieć Jezusa stała się otwartą bramą wiodącą do nowego życia wszystkich, którzy wierzyli w Jego zbawczą moc. Zarówno Żydzi, jak i chrześcijanie czy wyznawcy innych religii, chociaż chodzą innymi drogami, mają zapewniony dostęp do Boga w niebie – dzięki Jezusowi Chrystusowi, który umarł za wszystkich, aby zebrać w jedno rozproszone dzieci Boże. I chociaż świat, w którym żyjemy, jest pełen zła, nienawiści i obojętności między ludźmi, to nie jest to jego ostateczny kształt. Wierzymy, że kiedyś to wszystko ulegnie przewartościowaniu. Świat – wbrew najbardziej pesymistycznym przeczuciom – nie zmierza ku zagładzie. Śmierć nie jest ostatecznym celem, do którego wszyscy zmierzamy, lecz drogą wiodącą przez Jezusa Chrystusa do nowego życia.

Amen.

1 kwietnia 2001 r.

Stan posiadania

Dziękczynne Święto Żniw

Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie je mól i rdza niszczą i gdzie złodzieje podkopują, i kradną. Ale gromadźcie sobie skarby w niebie, gdzie ani mól, ani rdza nie niszczą i gdzie złodzieje nie podkopują, i nie kradną.

Mt 6,19-23

Jesień to czas zbiorów, czas gromadzenia plonów, które wydała ziemia. Każdy rolnik wie o tym dobrze, że to, co posiał i posadził, musi teraz zebrać i zgromadzić, by starczyło do następnego lata.

Ale nie tylko mieszkańcy wsi czy właściciele ogródków działkowych są zainteresowani wielkością plonów. Wszyscy jesteśmy konsumentami i troszczymy się o to, by starczało nam żywności. Dlatego z uwagą i niepokojem obserwujemy wszelkie klęski żywiołowe, jak susza czy powódź, które mogą zniszczyć uprawy i zniweczyć plon ludzkiej pracy. Cieszymy się natomiast, gdy mamy pod dostatkiem żywności i możemy zrobić zapasy na zimę. Musimy jednak pamiętać, że praca na roli to nie tylko odpowiednia uprawa: siew, pielęgnacja i żniwa. Tym, który daje wzrost wszelkiemu posiewowi, jest sam Bóg. Dlatego obchodzimy co roku Dziękczynne Święto Żniw w naszych kościołach i możemy wyznawać słowami staropolskiej pieśni: „Boże z Twoich rąk żyjemy, choć naszymi pracujemy. Z Ciebie plenność miewa rola; my zbieramy z Twego pola”. Jako chrześcijanie wielbimy Boga za to, że możemy zbierać plony z naszych pól i gromadzić te „skarby ziemi”.

Ale czy to nie jest sprzeczne z tym, co mówi Jezus: „*Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie je mól i rdza niszczą, gdzie złodzieje podkopują i kradną*”? To radykalne stwierdzenie Jezusa wydaje się jakby przestrożą dla człowieka, że nie powinien gromadzić i czynić zapasów z tego, co łatwo może stać się bezużyteczne lub stać się łupem drugiego

człowieka. Nie warto wobec tego trudzić się i zabezpieczać bytu sobie i rodzinie, skoro jest tak wielkie zagrożenie! Tymczasem wbrew temu, co mówi Jezus, niemal każdy z nas jest zbieraczem. Już jako dzieci zbieramy różne drobiazgi, muszelki, obrazki i inne zabawki. A kiedy wchodzimy w wiek dorosły, mamy również swoje upodobania: kolekcjonujemy cenne obrazy, książki, znaczki itp.

To wszystko może w jednej chwili ulec zniszczeniu. Nie zabezpieczone odpowiednio środki żywnościowe ulegają zniszczeniu, droga, kosztowna odzież może być zniszczona przez mole, toalety, których szafa nie może pomieścić stają się niemodne lub z powodu zmian figury nieodpowiednie. Samochód który posiadasz, pokryje rdza, pieniądze stracą na wartości i staniesz się biedny.

Czy zatem nie ma racji Jezus mówiąc: „*Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi*”, nie uganijcie się za tym, co prędzej czy później przeminie z tym światem? Błędem byłoby jednak sądzić, że Jezus chce z nas zrobić bankrutów i nędzarzy. Przeczą temu dalsze słowa jego wypowiedzi: „*Ale gromadźcie sobie skarby w niebie, gdzie ani mól, ani rdza nie niszczą i gdzie złodzieje nie podkopują, i nie kradną*”! Co oznaczają te słowa? W jaki sposób żyjąc tu, na ziemi, można gromadzić skarby w niebie? Niebo albo Królestwo Niebios to określenie z Ewangelii odnoszące się do Boga. Całe nasze życie winno być podporządkowane temu celowi. W przypowieści o bogatym młodzieńcu Jezus mówi: „*Jeśli chcesz być doskonały, idź, sprzedaj, co posiadasz i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie*” (Mt 19-21). To znaczy, że nie powinniśmy tylko gromadzić i zabezpieczać tego, co stanowi naszą własność, ale mamy dzielić się z tymi, którzy niczego nie mają i cierpią niedostatek.

Nasza zapobiegliwość polegająca na gromadzeniu dóbr tego świata w celu zapewnienia sobie niezależności, bez oglądania się na innych, nie może podobać się Bogu i zyskać Jego aprobaty. Nie mogę myśleć tylko o tym, jak zabezpieczyć moją własność, by mól i rdza nie dokonały spustoszenia, a złodzieje nie mieli dostępu do mego domu. Tego dotyczy napomnienie proroka Izajasza: „*Podzielisz twój chleb z głodnymi i biednych bezdomnych przyjmiesz do domu; gdy zobaczysz nagiego, przyodziejiesz go, a od swojego współbrata się nie odwrócisz*” (Iz 58,7). To właśnie chce nam powiedzieć Jezus i do tego zachęca.

Nie możemy jednak poprzestać na stwierdzeniu, że Jezus ma rację, mówiąc, że nie warto przywiązywać się do tego, co przemijające i nietrwałe. Człowiek, który bardzo pragnie zdobyć jakąś cenną rzecz, musi wyrzec się niemal wszystkiego w nadziei, że osiągnie cel. Taki cel przyświecał w XVI w. konkwistadorom hiszpańskim i portugalskim poszukującym le-

gendarnej krainy złota w Ameryce Południowej. Gorączka złota opanowała świat w końcu XIX w. i doprowadziła do skrajnej nędzy wielu emigrantów.

W *Ewangelii Mateusza* też mowa jest o ukrytym skarbie i o perle, dla zdobycia których człowiek wyzbywa się wszystkiego. Ale jest to tylko ilustracja tego, czym jest Królestwo Niebios – skarb prawdziwy.

W kolejnym wierszu cytowanego tekstu Jezus mówi: „*Albowiem gdzie jest skarb twój – tam będzie i serce twoje*”. A Marcin Luter w objaśnieniu katechizmowym do I przykazania mówi: „To, do czego skłaniasz się swym sercem, jest twoim Bogiem”. Jakich skarbów szukam w życiu i czego najbardziej pragnę?

Wielu ludzi sądzi, że najcenniejsze są te skarby, które są w zasięgu ich ręki, skarby, które mogą zdobyć sami swoją pracą, zdolnościami przebiegłością. Warto więc trudzić się, by mieć jak najwięcej i wszelkimi sposobami dążyć do powiększenia swego stanu posiadania, nawet gdyby to miało być ze szkodą dla drugiego człowieka. Od takich ludzi roi się świat i nie trzeba ich daleko szukać.

Pożądlivość serc i umysłów skierowanych na ziemską rzeczywistość – na to, co przemijające – sprawia, że ludzie ci pogrążeni są w ciemnościach. Nie taka winna być nasza chrześcijańska droga życia. Chcemy wierzyć Bogu, który w Jezusie Chrystusie ukazał nam pierwszy skarb. Chcemy wierzyć Bogu, który jest naszym Ojcem i troszczy się o swoje dzieci. On wie, czego nam potrzeba: za Jego sprawą ziemia wydaje plony, które zbieramy z naszych pól, by służyły za pokarm dla nas i dla naszych bliźnich. Ale pamiętajmy przy tym, co powiedział Jezus, gdy był kuszony przez szatana: „*Nie samym chlebem żyje człowiek, ale każdym słowem, które pochodzi z ust Bożych*” (Mt 4,4).

Prośmy więc Ojca Niebiańskiego, by dał nam poznać to, o co winniśmy się przede wszystkim zatroszczyć – nie o pokarm, który ginie, ale o pokarm duchowy, który zapewnia nam życie wieczne.

Amen.

30 września 2001 r.

Wiara bez miłości nic nie znaczy

18. Niedziela po Trójcy Świętej

Słyszeliście, iż powiedziano: Oko za oko, ząb za ząb. A Ja wam powiadam: Nie sprzeciwiajcie się złemu, a jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi. A temu, kto chce się z tobą procesować i zabrać ci szatę, zostaw i płaszcz. A kto by cię przymuszał, żebyś szedł z nim jedną milę, idź z nim i dwie. Temu, kto cię prosi, daj, a od tego, który chce od ciebie pożyczyć, nie odwracaj się. Słyszeliście, iż powiedziano: Będziesz miłował bliźniego swego, a będziesz miał w nienawiści nieprzyjaciela swego. A Ja wam powiadam: Miłujcie nieprzyjaciół waszych i módlcie się za tych, którzy was prześladują, abyście byli synami Ojca waszego, który jest w niebie, bo słońce jego wschodzi nad złymi i dobrymi, i deszcz pada na sprawiedliwych i niesprawiedliwych. Bo jeśli byście miłowali tylko tych, którzy was miłują, jakąż macie zapłatę? Czyż i celnicy tego nie czynią? A jeśli byście pozdrawiali tylko braci waszych, cóż osobliwego czynicie? Czyż i poganie tego nie czynią? Bądźcie wy tedy doskonali, jak Ojciec wasz niebieski doskonały jest.

Mt 5, 38-48

Nie od dziś mówi się o kryzysie religii chrześcijańskiej. Dla wielu chrześcijaństwo stało się przeżytkiem niewytrzymującym próby czasu. Dlatego musimy sobie postawić pytanie: Co jest powodem, że świadectwo Jezusa Chrystusa jest tak mało wiarygodne dla świata? A może to my, chrześcijanie, nie jesteśmy wiarygodni ze względu na rozbieżności między wiarą a życiem, jakie prowadzimy?

Na świecie żyją dziś miliony ludzi, którzy uważają się za chrześcijan; mają określoną tradycję i zwyczaje, będące świadectwem ich wiary. Ale to nie wystarczy, by być wiarygodnymi dla świata.

Wiele z tego, co czynimy i jak postępujemy, jest sprzeczne z podstawowymi zasadami wiary określonymi przez Jezusa Chrystusa. Traktujemy naszą wiarę jako dziedzictwo po naszych przodkach. Uważamy się za spadkobierców, ale nie zawsze potrafimy czy chcemy czynić właściwy użytek z tego, co nam zostało powierzone. Taka wiara nie promieniuje na otoczenie i nie przynosi nam chluby, lecz staje się kartą wizytową, którą wyjmujemy i wręczamy ludziom przy szczególnych okazjach.

Wiara, jakiej od nas oczekuje Chrystus, winna się przejawiać w działaniu. Ludzie muszą poznać, kim jesteśmy naprawdę, poznać Tego, którego imię nosimy. Nasza wiarygodność potwierdzi się wówczas, gdy będziemy postępować zgodnie z nauką Jezusa Chrystusa. I nie ma innego sposobu, by stać się prawdziwie wierzącymi chrześcijanami. Tego wszystkiego uczy Jezus w *Kazaniu na górze*.

Nawiązując do prawa ustanowionego przez Boga dla ludu Starego Przymierza Jezus daje nową wykładnię Słowa Bożego. To, o czym mówi Jezus w Ewangelii, może przerażać, a nawet odstraszać ludzi od pójścia tą drogą, którą wskazał. Droga wiary nie jest łatwa, ale jeśli zdecydowaliśmy się na nią wejść i trzymać prawdy objawionej przez Boga o Jezusie Chrystusie, to musimy walczyć o przetrwanie. Ta droga prowadzi do Królestwa Bożego, ale krzyżuje się z wieloma innymi drogami, na które łatwo zboczyć i zejść na manowce. Jeżeli chcemy kształtować nasze życie w oparciu o prawo ustanowione przez Jezusa Chrystusa i być wykonawcami Jego Słowa, to niech będzie ono dla nas wezwaniem do nowego życia.

„Słyszeliście, iż powiedziano: Oko za oko, ząb za ząb. A ja wam powiadam: Nie sprzeciwiajcie się złemu, jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi”.

Uczucie zemsty jest czymś przyrodzonym człowiekowi, naturalnym odruchem. Jak ty mnie, tak ja tobie. Dla uniknięcia samosądu i zapewnienia bezpieczeństwa w całym cywilizowanym świecie powołano wymiar sprawiedliwości. Prawo, jakiegokolwiek by ono było, chroni człowieka i strzeże jego własności. Tymczasem wbrew wszelkim normom, którymi kieruje się ludzkość, Jezus narusza ten porządek. On, Syn Boży, który jako człowiek sam wycierpiał tak wiele, wzywa nas, abyśmy wyrzekli się zemsty. Apostoł Paweł będąc pod wpływem nauki Jezusa Chrystusa kieruje do chrześcijan wezwanie: *„Nie mścijcie się sami, ale pozostawcie go gniewowi Bożemu, albowiem napisano: Pomsta do mnie należy, Ja odpłacę, mówi Pan”* (Rz 12,19).

Jezus nie zamierzał obalać ustalonego przez ludzi porządku i nie był wichrzycielem podżegającym do buntu przeciwko władzy świeckiej (o co Go zresztą oskarżono). Jemu chodziło przede wszystkim o to, by ludzie

postępowali zgodnie z wolą Boga. To jest bowiem droga, która prowadzi do Królestwa Bożego.

Niestety, historia ludzkości dowodzi, że ludzie – nie wyłączając chrześcijan – nie kierują się tym zaleceniem. Chęć odwetu i zemsty góruje nad przebaczeniem. Ostatnie wydarzenia w Afganistanie są tego jaskrawym dowodem. I trudno nie zgodzić się z tym, że zamachowcy – mordercy tysięcy ludzi – zasługują na karę i muszą odpowiedzieć za swoje czyny przed ludźmi. Ale czy chrześcijanie, którzy winni być naśladowcami Chrystusa, mogą kierować się prawem zemsty?

Wielki przywódca narodu hinduskiego Mahatma Gandhi, który nie był chrześcijaninem, potrafił przez swój bierny opór i nieprzeciwstawianie się złu osiągnąć więcej, niż niejeden polityk. Ten człowiek dowiódł, że nie stosowanie przemocy wobec niesprawiedliwości i krzywdy społecznej, może prowadzić do zwycięstwa. A ks. Dietrich Bonhoeffer, który w swym życiu doznał wiele cierpień, napisał w jednej ze swych książek: „Zło musi przeminąć i być pozbawione swej mocy, jeśli się je znosi cierpliwie”. I o to właśnie chodzi Jezusowi Chrystusowi w *Kazaniu na górze*. A jeśli chcemy być wiarygodnymi świadkami Chrystusa, to w centrum naszego życia nie możemy stawiać naszego „ja”, lecz Boga z Jego sprawiedliwością i dobrocią.

Na tej samej zasadzie musi być oparty stosunek chrześcijanina do wszystkiego, co uważa za swą własność. Jezus mówi: „*Temu, kto cię prosi, daj, a od tego, który chce od ciebie pożyczyć, nie odwracaj się*”.

I znów Jezus porusza czułą strunę, dotyka spraw stanu posiadania i korzystania z bogactw. Mówiliśmy już niejednokrotnie o tym, jak ludzie dążą do zdobycia majątku i jak potrafią być bezwzględni w tej walce o byt materialny. Ta choroba ludzkości jest nieuleczalna, panuje zawsze i wszędzie. Tak było w czasach Jezusa, tak jest i dziś.

Jeżeli na świecie codziennie tysiące ludzi umierają z głodu, a chrześcijanie żyjący obok nich nie reagują na to i nie spieszą z pomocą, to można mówić o zbiorowej znieczulicy. Czy i my nie czujemy się współwinni? Tylko od czasu do czasu zdobywamy się na to, by wspierać jakąś akcję charytatywną i dajemy to, co nam zbywa. Czy można się zatem dziwić, że chrześcijaństwo w oczach świata jest niewiarygodne?

My, ewangelicy, chlubimy się tym, że jesteśmy usprawiedliwieni z wiary w Jezusa Chrystusa. To prawda, ale **wiara bez miłości nic nie znaczy**. Jeżeli wierzymy, że Jezus Chrystus jest naszym Panem i Zbawicielem, to winniśmy postępować według Jego wskazań i odwzajemniać miłość, którą on nas darzy. Nie możemy zapominać o tym, co powiedział Jezus: „*cokolwiek czyniliście jednemu z tych najmniejszych moich braci, mnie uczyniliście*” (Mt 25,40).

Ale nie na tym koniec. Jezus oczekuje od swoich naśladowców czegoś, co trudno zrozumieć, a jeszcze trudniej wypełnić.

„*Miłujcie nieprzyjaciół naszych*”... Jezus doskonale zdawał sobie sprawę z tego, w jakim świecie żyje i czego może się po ludziach spodziewać. Dlatego powiedział do uczniów, że będą znienawidzeni i prześladowani, bo nie należą do tego świata. Jezus znał i doświadczył tego, czym była nienawiść ludu izraelskiego, nieprzejednanie faryzeuszy, uczonych w Piśmie, arcykapłanów, którzy wydali nań wyrok śmierci. Mimo to (albo właśnie dlatego), modlił się za nich. Dlaczego tak czynił? Ponieważ wszyscy ludzie są dziećmi Boga, a słońce Jego miłości wschodzi nad złymi i dobrymi. Ponieważ Bóg pragnie zachować ludzkość, a nie zniszczyć. Ale wszędzie tam, gdzie panuje nienawiść i gdzie nie ma miłości, tam nie rządzi Bóg, lecz człowiek. Zadaniem chrześcijan, a więc każdego z nas, jest dążenie do tego, by w centrum naszego życia był zawsze obecny Bóg. Tylko w ten sposób możemy stać się wykonawcami woli Boga, a nasze świadectwo o Nim będzie prawdziwe – wiarygodne.

Zanim dojdziemy do wniosku, że to, do czego wzywa nas Jezus Chrystus przerasta nasze możliwości, zaufajmy Mu i kierujmy się miłością.

Starajmy się znaleźć właściwą miarę postępowania w codziennym życiu wobec naszych bliźnich i prosimy Boga, aby nam w tym dopomagał. Tego oczekuje od nas Pan i Zbawiciel nasz, Jezus Chrystus mówiąc: „*Bądźcie wy tedy doskonali, jak Ojciec wasz niebieski doskonały jest*”.

Amen.

14 października 2001 r.

Duchowy remanent

3. Niedziela Adwentu

A do anioła zboru w Sardes napisz: To mówi Ten, który ma siedem duchów Bożych i siedem gwiazd: Znam uczynki twoje: Masz imię, że żyjesz, a jesteś umarły. Bądź czujny i utwierdź, co jeszcze pozostało, a co bliskie jest śmierci; nie stwierdziłem bowiem, że uczynki twoje są doskonałe przed moim Bogiem. Pamiętaj więc, czego się nauczyłeś i co usłyszałeś, i strzeż tego, i upamiętaj się. Jeśli tedy nie będziesz czujny, przyjdę jak złodziej, a nie dowiesz się, o której godzinie cię zaskoczę. Lecz masz w Sardes kilka osób, które nie skalały swoich szat, więc chodźć będą ze mną w szatach białych, dlatego że są godni. Zwycięzca zostanie przyobleczony w szaty białe, i nie wymażę imienia jego z księgi żywota, i wyznam imię jego przed moim Ojcem i przed jego aniołami. Kto ma uszy, niechaj słucha, co Duch mówi do zborów.

Obj 3,1-6

Okres poprzedzający święta Bożego Narodzenia to dla wielu ludzi czas wzmożonych zakupów. Wszyscy śpieszą się, by nabyć nie tylko artykuły pierwszej potrzeby. Przychodzą do sklepu, a sklep zamknięty i na drzwiach tabliczka z napisem „Remanent”. Ludzie denerwują się i narzekają: „Już nie mieli kiedy zrobić tego remanentu tylko właśnie przed świętami!”. Tymczasem personel sklepu nie spiesząc się dokładnie sprawdza i przelicza towar znajdujący się w sklepie. Wszystko musi się zgadzać i nie powinno niczego brakować.

Przedstawiona wyżej sytuacja dotyczy bytu materialnego. Inaczej jest w sprawach dotyczących życia duchowego. Jako chrześcijanie oczekujemy na powtórne przyjście Zbawiciela, Jezusa Chrystusa. Ale ten czas oczekiwania nie może upływać w beczynności. Musimy przeprowadzić swoisty remanent naszego życia. Tego oczekuje od nas nasz Pan i Zbawiciel. On

chce, by Jego Kościół był zawsze otwarty, a ci, którzy do niego należą – czujni. O tym przypomina ewangelista Jan.

Słowa pieśni adwentowej zachęcają nas do wyjścia na spotkanie z Jezusem Chrystusem: „Otwórzcie się szeroko podwoje świątyń, bram, Król wieczny się przybliży, zbawienie niesie nam”. Przychodzący Jezus chce nas przeegzaminować i stawia nam pytania, na które musimy dać odpowiedź.

Jezus pyta nas: jak wygląda nasza pobożność? Czy słowa i myśli, które wypowiadamy w czasie adwentu są szczerze? Czy zapowiedź Jego przyjścia napawa nas lekkiem, czy też nadzieją i radością? Czy prostujemy nasze drogi, jak o tym zapewniamy słowami pieśni? Czy też nadal chodzimy własnymi ścieżkami? I jak dalece nasze serca i myśli zwrócone są ku Temu, który ma przyjść jako Zbawiciel?

O tym, jacy jesteśmy w rzeczywistości, Bóg wie najlepiej i osądza każdego z nas. Ale nie jest i nie powinno nam być obojętne, co sądzą o nas ludzie stojący z dala od Boga. Co mówią i robią chrześcijanie w okresie adwentu? Czy tylko zapalają kolejne świece w wieńcu adwentowym? Czego możemy się od nich nauczyć i co przyjąć jako godne naśladowania? Czy nasze słowa o mającym przyjść Zbawicielu nie są aby fałszywą reklamą?

Chcemy zaimponować światu naszą pobożnością, ukazać Jezusa Chrystusa, ale czy jest On w naszych sercach? Czy możemy z czystym sumieniem powtórzyć za pieśniarzem: „Zawitaj Chryste, Zbawco Ty, otwarte serca mego drzwi”?

Czy jesteśmy w stanie przekazać światu tę radosną wieść o mającym już wkrótce nadejść Zbawicielu? Czy nasze myśli znajdują potwierdzenie w czynach? Tego wszystkiego domagają się od nas ludzie, a Chrystus Pan przychodzi i pyta, czy jesteśmy gotowi na Jego powtórne przyjście.

Ludzie stojący przed zamkniętym sklepem muszą odejść z niczym. A czy nasze kościoły – domy modlitwy są zawsze otwarte dla ludzi, którzy chcą do nich wejść?

Zazwyczaj ograniczamy czas naszego nabożeństwa do jednej czy dwóch godzin, a ludzie którzy przyjdą później, zastają drzwi zamknięte. Czyżby za zamkniętymi drzwiami kończyła się nasza pobożność? Wracamy do naszej codzienności w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Zaspokoiliśmy potrzebę serca i nie myślimy o tym, że usłyszane Słowo Boże, pełne obietnic i nadziei, winno wypełniać nasze życie i dotrzeć do ludzi stojących z dala od Kościoła oraz Boga.

Tymczasem Jezus bacznie obserwuje nasze poczynania i do nas kieruje te słowa: „*Pamiętaj więc, czego się nauczyłeś i co usłyszałeś, i strzeż tego, i upamiętaj się*”.

Żyjemy w oczekiwaniu na powtórne przyjście Jezusa, Syna Bożego i nie nie zdaje się wskazywać na to, że ten czas się przybliżył. Wiemy tylko, że do świąt Bożego Narodzenia pozostał tydzień, bo na to wskazują kartki kalendarza. Nie możemy jednak na tym poprzestać i żyć tylko radością nadchodzących świąt. Nasz Pan oczekuje od nas czujności, jak na to wskazują słowa: „*Jeśli tedy nie będziesz czujny, przyjdę jak złodziej, a nie dowiesz się, o której godzinie cię zaskoczę*”.

Nie lubimy być zaskakiwani przez ludzi, a tym bardziej przez Boga, który chce, abyśmy powitali Go z radością w dniu pamiętki narodzin Jego Syna.

Obchodząc czyjeś urodziny przygotowujemy się na ten dzień, kupujemy odpowiedni prezent i ubieramy odświętnie. Dla uczczenia Dnia Narodzin Zbawiciela, Jezusa Chrystusa musimy poczynić nieco inne przygotowania. On sam jest dla nas największą radością i prezentem, który otrzymujemy z Bożych rąk – „*Zwycięzca zostanie przyobleczony w szaty białe, i nie wymażę imienia jego z księgi żywota*”. Jezus zaprasza nas na ucztę w dzień pamiętki swoich narodzin. Ten dzień ma dla nas, wierzących w Boga – i nie tylko – szczególne znaczenie. Ten, który narodził się w ubóstwie i w poniżeniu, uczynił to, by zbliżyć się do człowieka i ofiarować mu zbawienie.

Symbolem zbawienia jest „biała szata”, w którą przyobleczeni zostaną ci, którzy z radością i nadzieją w sercu oczekują objawienia chwały Zbawiciela. Nastrój radosnego oczekiwania winien ogarnąć cały Kościół Chrystusowy, winien zapanować w naszych domach i rodzinach.

Dzień powtórnego przyjścia Jezusa Chrystusa na świat stanie się dniem powszechnej radości. Świadczą o tym słowa obietnicy Chrystusowej: „*znowu ujrzę was, i będzie się radować serce wasze, a nikt nie odbierze wam radości waszej*” (J 16,22).

Amen.

16 grudnia 2001 r.

Idźmy pełni wiary i ufności

1. Niedziela po Epifanii

Oto sługa mój, którego popieram, mój wybrany, którego ukochała moja dusza. Natchnąłem go moim duchem, aby nadał narodom prawo. Nie będzie krzychał ani wołał, ani nie wyda na zewnątrz swojego głosu. Trzciny nadłamanej nie dotamie ani knota gasnącego nie dogasi, ludom ogłosi prawo. Nie upadnie na duchu ani się nie złamie, dopóki nie utrwali prawa na ziemi; a jego nauki wyczekują wyspy.

Iz 42,1-4

Czas, w którym prorok Izajasz wypowiedział te słowa, to okres niewoli babilońskiej, 500 lat przed narodzeniem Chrystusa. Naród izraelski przestał istnieć, a jego mieszkańcy uprowadzeni zostali do Babilonii (na terenie dzisiejszego Iraku), gdzie podporządkowani zostali ówczesnym władcom tego państwa. Nie było tam miejsca dla świątyni Jedyne Boga – Boga Abrahama, Izaaka i Jakuba. A świadectwem, które pozostało z tamtych czasów są słowa psalmu – pieśń wygnańców izraelskich: „*Nad rzekami Babilonu – tam siedzieliśmy i płakaliśmy na wspomnienie Syjonu*” (Ps 137).

Nie trudno sobie wyobrazić rozpacz i zwątpienie Izraelitów z powodu utraty kontaktu z Bogiem, który niegdyś wybrał i prowadził swój lud. Czyżby obcy bogowie stali się silniejsi niż Bóg, który stworzył niebo i ziemię? Czy wszechmogący Pan i Bóg zapomniał o przymierzu, jakie zawarł przed wiekami ze swym ludem?

I właśnie wtedy, w chwili największej rozpacz, Bóg zesłał ludowi zwiastuna dobrej nowiny. Słowo prorockie utwierdziło Izraela w przekonaniu, że Bóg nie zapomniał o nim ani go nie opuścił.

I my, dziś żyjący, też możemy pokładać nadzieję w Bogu, który jest naszą ostoją. On jest zawsze przy nas, na wszystkich drogach naszego życia.

W obrazie sługi Pana, o którym mówi prorok Izajasz, rozpoznajemy Jezusa Chrystusa. To do Niego odnoszą się te słowa: „*Oto sługa mój, którego popieram, mój wybrany (...) natchnąłem go moim duchem (...)*”.

Służebna rola Jezusa Chrystusa objawiona została światu, w chwili, gdy narodził się w Betlejem jako dziecię ubogich rodziców. Jego przyjście na świat pozostało w cieniu wielkich wydarzeń, jakim był między innymi powszechny spis ludności w obrębie Cesarstwa Rzymskiego. Żadne kroniki nie odnotowały dokładnego czasu i miejsca urodzin Jezusa. Ale o tym wydarzeniu świat dowiedział się z relacji pasterzy i astrologów, którzy jako pierwsi powitali Króla Niebios.

A Ten, który narodził się w cichości betlejemskiej stajenki, miał pozostać przez całe swoje ziemskie życie cichym i pokornym sługą. „*Nie będzie krzyczał ani wołał, ani nie wyda na zewnątrz, swojego głosu*” tak powiedział o nim prorok Pański. Jako syn cieśli z Nazaretu, Jezus w wieku 30 lat rozpoczął publiczną działalność. Ale i wówczas nie głosił rewolucyjnych haseł i nie wzywał do buntu. Jako skromny nauczyciel wędrował od jednej miejscowości do drugiej i rozmawiał z ludźmi; mówił im o zbliżającym się Królestwie Bożym i zwiastował Bożą prawdę, wzywając ludzi do opamiętania.

Prorok w obrazowy sposób określił działalność Jezusa mówiąc o Nim, że: „*Trzciny nadłamaney nie dołamie, ani knota gasnącego nie dogasi*”. Co znaczą te słowa? W Izraelu istniał taki zwyczaj, że złamanie nad kimś kija oznaczało odwrócenie się od niego i oddanie takiego człowieka w ręce sprawiedliwości. Tymczasem Jezus nie gardził żadnym człowiekiem i nie odwracał się od nikogo. Przykładem może być Jego postawa wobec niewiasty przyłapaney na cudzołóstwie. Za ten czyn w myśl prawa Mojżeszowego groziło jej ukamienowanie. Ale Jezus nie kierował się tym prawem i nie potępił grzesznicy; nie złamał nad nią kija i nie wydał w ręce jej oskarżycieli.

Drugi przykład mówi o zgaszeniu dopalającej się świecy. Życie ludzkie jest taką świecą. Człowiek pozbawiony sił witalnych staje się nieprzydatny, niesprawny i spychany na margines życia społecznego. Jakże łatwo odwrócić się od takiego człowieka i pozostawić go własnemu losowi! Tymczasem Jezus nie odwracał się od nikogo i nie spisywał na straty. Wzorem miłosiernego Samarytanina spieszył z pomocą ludziom i pomagał im przezwycięzać ich słabości. Na tym polega służebna rola Jezusa. Z woli i poparcia Boga Jezus zstąpił na ziemię niosąc ludziom miłość i okazując moc płynącą z wyżyn Bożej chwały. Żadne ludzkie moce nie są w stanie przeciwstawić się mocy Boga i przekreślić Jego wierność wobec Jego ludu. Bóg pozostaje wierny obietnicy zawartej w słowie prorockim, a Jego pokorny sługa Jezus Chrystus niesie światu pogrążonemu w ciemnościach

prawdziwe światło. To światło ukazane zostało Izraelitom w dniach ich niewoli. Sam Bóg skierował do tego ludu zapewnienie: „*Nie bój się, bom Ja z tobą, nie lękaj się, bom ja Bogiem twoim*” (Iz 41,10).

Nieszczęścia i cierpienia, których doznał w przeszłości naród izraelski, nie omijają świata także dziś. Wojny, prześladowania, deportacje, głód, nieuleczalne choroby i śmierć są udziałem milionów ludzi XXI wieku.

Ludzie pozbawieni wiary w Boga i wykluczający Jego istnienie usiłują sami rozwiązać dręczące ich problemy. A jak na to reagują chrześcijanie, do których i my się zaliczamy? Czy mamy na tyle silną wolę, by pokładać nadzieję w Bogu i liczyć na Jego wierność i pomoc w potrzebie? Czy dostrzegamy jakieś znaki czasu i ślady Bożej obecności w naszym życiu? Zastanówmy się i spójrzmy na własne doświadczenia – czy nigdy nie szliśmy ciemną doliną i nie kierowała nami niewidzialna ręka Boga?

Los człowieka dopełnia się w jego życiu, które choć pełne cierpienia, wyrzeczeń i prób, prowadzi do ostatecznego zwycięstwa i spotkania z Bogiem w wieczności. To jest droga, którą przeszedł nasz Pan, Jezus Chrystus. On też szedł drogą cierpienia, czuł się opuszczony przez ludzi i przez Boga; musiał przejść przez bramę śmierci, ale zwyciężył i zmartwychwstał. Jemu została dana wszelka moc na niebie i na ziemi. To o Nim zwiastował prorok Starego Testamentu, że: „*Nie upadnie na duchu ani się nie złamie, dopóki nie utrwali prawa na ziemi, a Jego nauki wyczekują wyspy*”. Świat jest jak wielki ocean, który pochłania miliony istnień ludzkich – często świat bezprawia – ale są na nim rozsiane wyspy, które mogą stanowić bezpieczne schronienie dla rozbitków. Dlatego nie upadaj na duchu, ilekroć groźna otchłań chce nas pochłoniąć i oderwać od Boga łaski i miłosierdzia. Wyciągnięta dłoń Jezusa Chrystusa, której możemy się uchwycić, jest gwarancją bezpieczeństwa w życiu i w śmierci.

Pełni wiary i ufności idźmy śmiało na spotkanie z naszym Ojcem w niebie: On czeka na nas.

Amen.

13 stycznia 2002 r.

A czynię to dla Ewangelii

2. Niedziela po Trójcy Świętej

Jeśli ewangelię zwiastuje, nie mam się czym chlubić: jest to dla mnie bowiem koniecznością; a biada mi, jeślibym ewangelii nie zwiastował. Albowiem jeśli to czynię dobrowolnie, to sprawuję tylko powierzone mi szafarstwo. Jakąż tedy mam zapłatę? Tę, że zwiastując ewangelię czynię to darmo, aby nie korzystać z prawa, jakie mi daje zwiastowanie ewangelii. Będąc wolnym wobec wszystkich, oddałem się w niewolę wszystkim, abym jak najwięcej ludzi pozyskał. I stałem się dla Żydów jako Żyd, aby Żydów pozyskać; dla tych, którzy są pod zakonem, jakobym był pod zakonem, chociaż sam pod zakonem nie jestem, aby tych, którzy są pod zakonem pozyskać dla tych, którzy są bez zakonu, jakobym był bez zakonu, chociaż nie jestem bez zakonu Bożego, lecz pod zakonem Chrystusowym, aby pozyskać tych, którzy są bez zakonu. Dla słabych stałem się słabym, aby słabych pozyskać, dla wszystkich stałem się wszystkim, żeby tak czy owak niektórych zbawić. A czynię to wszystko dla ewangelii, aby uczestniczyć w jej zwiastowaniu.

2 Kor 9,16-23

Żelazna konsekwencja, z jaką apostoł Paweł pełnił służbę zwiastowania Ewangelii Chrystusowej, była następstwem tego, co wydarzyło się pod Damaszkiem. Pałając nienawiścią do wyznawców Chrystusa Saul, gorliwy obrońca Zakonu Mojżeszowego, prześladował chrześcijan w przekonaniu, że to się podoba Bogu. Jakież jednak było Jego zdumienie, gdy olśniła go światłość z nieba i usłyszał głos: „Saulu, Saulu czemu mnie prześladujesz?” (Dz 9,4). To zmartwychwstały Chrystus stanął na jego drodze i z prześladowcy uczynił wiernego sługę – Pawła.

Gorliwość Pawła po jego duchowym odrodzeniu sprawiła, że poświęcił całe swoje życie głoszeniu Ewangelii – tej Dobrej Nowiny – zarówno

Żydom, jak i poganom. Świadomość tego, że sam Bóg wybrał i powołał go, aby głosił Ewangelię, pozwoliła mu wyzbyć się i porzucić wszystko, co do tej pory uważał za słuszne. Apostoł czynił to dobrowolnie, bez oglądania się na zapłatę. Sam przywilej głoszenia Słowa Bożego był dlań zaszczytem i nagrodą. Pozostając w kręgu Bożego działania, apostoł mógł stać się pożytecznym narzędziem, skupić wokół siebie ludzi i pozyskać dla Chrystusa nowych wyznawców.

Ten sam cel winien dziś przyświecać nam, chrześcijanom. I choć nasza społeczność chrześcijańska i nasze drogi do wiary w Boga różnią się tak bardzo od tej, w której żył i działał Paweł, winniśmy trwać przy tym, co zostało nam dane od Boga.

Kiedyś, w czasach komunizmu, w Związku Radzieckim religia była zakazana, a wszelkie jej przejawy tępione. Ci, którzy byli chrześcijanami i chcieli pielęgnować życie religijne, musieli to czynić potajemnie. Ale władza radziecka nie szczędziła trudu, by dotrzeć do tych ludzi, a ich duchowych przywódców aresztowała i osadzała w więzieniach.

Zdarzyło się, że do pewnej grupy chrześcijan przedostał się człowiek, który był konfidentem władzy i choć wydawał się bardzo pobożny i zyskał powszechne uznanie wśród chrześcijan, to za jego sprawą aresztowano kilku najbardziej czynnych chrześcijan. Kiedy nastąpiły w Związku Radzieckim przemiany polityczne – słynna „pierestrojka” – wówczas ta niezwykła grupa chrześcijan wyszła z podziemia, lecz nie miała duchowego przywódcy. I wtedy wydarzyła się rzecz bez precedensu: członkowie tej społeczności chrześcijańskiej zwrócili się do byłego konfidenta i powiedzieli: *My wiemy, że ty wydałeś naszych braci w ręce władzy radzieckiej, ale my ci wybaczymy, a ponieważ znasz dobrze Pismo Święte i potrafisz modlić się, chcemy, abyś został naszym duchowym przewodnikiem. I tak się stało. Ten człowiek, który był wrogiem chrześcijan, został ich przyjacielem – jednym z nich. Niezbadane są drogi Boże i Jego zamiary. Wiara w Jezusa Chrystusa zmartwychwstałego sprawiła, że Saul, który był prześladowcą chrześcijan, stał się z woli Boga Jego wiernym sługą, jak sam wyznał: „Dzięki składam temu, który mnie wzmocnił, Chrystusowi Jezusowi, Panu naszemu, za to, że mnie uznał za godnego zaufania, zleciwszy mi tę służbę, mimo to, że przedtem byłem bluźniercą i prześladowcą i gnębicielem, ale miłosierdzia dostąpiłem, bo czyniłem to nieświadomie w niewierze” (1 Tm 1,12-19).*

Wiara w Jezusa Chrystusa uczyniła z Pawła człowieka, który w sposób radykalny zmienił swoje poglądy. Zniewolony przepisami zakonnej pobożności nie mógł Paweł osiągnąć tej prawdy, którą wskazał mu Chrystus Pan. W zetknięciu z Nim stał się wolny i mógł odtąd głosić chwałę Zbawiciela.

Chrystus wyzwolił go z ciasnoty umysłowej i sprawił, że z człowieka zamkniętego i pogrążonego w Zakonie stał się otwarty dla ludzi, jak sam powiada: „*Będąc wolnym wobec wszystkich, oddałem się w niewolę wszystkim, abym jak najwięcej ludzi pozyskał*”.

Zaliczony do grona apostołów Paweł dobrze pojął, jaką rolę ma do spełnienia. Zrozumiał, że u Boga liczy się każdy człowiek i każdemu może być okazana łaska, jeśli taka jest Boża wola.

Żydzi, do których w pierwszym rzędzie Paweł skierował swoje posłanie, byli całkowicie odizolowani od tej prawdy, jaką on zyskał i poznał w Jezusie Chrystusie. Osoba i dzieło pokornego sługi Pana, który złożył swoje życie w ofierze za grzechy ludzi, nie odpowiadały w żadnym razie postaci Mesjasza, o którym mówili starotestamentowi prorocy. Dlatego w rozmowie z nimi Paweł posługiwał się pojęciami zaczerpniętymi ze Starego Testamentu i starał się wykazać, że Jezus Chrystus, który stanął na jego drodze, jest przyobiecany od Boga Mesjaszem. I tylko w zetknięciu z Nim i w przyjęciu Jego nauki usunięta zostaje bariera grzechu i wiecznej śmierci.

Odmienne stanowisko zajął apostoł wobec tych, którzy nie podlegali Zakonowi, czyli wobec pogan. Chrystus wypisał na jego sercu nowy Zakon – Zakon miłości, a przez to zobowiązał Pawła do okazywania miłosierdzia ludziom grzesznym. Mógł więc Paweł na wzór swego Pana i Zbawiciela zasiadać przy jednym stole z grzesznikami, rozstrzygać ich problemy i głosić im Ewangelię.

Głównym celem Pawła było pozyskiwanie ludzi dla Jezusa Chrystusa. Nie powinniśmy się jednak ograniczać tylko do wierzących i zamykać we własnym gronie. Każdy z nas może napotkać na swej drodze ludzi wierzących i wątpiących, poszukujących prawdy i sceptyków. Ludźmi, z którymi przyjdzie nam rozprawić o Bogu i prowadzić do Chrystusa, są młodzi i starzy, zdrowi i chorzy, i musimy wiedzieć, jak do nich dotrzeć. Na to, by ludzie uwierzyli głoszonej przez nas Ewangelii, trzeba znaleźć się w ich środowisku i stać się jednym z nich – tak jak to uczynił Jezus Chrystus.

A wzorem apostoła Pawła i zgodnie z nauką naszego Kościoła, winniśmy stać się wolnymi wobec wszystkich, a zarazem niewolnikami wszystkich jako usługujący. Niech jego przykład, który z prześladowcy stał się misjonarzem Jezusa Chrystusa, będzie dla nas zachętą w naszej służbie – oddaniu i poświęceniu dla dobra bliźnich.

Amen.

9 czerwca 2002 r.

Bądźmy mądrzy

18. Niedziela po Trójcy Świętej

Baczcie więc pilnie, jak macie postępować, nie jako niemądrzy, lecz jako mądrzy, wykorzystując czas, gdyż dni są złe. Dlatego nie bądźcie nierozsądni, ale rozumiejcie, jaka jest wola Pańska. I nie upijajcie się winem, które powoduje rozwiązłość, ale bądźcie pełni Ducha, rozmawiając z sobą przez psalmy i hymny, pieśni duchowe, śpiewając i grając w sercu swoim Panu. Dziękując zawsze za wszystko Bogu i Ojcu w imieniu Pana naszego, Jezusa Chrystusa, ulegając jedni drugim w bojaźni Chrystusa.

Ef 5,15-21

Życie każdego człowieka ujęte jest w ściśle określone ramy: narodziny, trwanie, śmierć. Ta prawidłowość nie zmienia się w chwili, w której Bóg stworzył człowieka: dał mu ciało i tchnął weń swojego Ducha. Tak ukształtowani, mamy do dyspozycji ograniczony wolą Boga czas naszego ziemskiego bytowania. Tę zależność od Boga, który jest źródłem wszelkiego życia, tak wyraża psalmista: „*Oto na szerokość dłoni wymierzyłeś dni moje, a okres życia mojego jak nic przed Tobą*” (Ps 39,6).

Świadomość, że musimy kiedyś, prędzej czy później, opuścić ten świat, skłania nas do zastanowienia nad tym, jak wypełnić ten czas, który dał nam Bóg do dyspozycji. Człowiek do pewnego stopnia jest panem własnej woli i może postępować lepiej lub gorzej. Jako chrześcijanie wiemy, czym się kierować, aby życie nasze było zgodne z Bożym postanowieniem. Nie wiemy natomiast, ile Bóg dał nam czasu: czy mamy przed sobą krótkie, czy długie życie. Dlatego winniśmy przyjąć to apostołskie napomnienie i wezwanie: „*Baczcie więc pilnie, jak macie postępować, nie jako niemądrzy, lecz jako mądrzy*”.

Człowiek jako istota rozumna nie zawsze postępuje mądrze. Tego uczą nas dzieje ludzkości i własne doświadczenie. Ileż krzywd i nieszczęść

wydarzyło się na świecie z powodu ludzkiej głupoty! Niejedno życie zostało unicestwione lub zamienione w koszmar. Wojny, prześladowania, od wieków czyniły spustoszenie. Nawet wtedy, gdy groźba totalnej zagłady zawisła nad ludzkością.

Czasy, w których żyjemy, są pełne niepokoju; ludzie odwracają się od Boga, ulegając podszeptom szatana. To za jego sprawą dzieje się tyle zła na świecie: porywanie samolotów, więzienie niewinnych ludzi dla wymuszenia okupu, podkładanie bomb w miejscach publicznych itp. I chociaż sprawcami tych wszystkich nieszczęść nie są chrześcijanie, ale oni też potrafią zwalczać się wzajemnie, jak to ma miejsce na przykład w Irlandii Północnej. *„Wykorzystujcie czas, gdyż dni są złe”* – powiada apostoł Paweł, a to oznacza, że i my musimy opowiedzieć się, czy jesteśmy po stronie Boga, czy szatana, miłości czy nienawiści.

Niejednokrotnie życie nasze przypomina balansowanie na wąskiej kładce pomiędzy prawdą a kłamstwem, pomiędzy wyznawaniem a zapieraniem się Boga. Musimy uważać, abyśmy nie obsunęli się w przepaść. Zapewne to miał na myśli Paweł pisząc do chrześcijan: *„Bądźcie trzeźwi, czuwajcie! Przeciwnik wasz, diabeł, chodzi wokół jak lew ryczący, szukając, kogo by pochłonąć”* (1 P 5,8).

Trzeźwość w ocenie wydarzeń, które mają miejsce w naszym życiu oraz roztropność i mądrość, to cechy chrześcijan, którymi winniśmy się kierować. Tego oczekuje od nas Chrystus Pan. Mamy postępować zgodnie z wolą Boga, trzymając się Jego przykazań. Wybór między dobrem a złem nie jest rzeczą trudną. W sprawach wiary i moralności winniśmy kierować się Słowem Bożym.

W osobie Jezusa Chrystusa mamy Pana, który mówi nam, że jest światłością i prawdą. Tym, którzy w Niego wierzą i ufają Mu, daje możliwość przenikania i zgłębiania Bożych planów. Jezus Chrystus chce nas nie tylko ustrzec przed pójściem złą drogą, ale prowadzi nas do Ojca Niebieskiego przez świat pełen diabelskich zasadzek. Paweł pisze: *„Nie upijajcie się winem, które powoduje rozwiązłość, ale bądźcie pełni ducha”*. Ludzie wierzący powinni zdawać sobie z tego sprawę, jak zgubny wpływ ma i do czego prowadzi alkoholizm czy narkomania. Niestety, miliony ludzi, zwłaszcza młodych, ulegają tym niebezpieczeństwom, popadając w nałóg. Te plagi ogarniają dziś coraz szersze rzesze naszego społeczeństwa. Bandy wyrostków napadają niewinnych ludzi, grabią, gwałcą i mordują dla zdobycia pieniędzy czy zaspokojenia żądzy. Życie takich ludzi, pozbawione wartości religijnych i moralnych, nie mające oparcia w Bogu, kończy się katastrofą. To czas stracony, niewykorzystany dar Boga dla człowieka. Chcąc tego wszystkiego uniknąć i by nie zejść na bezdroża, nie utracić

wiary i nadziei pokładanych w Bogu, winniśmy wypełnić nasze życie inną treścią. Apostoł Paweł mówi: „*bądźcie pełni Ducha*” – co oznacza, że od wczesnych lat dzieciństwa aż po zgon mamy trwać w społeczności z Bogiem. Mamy pielęgnować w sobie życie duchowe w oparciu o Boże nakazy. Kościół Jezusa Chrystusa jest powołany do tego, by zwiastować ludziom prawdę o Bogu, zaszczeniać wiarę i nadzieję w ostateczne zwycięstwo dobra nad złem.

Dlatego budujemy i umacniamy naszą społeczność z Bogiem. Pamiętajmy, że czas naszego pielgrzymowania na Ziemi jest ograniczony wolą Boga. Trwajmy w wierze w Jezusa Chrystusa uświęcającej nasze życie w doczesności prowadzącej do życia wiecznego. Niech każdy kolejny dzień, który mamy od Boga, będzie radosnym dziękczynieniem i uwielbieniem Jego chwały. Oby ten czas dany nam od Boga został dobrze wykorzystany, obyśmy potrafili rozróżnić między dobrem a złem i postępowali mądrze, zgodnie z wolą Boga. Dlatego wołajmy wraz z psalmistą: „*Nasyć nas o świecie łaską swoją, abyśmy się weselili i radowali przez wszystkie dni nasze*” (Ps 90,14).

Amen.

29 września 2002 r.

Nie można być zbyt pewnym

Niedziela Sexagesimae

Wyszedł siewca rozsiewać ziarno swoje. A gdy siał, jedno padło na drogę i zostało zdeptane, a ptaki niebieskie zjadły je. A drugie padło na opokę, a gdy wzeszło, uschło, bo nie miało wilgoci. A inne padło między ciernie, a ciernie razem z nim wzrosły i zadusiły je. A jeszcze inne padło na ziemię dobrą i, gdy wzrosło, wydało plon stokrotny. To mówiąc, wołał: Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha. I pytali go jego uczniowie, co znaczy to podobieństwo. A On im rzekł: Wam dane jest poznać tajemnice Królestwa Bożego, ale innym podaje się je w podobieństwach, aby patrząc nie widzieli, a słuchając nie rozumieli. A podobieństwo to znaczy: Ziarnem jest Słowo Boże. A tymi na drodze są ci, którzy wysłuchali; potem przychodzi diabeł i wybiera słowo z serca ich, aby nie uwierzyli i nie byli zbawieni. A tymi na opoce są ci, którzy, gdy usłyszą, z radością przyjmują słowo, ale korzenia nie mają, do czasu wierzą, a w chwili pokusy odступują. A to, które padło między ciernie, oznacza tych, którzy usłyszeli, ale idąc drogą wśród trosk, bogactw i rozkoszy życia, ulegają przyduszeniu i nie dochodzą do dojrzałości. A to, które padło na dobrą ziemię, oznacza tych, którzy szczerym i dobrym sercem usłyszawszy słowo, zachowują je i w wytrwałości wydają owoc.

Łk 8,5-15

Wśród wielu podobieństw, które wypowiedział Jezus, głosząc ludziom Ewangelię, podobieństwo o siewcy wydaje się proste i zrozumiałe dla każdego. A jednak kryje ono w sobie tajemnicę, której początkowo nie mogli zgłębić nawet uczniowie Jezusa. Mówiąc o Królestwie Bożym, czyli o panowaniu Boga nad światem, Jezus chciał ukazać ludziom prawdę, której

nie można całkowicie ogarnąć przy pomocy zmysłów. Dlatego zakończył to podobieństwo stwierdzeniem: „*Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha*”. Inaczej mówiąc, komu dane zostało przyjęcie i zgłębienie Bożej tajemnicy, ten winien podporządkować jej swoje życie. Potwierdzeniem tej prawdy są dobrze znane słowa z Ewangelii: „*błogosławieni są ci, którzy słuchają Słowa Bożego i strzegą go*” (Łk 11,28).

Słowa, które kieruje do nas Jezus w tym podobieństwie, mają nas zbliżyć do Boga, ugruntować wiarę w Niego i uczynić uczestnikami Jego chwały. Jezus jako ten, który objawił ludziom prawdę o Bogu i wskazał do Niego drogę, występuje jako Siewca. To On powołał pierwszych uczniów, zwiastował Dobrą Nowinę, uzdrawiał chorych, wskrzeszał umarłych, wziął na siebie grzechy ludzi i zaniósł je na krzyż Golgoty. To dzięki Jego męczeńskiej śmierci i zmartwychwstaniu, Królestwo Boże stało się dostępne dla tych, którzy w Niego uwierzyli.

A mimo to wielu od Niego odeszło i wzgardziło Tym, który miał do ofiarowania tak wiele – Słowo życia wiecznego. Tylko nieliczni poznali i uwierzyli, że w pouczeniu Syna Bożego wobec świata ukryta jest moc Boża, która wszystko przewyższa. Tylko ci wybrani przez Jezusa, którzy trwali przy Nim aż do śmierci i nie zgorszyli się Jego poniżeniem, znaleźli odpowiedź na pytanie: Kim jest Bóg i jaki jest sens życia z Bogiem?

Ludzie, którym dane było spotkać na swej drodze Jezusa i przyjąć Jego Słowo, otrzymali w darze niebiański pokarm. Sam Bóg jest tym, który zaopatruje i żywi człowieka, jak o tym mówi przez usta proroka Izajasza: „*Tak jest z moim Słowem, które wychodzi z moich ust*” (Iz 55,11). Słowo Boże – jak mogli się o tym niejednokrotnie przekonać uczniowie powołani przez Jezusa – ma wielką moc, budzi wiarę i zapewnia o Bożej miłości. Znamy z Ewangelii opowiadanie o cudownym połowie ryb, czy o uzdrowieniu sługi setnika. Wystarczyło jedno słowo Jezusa, by dać ludziom to, czego potrzebowali. Słowa i czyny Jezusa – Syna Bożego – odnosiły się nie tylko do życia w doczesności. Celem, który wyznaczył Jezus i do którego prowadził, było Królestwo Boże. To dla osiągnięcia tego celu pierwsi uczniowie zdecydowali się powierzyć siebie Jezusowi, mówiąc: „*Panie! Do kogo pójdziemy? Ty masz słowa żywota wiecznego*” (J 6,68).

Dziś Jezus Chrystus kieruje swoje Słowo do nas i oczekuje zdecydowanej odpowiedzi. Czy chcemy mu zaufać i podążać za Nim? Świat, w którym żyjemy, pełen jest dróg i ścieżek, które obierają ludzie, by osiągnąć różne korzyści. Zazwyczaj chodzi o dobra materialne, a troska o nie spędza sen z powiek tym, którzy tylko tego pragną. Droga chrześcijan jest inna, nie szeroka i wygodna, lecz często wąska i wyboista.

Podobieństwo Jezusa o czworakiej roli charakteryzuje dokładnie to wszystko, z czym mamy do czynienia w życiu codziennym. Troski i kłopoty, pokusy, brak wytrwałości, to są przeszkody, które osłabiają naszą wiarę w Jezusa Chrystusa i w Jego Słowo. Jezus dobrze wiedział, że ten boski siew Jego Słowa nie zawsze i nie wszędzie wyda dobry plon. To może się wydać niezrozumiałe, że Słowo Boże, mimo swej mocy, natrafia na tyle przeszkód. Dlaczego Bóg zgadza się na to, by człowiek miał je w pogardzie?

Jednym z powodów jest działanie złych mocy. Ten diabeł, o którym mówi Jezus, to nie postać z bajek, z rogami i z kopytami. Ale z pewnością jest to ten sam szatan, który kusił Jezusa podczas Jego czterdziestodniowego postu na pustyni. To właśnie ta moc diabelska ma władzę nad człowiekiem i potrafi wyplenić z jego serca siew Słowa Bożego. Inną przeszkodą są pokusy, które sprawiają, że człowiek wprawdzie chętnie przyjmuje Słowo Boże, ale nie potrafi wytrwać w Nim i podporządkować Mu swego życia. Wreszcie to, co najczęściej zagraża człowiekowi, troski, cierpienia fizyczne i psychiczne, choroby i śmierć kogoś bliskiego mogą zachwiać wiarę i oderwać od Jezusa Chrystusa. Nikt z nas nie może być pewny, że te wszystkie przeszkody ominie i zachowa wiarę niczym nie wzruszoną. Nie można być zbyt pewnym swojej wiary, tak jak miało to miejsce w życiu apostoła Piotra. Nie należy poddawać się uczuciu rezygnacji i wołać do Boga, tak jak prorok Eliasz, który schronił się na pustyni, uchodząc przed czyhającą na jego życie królową Izabel: *„Dosyć już Panie, weź życie moje”*. (1 Kr 19,4).

Na szczęście nie każda troska i nie każde cierpienie może nas oderwać od Jezusa Chrystusa i pozbawić nadziei zbawienia. Sam Jezus dał temu wyraz, mówiąc: *„Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania, albowiem ich jest Królestwo Niebios”* (Mt 5,10).

Ta nadzieja zbawienia winna przyświecać nam dziś, gdy Słowo Boże znajduje się w centrum życia. Ono jest niczym pochodnia, która rozprasza mroki nocy, pozwala nam wytrwać i wydać dobry plon. Jezus, ten boski Siewca zwraca się dzisiaj ku nam i chce, abyśmy znaleźli się wśród tych, którzy idą za Nim nie bacząc na wszelkie przeszkody i osiągając cel, jakim jest życie wieczne. To, co jeszcze dzisiaj jest zakryte przed naszymi oczyma, czego nie potrafimy ogarnąć naszymi zmysłami, zawarte jest w słowach obietnicy: *„Wam dane jest poznać tajemnice Królestwa Bożego”*.

Amen.

23 lutego 2003 r.

Czy patrzymy wstecz?

3. Niedziela Pasyjna

Gdy tedy szli drogą, rzekł ktoś do niego: Pójdę za tobą, dokądkolwiek pójdziesz. A Jezus rzekł do niego: Lisy mają jamy, a ptaki niebieskie gniazda, lecz Syn Człowieczy nie ma, gdzie by głowę skłonił. Do drugiego zaś rzekł: Pójdź za mną! A ten rzekł: Pozwól mi najpierw odejść i pogrzebać ojca mego. Odrzekł mu: Niech umarli grzebią umarłych swoich, lecz ty idź i głos Królestwo Boże. Powiedział też inny: Pójdę za tobą, Panie, pierwszej jednak pozwól mi pożegnać się z tymi, którzy są w domu moim. A Jezus rzekł do niego: Żaden, który przyłoży rękę do pługa i ogląda się wstecz, nie nadaje się do Królestwa Bożego.

Łk 9, 57-62

Kim jest dla nas Jezus Chrystus? To pytanie stawiamy sobie wielokrotnie przy różnych okazjach i w różnych okolicznościach życia. A odpowiedź na nie jest szczególnie ważna także i wówczas, gdy mamy określić naszą wiarę w Zbawiciela i naszą przynależność do Niego.

Trzy krótkie wypowiedziane w sposób bezwzględny określenia Jezusa charakteryzują postawę człowieka wobec Syna Bożego. Spójrzmy na ludzi, którzy zetknęli się z Jezusem i chcieli z nim związać swoje życie. Jak kształtowała się ich wiara? Czy osiągnęli cel, do którego zmierzali?

Pierwszy z wymienionych ludzi gotów był pójść za Jezusem bez zastrzeżeń. Nie pytał o warunki ani o to, co ma uczynić, by zostać jego uczniem. To bezgraniczne zaufanie zrodziło się pod wpływem chwili. Ten uczeń ujrzał Jezusa i powiedział doń: „Pójdę za Tobą, dokądkolwiek pójdziesz”. Wydawać by się mogło, że Jezus pochwali taką decyzję i powie: „Dobrze synu zrobiłeś, kto następny?” Tymczasem Jezus wyraźnie studził zapał tego człowieka mówiąc: „Lisy mają jamy, a ptaki niebieskie gniazda, lecz syn człowieczy nie ma, gdzie by głowę skłonił”. Jedynym oparciem i schronieniem dla Jezusa był Bóg. Jemu zaufał i w Nim pokładał nadzieję. Tylko

Bóg i nic ponadto. Czy taka wiara, nieobwarowana żadnymi obietnicami, wystarcza nam, ludziom słabym i grzesznym? Z pewnością nie. Jako ludzie wierzący w Jezusa Chrystusa oczekujemy od Boga wciąż nowych dowodów Jego łaski i miłości.

Przestroga, jakiej Jezus udziela człowiekowi, który Mu zaufa i chciał pójść za Nim, nie była jakąś próbą wytrwałości, lecz stwierdzeniem, że On, Jezus nie ma trwałego miejsca i oparcia w tym świecie. To wszystko, co miało spotkać Jezusa w tym życiu, nie mogło być zachętą dla ludzi, którzy chcieli pójść za Nim.

Niepokój i brak stałego miejsca na ziemi były udziałem Jezusa do końca Jego ziemskiej wędrówki. On był w drodze do Ojca w niebie. I my również jesteśmy w drodze, pielgrzymujemy do niebieskiej ojczyzny. Ale też ta droga nie jest usłana różami, lecz nacechowana cierpieniami i wyrzeczeniami. Tu, na ziemi, nie możemy założyć trwałego fundamentu, który zapewniłby nam pewne schronienie, bo jak pisze autor *Listu do Hebrajczyków*: „*Albowiem nie mamy tu miasta trwałego, ale tego przyszłego szukamy*”.

Mówiąc o niepokoju i braku oparcia w tym świecie, Jezus nie chciał pozbawić nas nadziei i sprowadzić na manowce, na bezdroża wiary. Przeciwnie, patrząc na Jezusa i wstępując w Jego ślady, zdążamy ku Bogu, jesteśmy w drodze do niebieskiej ojczyzny.

Inaczej kształtowała się postawa człowieka, którego Jezus wezwał, aby poszedł za Nim. Wydawać by się mogło, że okoliczność, jaką był pogrzeb ojca, stanowiła istotny powód zwłoki w przyjęciu wezwania Jezusa. Takie wrażenie odnosimy słuchając tej opowieści i dziwimy się reakcji Jezusa, który powiedział: „*Niech umarli grzebią umarłych swoich, lecz ty idź i głos Królestwo Boże*”. Dla Izraelitów pogrzeb, zwłaszcza osoby bliskiej, jak ojciec czy matka, był wydarzeniem wielkiej wagi. Zmarłemu należała się szczególna cześć, tym większa, im wyżej w hierarchii znajdował się za życia dany człowiek. Istniała nawet instytucja płaczek, które uczestniczyły w każdym pogrzebie. Jezus jakby przekreślił to wszystko i powiedział do człowieka, na którego padł jego wybór: „*Ty idź i głos Królestwo Boże*”. Ewangelista nie mówi, jak potoczyły się losy tego człowieka. Czy usłuchał wezwania Jezusa i poszedł za Nim? Nie to jest jednak istotne w tym opowiadaniu. Ważne jest natomiast dokonanie właściwego wyboru między tym, co przemijające, a tym co wieczne. Jezus niejednokrotnie wskazywał na to uczniom, mówiąc: „*Szukajcie najpierw Królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a wszystko inne będzie wam dodane*” (Mt 6,34).

Sytuacja wielu ludzi żyjących we współczesnym świecie bardziej przypomina tych, którzy pogrążeni są w smutku i rozpacz z powodu utraconych wartości ziemskich. Obraz życia i śmierci krzyżowej Jezusa

Chrystusa dowodzi czegoś innego. On nie pozostał w krainie umarłych, lecz przeszedł do wieczności, do Ojca Niebieskiego. I stąd Jego wezwanie: „lecz ty idź i głos Królestwo Boże”.

Wreszcie ostatni przykład człowieka, który miał wstąpić w ślady Jezusa, ale przedtem chciał się pożegnać z najbliższymi. I to też wydaje się całkiem normalne i uzasadnione. A jednak i tym razem padają ostre słowa z ust Jezusa: „*Żaden, który przyłoży rękę do pługa i ogląda się wstecz, nie nadaje się do Królestwa Bożego*”.

Oglądanie się za siebie i spoglądanie w przeszłość cechuje każdego człowieka. Czy nie wracamy myślą do spraw, które miały miejsce w przeszłości? Czy nie wydaje nam się, że utraciliśmy bezpowrotnie, coś co było piękne i cenne w naszym życiu? Z pewnością tak jest. Ale nie o to chodziło Jezusowi. On miał na myśli ludzi, którzy dobrowolnie wstępują w Jego służbę, ale jeszcze ciągle nie mogą rozstać się z tym, co było w przeszłości. Zastanawiają się nad tym, czy warto było pójść za Nim. Spójrzmy na Jego uczniów, którzy też myśleli podobnie i mówili: „*oto my opuściliśmy wszystko i poszliśmy za Tobą, cóż za to mieć będziemy?*” (Mt 19,27).

Każdy, kto zdecydował się pójść za Jezusem i chce Mu wiernie służyć, winien wyrzec się wszystkiego, co mogłoby osłabić i zerwać tę więź z Chrystusem. Rezygnacja i osamotnienie w walce z przeciwnościami życia mogą być udziałem każdego z nas. Ale wtedy musimy postawić sobie to pytanie, wypowiedziane na wstępie: Kim jest dla nas Jezus Chrystus?

Czas pasyjny jest taką okazją, by przyjrzeć się temu, co powiedział i uczynił Jezus. On szedł drogą cierpienia, był samotny, opuszczony przez ludzi i skazany na męczeńską śmierć. Ale On sam dokonał tego wyboru, bo miał przed sobą jeden cel – zbawienie grzeszników. Jezus Chrystus utworował nam drogę do Królestwa Bożego, dlatego idziemy za Nim, nie oglądając się za siebie.

Amen.

23 marca 2003 r.

Moc Boża w działaniu Jezusa Chrystusa

Od początku swej publicznej działalności Jezus Chrystus spotykał się z przejawami niewiary. Jego przeciwnicy starali się udowodnić Mu, że nie jest tym, za kogo się podaje. Zwłaszcza w oczach faryzeuszy i uczonych w Piśmie Jezus uchodził za oszusta, który przy pomocy zręcznych sztuczek chciał dowieść, że jest zapowiedzianym przez proroków Mesjaszem. Mimo iż dał wiele dowodów na to, że jest zesłanym od Boga Zbawicielem, wciąż wysuwano przeciwko Niemu nowe zarzuty. Usiłowano w ten sposób obalić, a przynajmniej podważyć prawdziwość wypowiedzianych przez niego prawd i czynów.

Wiemy, że Jezus nie pragnął władzy ziemskiej i nie zabiegał o „głosy elektoratu”, jak to ma miejsce w dzisiejszych czasach u współczesnych władców. Świadczyło o tym najlepiej Jego wyznanie złożone przed Piłatem w obliczu śmierci: „*Królestwo moje nie jest z tego świata*” (J 18,36). Mimo to Żydzi wysuwali wciąż nowe zarzuty pod adresem Jezusa. Nie dali wiary słowom i czynom, które świadczyły o tym, że Jezus jest Synem Bożym i zapowiedzianym Mesjaszem. Ten naród wybrany przez Boga okazał się tak krótkowzroczny! Zaślepienie i nienawiść jego przywódców, faryzeuszy i uczonych w Piśmie wzięły górę nad tym, co Bóg uczynił darem łaski i miłości dla człowieka.

Jezus na próżno starał się przekonać tych ludzi, kim jest naprawdę. To też Jan napisał o Nim w prologu swojej Ewangelii: „*Na świecie był i świat przezeń powstał, lecz świat Go nie poznał*” (J 1,10).

Lud, który miał służyć Bogu Najwyższemu, odwrócił się od Niego i stąd to stwierdzenie proroka Jeremiasza: „*To jest ten naród, który nie usłuchał głosu Pana, swojego Boga*” (Jr 7,28). W ślad za tym proroctwem Bóg zesłał

swego Syna jednorodzonego. I co stało się z tym, który był ucieleśnionym Słowem Boga? Mimo tak wielkiej poręki, człowiek pozostał nieufny i podejrzliwy w stosunku do Syna Bożego. Zarzuty stawiane niegdyś Jezusowi przeniesiono na Jego uczniów i na cały Kościół chrześcijański. Chrystus Pan wiedział o tym już wówczas, mógł więc powiedzieć do uczniów: „*Jeśli świat was nienawidzi, wiedzcie, że mnie wpierw niż was znienawidził (...) Jeśli mnie prześladowali i was prześladować będą*” (J 15,18.20). Uczniowie Jezusa zrozumieli później, że muszą pójść tą samą drogą, co ich Pan i Nauczyciel. Dopóki Jezus był przy nich, nie obawiali się przeszkód, lecz gdy Go zabrakło, zwątpienie zakradło się do ich serc. Kościół pierwszych wieków stał mocno na gruncie nauki Chrystusowej, utwierdzany świadectwem apostołów. Później przysłyły doświadczenia, które nie zawsze korzystnie wpływały na dalszy rozwój Kościoła. Następowaly kolejne podziały między chrześcijanami, które osłabiły jego gmach. Nie zdołały one jednak wstrząsnąć posadami, gdyż fundamentem, na którym opiera się Kościół, jest Jezus Chrystus.

Odpowiadając na zarzut współpracy z szatanem, Jezus nawiązał do działalności tzw. egzorcystów, ludzi, którzy w owym czasie potrafili wypędzać demony. Jeżeli – jak twierdzili przeciwnicy Jezusa – On wypędza demony mocą diabelską, to wobec tego i wspomniani egzorcyści czynią to w ten sam sposób. Konkluzja była prosta: „Dlatego oni będą sędziami waszymi”.

Jezus niejednokrotnie odpierał zarzuty faryzeuszy i uczonych w Piśmie w taki sposób. I tym razem też doprowadził do tego, że Jego przeciwnicy zostali pokonani własną bronią. Nadto Jezus wykazał ponad wszelką wątpliwość, że wraz z Jego wystąpieniem nadszedł czas rozprawy ze śmiertelnym wrogiem ludzkości – szatanem. Chrystus przeciwstawił się szatanowi już wówczas, gdy był przez niego kuszony na pustyni przez czterdzieści dni i zwyciężył, mimo iż sam musiał iść drogą cierpienia i śmierci. Ale śmierć naszego Pana i Zbawiciela stała się dla nas źródłem mocy i wyzwolenia od grzechu i śmierci oraz władzy szatana. Bóg wyprowadził wielkiego Pasterza z krainy umarłych i przeniósł Go do swego Królestwa. Będąc tam i siedząc po prawicy Ojca, Jezus Chrystus oczekuje tych, którzy uwierzyli w Niego i poszli za Nim.

Czy i Ty uwierzysz i zechcesz pójść za swym Panem? Jeśli tak, to nie możesz pozostać obojętny na Jego oświadczenie, będące jednocześnie wezwaniem: „*Kto nie jest ze Mną, jest przeciwko Mnie, a kto nie gromadzi ze Mną, rozprasza*”. W walce z szatanem, który wciąż jeszcze ma nad nami władzę, winniśmy zdecydowanie stać po stronie Jezusa. Rezygnacja z walki i obojętność stawiają nas po stronie szatana. Musimy pamiętać o tym, jaką cenę Jezus zapłacił za nasze wyzwolenie. W objaśnieniu katechizmowym

do II Artykułu Wiary czytamy: „Wierzę, że Jezus Chrystus prawdziwy Bóg, z Ojca w wieczności zrodzony i zarazem prawdziwy Człowiek z Maryi Panny narodzony, jest moim Panem, który mnie zgubionego i potępionego człowieka wybawił, odkupił i pozyskał od wszelkiego grzechu, od śmierci i władzy szatana nie złotem ani srebrem, ale Krwią swoją Świętą i drogą, niewinną męką swoją i śmiercią”. Pamiętajmy, że Chrystus Pan modlił się do Ojca, abyśmy wszyscy stali się pojednani i zespoleni w Jego Kościele. Nie można stawiać tamy Bożym postanowieniom. Dlatego, ilekroć spotykamy się w naszych kościołach i modlimy się o jedność chrześcijan, oznacza to, że jesteśmy gotowi opowiedzieć się za Chrystusem i pozwolić, by On nas prowadził poprzez nie zawsze łatwe drogi naszego życia.

Nie wszyscy ludzie rozumieją i dostrzegają potrzebę takiej modlitwy. Nie zawsze spotykamy się ze zrozumieniem u naszych współwyznawców, dla których ekumenia jest niepotrzebnym balastem. Chrystus Pan też nie był przez wszystkich rozumiany i akceptowany, ale On wiedział, że musi cierpieć i być odrzucony przez ludzi.

Czas pasyjny przypomina nam o drodze, jaką odbył Jezus do Jerozolimy, by na krzyżu Golgoty dopełnił się kres Jego ziemskiej działalności.

Dla Chrystusa i dla Jego chwały nie bójmy się ponosić trudów i cierpień, które są niekiedy naszym udziałem. Pan jest przy nas i będzie nas wspierał swą mocą z wysokości. Dziękujemy Mu za to i wielbimy Jego imię teraz i po wieczne czasy.

Amen.

marzec 2000 r.

Droga chrześcijan do Ojca Niebiańskiego

Na rozpoczęcie Tygodnia Ekumenicznego

Odpowiedział mu Jezus: Ja jestem droga i prawda, i żywot, nikt nie przychodzi do Ojca, tylko przeze mnie.

J 14,6

Tak jak co roku, w pierwszych dniach stycznia spotykamy się na nabożeństwach z okazji Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan. Te nasze modlitwy inspirowane są Słowem Bożym, które ma nas natchnąć i pobudzić naszą wiarę w Tego, który jest Panem i Zbawicielem świata.

Hasłem tegorocznego Tygodnia Modlitw są słowa Jezusa z *Ewangelii Jana* (J 14,6) „*Ja jestem drogą, prawdą i życiem*”. Te słowa wypowiedział Chrystus Pan przed swoim odejściem z tego świata do Ojca Niebiańskiego. Dla uczniów, z którymi dotąd przebywał, te słowa miały być gwarancją, że ich Pan i Nauczyciel będzie nadal z nami, będzie ich chronił i prowadził wszędzie tam, dokąd się udadzą w Jego imieniu.

Dwa tysiące lat istnienia chrześcijaństwa dowiodły, że Kościół, którego kamieniem węgielnym jest Jezus Chrystus, żyje i rozwija się, mimo podziałów, jakie miały miejsce w przeszłości między chrześcijanami.

Kiedy uczniowie Jezusa usłyszeli, że ich Pan wkrótce od nich odejdzie, zasmucili się i zatrwożyli. Jak sobie bez Niego poradzą? Czy zdołają pokonać przeszkody piętrzące się na drodze wiary i poznania Boga? Wówczas usłyszeli z ust Jezusa słowa, które Pan Kościoła kieruje i do nas: „*Niechaj się nie trwoży serce wasze*”.

Różne bywają lęki i zagrożenia towarzyszące człowiekowi na tym świecie. Małe dziecko boi się, gdy pozostaje choć przez chwilę samo, bez opieki matki czy ojca. Człowiek wchodzący w dorosłe życie przeżywa swoje rozterki i lęki przed przyszłością. Ludzie w podeszłym wieku, chorzy lub osamotnieni obawiają się, czy sobie poradzą, gdy zabraknie im sił i środków do życia. Poszczególne narody boją się, że mogą stać się ofiarą agresji silniejszych i lepiej uzbrojonych państw. Człowiek lęka się człowieka, który może mu wyrządzić krzywdę lub pozbawić życia.

Zagrożona jest także sfera życia duchowego. Chrześcijaństwo jest tylko jedną z religii, która w zetknięciu z innymi religiami może stać się ofiarą ich agresji.

W łonie chrześcijaństwa też istnieje zagrożenie. Historia dowiodła, że wyznawcy Jezusa Chrystusa, niepomni Jego nauki, zwalczali się wzajemnie. Wojny religijne i prześladowania nie ominęły wielu cywilizowanych państw. Silniejsi dyktowali prawa i ciemnieżyli słabszym. Tak było w przeszłości, a jak jest obecnie? Czy możemy powiedzieć, że pokolenie chrześcijan, do którego należymy, wyciągnęło właściwe wnioski z przeszłości? Czy zerwaliśmy już z tym, co obarcza winą grzechu nieposłuszeństwa wobec Boga?

Chrystus Pan żegnając się z uczniami, powiedział: *„Nowe przykazanie daję wam, abyście się wzajemnie miłowali, jak ja was umiłowałem(...) Po tym wszyscy poznają, żeście uczniami moimi”* (J 13,34.35). Pierwsi uczniowie Jezusa zapamiętali te słowa i krzewili miłość, ale fala nienawiści i zła, którego sprawcą jest szatan, ogarnęła wkrótce świat. Uczniowie przeżyli chwile grozy i zwątpienia, gdy ich Pan został uwięziony i skazany na męczeńską śmierć. Ale w tej krytycznej chwili tliła się w ich sercach isierka nadziei wzniecona przez Jezusa słowami: *„Niechaj się nie trwoży serce wasze”*.

Jak wiemy, drogą, którą podążał Jezus i którą wskazywał uczniom, nie skończyła się na Gólgocie wraz z Jego śmiercią na krzyżu. Chrystus zmarł, wstał i żyje u Ojca w niebie; żyje w sercach wierzących w Niego.

Jako ludzie słabi i grzeszni często nie możemy się uporać z wieloma przeciwnościami na drodze, którą uznaliśmy za jedynie prawdziwą, na drodze wiodącej nas do Ojca Niebiańskiego. Słowa obietnicy Chrystusowej o życiu wiecznym, będące gwarancją zbawienia, uchodzą naszej uwadze. Zamiast nich dochodzą do głosu i ogarniają nas wątpliwości, czy możemy uważać się za uczniów Chrystusowych; za ludzi, którzy mają korzystać z tych dobrodziejstw, które zapewnia nam nasz Pan i Zbawiciel. Słowa Jezusa, tak jednoznaczne i proste w swej wymowie, nie mogą utorować sobie drogi do serc i umysłów ludzi. Ale to nie dzieje się z winy Boga, lecz wynika z zatwardziałości i zaślepienia człowieka. Sprzecznosc in-

teresów ludzkich sprawia, że chrześcijanie nie potrafią pojednać się ze sobą w miłości Chrystusowej. I chociaż od czasu do czasu czynimy wobec siebie przyjazne gesty i wypowiadamy miłe słowa, to wciąż wracamy do dawnego stanu.

Gdzie zatem mamy szukać upragnionej jedności dzieci Bożych? Niektórzy sądzą, że niezbędne do tego jest porozumienie zwierzchników kościelnych i wspólna deklaracja. Ale tego rodzaju porozumienia nie zawsze prowadzą do celu i nie są tą drogą, którą wskazał Jezus Chrystus.

Kiedyś Żydzi i Samarytanie sprzeczcali się o to, gdzie należy oddawać cześć Bogu: w Jerozolimie czy w Samarii na Górze Garizim. Chrześcijanie naszych czasów czynią to samo. Dla jednych tą „góram” jest Rzym, dla innych Genewa albo jeszcze jakieś miejsce. A Jezus Chrystus mówi wyraźnie: *„nadchodzi godzina, kiedy ani na tej górze, ani w Jerozolimie nie będziecie oddawali czci Ojcu. Lecz nadchodzi godzina i teraz jest, kiedy prawdziwi czciciele będą oddawali Ojcu cześć w duchu i prawdzie”* (J 4,21.23). A może już nadeszła ta godzina, tylko my stoimy w miejscu i boimy się przekroczyć ustalone wielowiekową tradycją zasady?

Droga do jedności chrześcijan nie rodzi się z nakazów i zakazów obowiązujących w danym Kościele. Ona rodzi się w sercach ludzi prawdziwie wierzących, że Jezus Chrystus jest jedynym Panem i Zbawicielem. Do Niego kierujemy dziś nasze modlitwy w tej nadziei, że zostaną wysłuchane, że sam Bóg, który zesłał swego Syna na ziemię, aby wprowadzić ludzkość do niebiańskiej ojczyzny, wysłucha ich. Nie bójmy się pójść za tym wezwaniem, które niegdyś Chrystus Pan skierował do swoich uczniów. Jezus Chrystus nie pozostawia swego Kościoła na pastwę losu. On zna nasze potrzeby, lęki, obawy i zagrożenia tego świata. Dlatego mówi: *„Niechaj się nie trwoży serce wasze. Ja jestem drogą, prawdą i życiem”*.

Amen.

luty 2001 r.

Świadkowie sprawy Chrystusowej

1. Niedziela po Wielkanocy

I rzekł im: Idąc na cały świat, głoscie ewangelię wszystkiemu stworzeniu. Kto uwierzy i ochrzczony zostanie, będzie zbawiony, ale kto nie uwierzy, będzie potępiony. A takie znaki będą towarzyszyły tym, którzy uwierzyli: w imieniu moim demony wyganiać będą, nowymi językami mówić będą, węże brać będą, a choćby coś trującego wypili, nie zaszkodzi im. Na chorych ręce kłaść będą, a ci wyzdrowieją. A gdy Pan Jezus to do nich powiedział, został wzięty w górę do nieba i usiadł po prawicy Boga. Oni zaś poszli i wszędzie kazali, a Pan im pomagał i potwierdzał ich słowo znakami, które mu towarzyszyły.

Mk 16,15-20

Zakończenie *Ewangelii Marka* jest podsumowaniem działalności Jezusa Chrystusa na ziemi. Stanowi ono duchowy testament naszego Pana i Zbawiciela, jest wezwaniem dla uczniów: „*Idąc na cały świat, głoscie Ewangelię wszystkiemu stworzeniu*”.

Jest w tych słowach zawarta najbardziej istotna treść – świadectwo będące podstawą wiary chrześcijańskiej od zarania dziejów Kościoła. Wiara wypływająca ze słuchania i przyjęcia Słowa Bożego przez człowieka, w połączeniu z Chrztem Świętym decyduje o zbawieniu, jak na to wskazują słowa: „*Kto uwierzył i ochrzczony zostanie, będzie zbawiony*”. Wydawać by się mogło, że jest to całkiem prosta sprawa. Jesteśmy przecież wszyscy ochrzczeni w imię Trójjedynego Boga, przed którym złożyliśmy wyznanie wiary. Cóż zatem mogłoby pozbawić nas społeczności z Jezusem Chrystusem zarówno w tym, jak i w przyszłym życiu? Wiemy, że Sakrament Chrztu Świętego to niezatarte znamię na duszy człowieka. Nie można się go wyrzec ani przekreślić.

Inaczej jest z wiarą, ta bowiem często okazuje się zbyt słaba i może nawet całkowicie zaniknąć. Nawet pierwsi uczniowie Jezusa przeżyli kryzys wiary po Jego śmierci męczeńskiej, jak na to wskazują słowa poprzedzające przytoczony tekst biblijny: „*Na koniec Jezus ukazał się jedenastu uczniom, gdy siedzieli u stołu, i ganił ich niewiarę, i zatwardziałość serca, że nie uwierzyli tym, którzy Go widzieli zmartwychwstałego*” (w.14). Przez swój brak wiary w zmartwychwstanie Jezusa, uczniowie z pewnością sprawili głęboki ból swemu Panu. Dlatego musiał wypowiedzieć gorzkie słowa prawdy pod ich adresem. Ale to nie znaczyło, że Jezus wyrzekł się swoich uczniów. Mimo wszystko powierzył im ten odpowiedzialny urząd głosicieli Ewangelii w świecie. Łaska i miłość Boga przezwyciężyły słabość i małowierność uczniów.

I dziś też Chrystus Pan wzywa nas – współczesnych uczniów – do tego, abyśmy byli świadkami Jego sprawy. O tym, czy możemy się uważać za pełnoprawnych głosicieli Ewangelii, nie decydują ludzie, tylko Bóg. On jeden zna nasze słabości i gotów jest nas wesprzeć swą mocą z wysokości. Dlatego Chrystus Pan mógł powiedzieć do uczniów: „*Nie wy mnie wybraliście, ale Ja was wybrałem i przeznaczyłem was, abyście szli i owoc wydawali i aby owoc wasz był trwały*” (J 15,16). Wypełniając rozkaz misyjny naszego Pana i Zbawiciela, musimy zawsze pamiętać o tym, że Jezus był nie tylko człowiekiem, który urodził się z Maryi Dziewicy przed blisko dwoma tysiącami lat, że głosił Ewangelię, uzdrawiał chorych i wskrzeszał umarłych, że sam został ukrzyżowany pod Poncjuszem Piłatem, umarł i zmartwychwstał. Musimy także pamiętać o tym, że został wywyższony na niebiosa i siedział po prawicy Boga Ojca. Więcej, ten uwielbiony i wywyższony Pan pozostaje w ścisłej łączności ze swym Kościołem na ziemi.

To prawda, że my, Jego uczniowie, chodzimy różnymi drogami, że uznajemy taką czy inną tradycję kościelną, jednak wszyscy należymy do Niego. Chrystus nie czynił nigdy różnicy między tymi, których umiłował. To tylko uczniowie sądzili, że niektórym z nich należy się lepsze miejsce przy Nim. A słysząc to, Jezus powiedział: „*Ktokolwiek by chciał być między wami wielki, niech będzie sługą waszym. I ktokolwiek by chciał być między wami pierwszy, niech będzie sługą wszystkich*” (Mk 10,43-44). Ktoś mógłby powiedzieć, że to są piękne słowa, które jednak nie znajdują zastosowania w życiu chrześcijan. Czy to, co czynimy, mieniąc się uczniami Chrystusa, nie jest zaprzeczeniem Jego nauki? Świat, a wraz z nim Kościół chrześcijański, daleko odszedł od tych zasad. Pojęcie „służba” stało się czymś poniżającym godność człowieka. Znamy wszyscy określenie „Sługa Boży”, ale czy ta nasza służba odpowiada temu, co miał na myśli Chrystus Pan, kiedy mówił: „*Albowiem Syn Człowieczy nie przyszedł, aby mu służono,*

lecz aby służyć i oddać swe życie na okup za wielu” (Mk 10,45)? Mimo wszystko Jezus nie wyklucza nas ze swej służby i nie pozbawia mandatu uczniów. Więcej, On sam przewycięża naszą niemoc, naszą niewiarę i zatwardziałość serc; napomina i wzywa: „*Idźcie na cały świat i głosście Ewangelię wszystkiemu stworzeniu*”. Z Jego boskiego rozkazu mamy nie tylko głosić radosną nowinę, ale też chrzczyć, przyjmować ludzi w poczet Kościoła Bożego. Dlatego w imieniu Jezusa Chrystusa nieustannie kierujemy nasze wezwanie do ludzi, aby pojednali się z Bogiem.

Świat, a wraz z nim my, chrześcijanie, potrzebujemy odradzającej kąpieli duchowej. Tym, który nas oczyszcza, jest Jezus Chrystus. Dlatego jednoczymy się z Nim oraz między sobą w wierze i miłości. Chcemy być Jego świadkami tu, na ziemi, a w przyszłości uczestnikami Jego chwały w Królestwie Bożym, dokąd wzywa nas i prowadzi. Pragniemy, aby Jego ofiara na krzyżu Golgoty nie była dla nikogo daremna.

Odchodząc do Ojca w niebie, Jezus zapewnił uczniów, że pozostanie z nimi aż do końca świata. Umocnieni w wierze i prowadzeni Duchem Świętym, mogli odtąd uczniowie wiernie wypełniać rozkaz misyjny swego Pana. On zaś – jak czytamy – „*pomagał im i potwierdzał ich słowo znakami, które mu towarzyszyły*”. Znaki i cuda, o których mowa, miały miejsce w pierwszym Kościele i były przejawem głębokiej wiary w to, że Chrystus jest Panem i Zbawicielem świata.

Ludzie zawsze szukali i domagali się cudów tam, gdzie nie mogli zgłębić Bożej prawdy. Człowiek współczesny też nastawiony jest krytycznie wobec wszelkich przejawów Bożego działania. Ale nasza rola jako uczniów Chrystusowych nie polega na cudownym przekonaniu, lecz na ukazywaniu osoby i dzieła Jezusa Chrystusa zmartwychwstałego i wywyższonego na prawicę Bożą.

Kiedy pierwsi uczniowie przekonali się na własne oczy, że ich Pan zmartwychwstał, tak jak zapowiedział, byli gotowi poświęcić dla Niego wszystkie swoje siły i zdolności. Troski i niepokoje, które nimi zawładnęły, ustąpiły miejsca radosnej pewności, z jaką szli, zwiastując Ewangelię światu. I my też winniśmy się radować tym, że Pan wzywa nas i posyła do pracy w swej winnicy. On sam wspiera nas Duchem Świętym w dziele budowania Królestwa Bożego. Dlatego dziękujemy Bogu wszechmogącemu za to, że wywyższył Syna swego jednorodzonego na prawicę swoją, a przez Niego dał światu obietnicę życia wiecznego i wezwał nas do swej chwały.

Amen.

kwiecień 2001 r.

Uwierz, a będziesz zbawiony

(...) a gdy im wiele razy zadali, wrzucili ich do więzienia i nakazali stróżowi więziennemu, aby ich bacznie strzegł. Ten, otrzymawszy taki rozkaz, wtrącił ich do wewnętrznego lochu, a nogi ich zakął w dyby.

Dz 16,23-34

W Filipi, na terenie Macedonii, apostoł Paweł i towarzyszący mu Syłas głosili Słowo Boże. Tak jak wszędzie, tak i w tym mieście byli ludzie, którzy poddawali się działaniu Słowa Bożego i stawali się wyznawcami Jezusa Chrystusa, ale nie brakowało takich, którzy uważali naukę apostołów za gorszącą i burzącą dawne obyczaje. Nic zatem dziwnego, że apostołowie Chrystusowi ściągnęli na siebie gniew i zostali uwięzieni. Wydawało się mieszkańcom tego miasta, że pozbyli się w ten sposób groźnych wichrzycieli.

Tymczasem wkrótce miało się okazać, że Ten, w którego imieniu działali apostołowie, jest silniejszy. Gdzie działa Duch Boży, nie da się Go zniewolić i zamknąć w murach więziennych.

Cudowne uwolnienie apostołów z więzienia udowodniło mieszkańcom Filipi, że mają do czynienia z wysłannikami Boga wszechmogącego. Człowiekiem, na którym spoczywał obowiązek pilnowania więźniów, był strażnik więzienny. Pierwszą jego reakcją był strach przed odpowiedzialnością, dlatego chciał popełnić samobójstwo. Ale kiedy stanął przed apostołami, jego myśli zwróciły się ku Bogu i zawołał: „*Co mam uczynić, abym był zbawiony?*” Odpowiedzią były słowa apostołów: „*Uwierz w Pana Jezusa, a będziesz zbawiony*”.

To samo pytanie stoi przed każdym z nas. Czy jedynie wiara w Jezusa Chrystusa może zapewnić nam zbawienie?

Milczenie Boga i brak Jego bezpośredniej reakcji na wszelkie ludzkie poczynania sprawiają, że człowiek zastanawia się: czy rzeczywiście sama wiara jest wystarczającym warunkiem do uzyskania zbawienia? Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy sięgnąć do źródła Bożego objawienia, do Pisma Świętego. Przyjrzyjmy co Jezus mówi na ten temat. Wystarczy prześledzić opis uzdrowień, których dokonał. U ich podstaw zawsze była wiara. I tak zatem mówił Jezus do ślepego, któremu przywrócił wzrok: „*Idź, wiara twoja uzdrowiła cię*”, a do niewiasty, która dotknęła jego szaty: „*Córko, wiara twoja uzdrowiła cię, idź w pokoju i bądź uleczona z dolegliwości swojej*”. Wiara jest też jedynym warunkiem uzyskania zbawienia, tak jak nam wskazuje Jezus, mówiąc: „*kto wierzy we mnie, ma żywot wieczny*”.

Dla wielu ludzi wiara, wykraczająca poza obręb życia ziemskiego, wydaje się czymś niesprawdzalnym, a przez to nieosiągalnym. Ale właśnie dlatego, że nie jesteśmy w stanie przekonać się na własne oczy o tym, że Bóg istnieje i chce nam dać żywot wieczny, musimy wierzyć. Chciejmy pamiętać o tym, co powiedział Jezus do wątpiącego Tomasza: „*Że mnie ujrzałeś, uwierzyłeś, błogostawieni ci, którzy nie widzieli, a uwierzyli*”. Musimy uwierzyć naszemu Panu i Zbawicielowi, że jest wśród nas obecny; chcemy cieszyć się Jego obecnością, powierzyć Mu samych siebie i tych, którzy są wśród nas.

Kiedy dozorca więzienny usłyszał słowa: „*Uwierz w Pana Jezusa, a będziesz zbawiony ty i twój dom*” – dał wyraz swojej radości wyprawiając ucztę na cześć apostołów. Powodem tej radości był fakt, że został ochrzczony wraz ze wszystkimi domownikami w imię Trójjedynego Boga; że doznał łaski zbawienia w myśl słów Jezusa Chrystusa: „*Kto wierzy i ochrzczony zostanie, będzie zbawiony*”.

Chrzest, bez względu na to, czy został dokonany w wieku niemowlęcym, czy przyjęty przez człowieka dorosłego, jest niezniszczalnym świadectwem przynależności do Jezusa Chrystusa. Powierzając Mu nasze dzieci dajemy dowód zaufania do Boga łaski i miłości. Chcemy, aby wzrastały w wierze, którą my, dorośli, posiadamy od dnia, gdy spoczęła na nas ręka Boża. Schemat Chrztu Świętego uprawnia nas do tego, byśmy mogli już jako dorośli przystąpić do Stołu Pańskiego i posilać nasze dusze chlebem życia i pić z kielicha zbawienia

To wszystko zagwarantował nam Jezus Chrystus ukrzyżowany, zmarłychwstały Pan. To na jego cześć Paweł i Syłas, będąc uwięzionymi śpiewali hymn pochwalny. Ci ludzie wiedzieli, że żadna moc ludzka nie wyrwie ich z rąk Boga, któremu zaufali i w którym pokładali nadzieję zbawienia.

To samo uczynił dozorca więzienny, dla którego Jezus Chrystus stał się najwyższą wartością. Dlatego, jak czytamy: *„Weselił się wraz z całym swoim domem, że uwierzył w Boga”*.

Wielbimy Boga śpiewem naszych pieśni i grą na instrumentach. Chętnie zachwycamy się i popadamy w muzyczne uniesienie słuchając wspaniałej muzyki. Ale to nie wszystko, czego oczekuje od nas Bóg. Całe nasze życie winno być wypełnione niesłabnącym uwielbieniem Boga i radosnym śpiewem na jego cześć. I choć życie nasze nie zawsze opromienione jest radością, a niekiedy mamy więcej powodów do tego, by się smucić, nie obnośmy się z tym smutkiem.

Gdy Pan Jezus żegnał się z uczniami przed swoim odejściem do Ojca w niebie, powiedział im: *„I wy teraz się smucicie, lecz znowu ujrzę was, i będzie się radowało serce wasze, a nikt nie odbierze wam radości waszej”*.

Obyśmy także żyli nadzieją, że kiedyś spotkamy się z Jezusem Chrystusem w Jego Królestwie. Nie musimy nic czynić, aby zapewnić sobie udział w życiu wiecznym. Jednego tylko potrzeba: *„Uwierz w Pana Jezusa, a będziesz zbawiony”*.

Amen.

14 maja 2006 r.

Jak przejednać Boga?

5. Niedziela Pasyjna

Tedy arcykapłani i faryzeusze zwołali Radę Najwyższą i mówili: Cóż uczynimy? Człowiek ten dokonuje wielu cudów. Jeśli go tak zostawimy, wszyscy uwierzą w niego; wtedy przyjdą Rzymianie i zabiorą naszą świątynię i nasz naród. A jeden z nich, Kaifasz, który tego roku był arcykapłanem, rzekł do nich: Wy nic nie wiecie, i nie myślicie, że lepiej jest dla nas, by jeden człowiek umarł za lud, niż żeby wszystek ten lud zginął. A tego nie mówił sam z siebie, ale jako arcykapłan w owym roku prorokował, że Jezus miał umrzeć za naród. A nie tylko za naród, lecz też aby zebrać w jedno rozproszone dzieci Boże. Od tego też dnia naradzali się, aby go zabić. Jezus więc już nie chodził jawnie między Żydami, ale odszedł stamtąd do krainy w pobliżu pustyni, do miasta zwanego Efraim, i tam przebywał wraz z uczniami. A była blisko Pascha żydowska, i wielu z tej krainy szło do Jerozolimy przed Paschą, aby odbyć oczyszczenie.

J 11,47-55

W miarę jak zbliżał się dzień męczeńskiej śmierci Jezusa Chrystusa, zacieśniał się krąg jego prześladowców. Na Jego życie czyhali kapłan i faryzeusze. W obawie, aby coraz bardziej rosnąca popularność Jezusa wśród prostego ludu nie stała się przyczyną zamieszek i nie ściągnęła represji ze strony Rzymian, okupujących wówczas Palestynę, zebrała się najwyższa rada żydowska, która miała zdecydować o dalszych losach Jezusa. Wydarzenia, o których mowa, rozgrywały się jakby w dwóch płaszczyznach. Z jednej strony świat, w którym przebywał Jezus, który uzdrawiał chorych, wskrzeszał umarłych i głosił Ewangelię o zbliżającym się Królestwie Bożym, to świat przyjazny i sprzyjający ludziom. Z drugiej natomiast, świat wrogi Jezusowi, świat polityki, fałszu i zdrady.

W istocie jest to jeden i ten sam świat oglądany w różnych aspektach, o dwóch różnych obliczach. Najważniejsze jest jednak to, że kieruje tym

światem Bóg, który dokonuje przewartościowania. Na czym to przewartościowanie polega?

- Po pierwsze – miłość Boża przeciwstawiona zostaje ludzkiej mocy.
- Po drugie – ludzkie winy i grzechy topnieją w ogniu zbawczej męki Jezusa Chrystusa.
- Po trzecie – śmierć człowieka, dzięki ofierze Jezusa, staje się nowym życiem.

Mocą, którą posiadał arcykapłan Kajfasz, była władza. On przemawiał i działał jako polityk w interesie narodu izraelskiego, a cechą każdej władzy jest powoływanie się na dobro społeczeństwa. Ale władza w rękach człowieka potrafi też być bezwzględna i niekiedy dla osiągnięcia zamierzonych celów idzie – jak się to mówi – po trupach. Taki los miał spotkać Jezusa, na którego żydowska Rada Najwyższa wydała wyrok śmierci.

Kajfasz był nie tylko politykiem, lecz przede wszystkim reprezentantem religijnym narodu izraelskiego. A ponieważ uważał, że Jezus jest zagrożeniem dla tego narodu – dlatego musi ponieść śmierć. Takie nastawienie ludzi, którzy wydali wyrok na Jezusa, można określić mianem mordy politycznego. Inaczej jednak na tę śmierć spojrział Bóg, który dopuścił do tego, by Jego jednorodzony Syn poniósł męczeńską śmierć na krzyżu. Tylko Bóg był w stanie przywrócić życie umarłemu. Więcej, On zapewnił Jezusowi życie wieczne i nie tylko Jemu, ale i tym, którzy w niego wierzą. Znanе są słowa: *„Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swojego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy nie zginął, ale miał żywot wieczny”* (J 3,16).

Wyrok śmierci na Jezusa, wydany przez żydowską radę był podyktowany koniecznością obrony własnych interesów. Dla Boga natomiast ta śmierć była drogą pojednania z całym światem, a ofiara złożona na krzyżu Golgoty wpływała z miłości do człowieka. To jest pierwsza myśl.

Druga myśl: Mówiąc o tym że Kajfasz był politykiem i przywódcą narodu, w obronie którego występował, nie można jednak pominąć tak bardzo istotnej sprawy, jaką było wypowiedziane przezeń proroctwo o Jezusie.

Sam Bóg włożył w jego usta słowa, które odnoszą się do całej ludzkości: „Jezus miał umrzeć za naród”. I nie tylko za naród, ale też, aby zebrać w jedno rozproszone dzieci Boże. Kajfasz był zatem narzędziem w ręku Boga i wykonawcą Jego woli.

Bóg i dziś ma ludzi, którym powierza swoje sprawy. On potrzebuje takich, którzy poniosą światu Jego słowa i będą świadczyc o Nim; o Jego wszechogarniającej łasce i miłości.

Słowa proroctwa kajfaszowego o Jezusie były wypowiedziane z myślą o pozbyciu się tego, który – jego zdaniem – był wichrzycielem i bluzniercą. One zostały wypowiedziane w złej wierze. Ale inaczej spojrzal na to Bóg. Dla niego ważniejsza była misja, jaką Jego Syn miał do spełnienia w tym świecie. Chodziło o posłuszeństwo. Tak, jak w wypadku Abrahama, który miał na ołtarzu ofiarować swojego Syna Bogu, który był dla nich najważniejszym autorytetem.

I tu również mamy do czynienia z przewartościowaniem, jakiego dokonał Bóg, a analogią do którego wydarzenia może być historia Józefa i jego braci opisana w *1. Księdze Mojżeszowej*. Oto Józef zwraca się do braci, którzy przeciw niemu zawinili mówiąc: *„Wy wprawdzie knuliście zło przeciwko mnie, ale Bóg obrócił to na dobro”*.

Bóg i dziś potrafi odmienić myśli i słowa ludzi, którzy niejednokrotnie działają w zaślepieniu. Jako ludzie grzeszni i my bywamy często poddawani różnego rodzaju doświadczeniom i próbom. Nie zawsze zajmujemy właściwe stanowisko wobec naszych bliźnich. Nasze sądy o nich mogą być krzywdzące. I nie pocieszajmy się tym, że Bóg i tak nam wybaczy, niezależnie od tego, czy postępujemy dobrze, czy źle. Winniśmy wsłuchać się raczej w Jego głos i w Jezusie Chrystusie szukać oparcia.

I jeszcze trzecia myśl. Konsekwencją życia każdego człowieka jest śmierć. Biblia mówi o tym już na pierwszych stronach, a dzieje ludu Starego Przymierza, którym był Izrael, wskazują na to, że Bóg niejednokrotnie karał ten lud za popełnione przewinienia. Pytania o to, jak przejednać Boga i oddalić Jego gniew nurtowało przywódców tego ludu. Ale nie tylko ich. Nasz Reformator, ks Marcin Luter, będąc w klasztorze też zadawał sobie to pytanie: jak znaleźć łaskawego Boga?

W Izraelu zadośćuczynieniem za grzechy miały być składane Bogu ofiary. Arcykapłan był odpowiedzialny za to, by raz w roku składać ofiarę za swoje grzechy i grzechy ludu. Arcykapłan Kajfasz, podobnie jak i inni kapłani, nie był w stanie przejednać Bożego gniewu i oddalić niebezpieczeństwa, jakie zwiślało nad tym ludem.

Chrześcijaństwo przejęło instytucję kapłaństwa, a rolę kapłanów mieli pełnić początkowo biskupi z papieżem na czele. Czyli tak, jak to jest w Kościele Rzymskokatolickim – księża, zwani kapłanami, to pośrednicy zbawienia. Wiemy, że tych pośredników w Kościele jest bardzo dużo. Ludzie wyobrażają sobie, że kierując się tymi samymi prawami, które obowiązują w tym Kościele, mogą znaleźć łatwiejszy dostęp do Królestwa Bożego. Ale nie można tym samym kluczem, który służy do otwierania drzwi naszego domu ziemskiego, otwierać drzwi wiodących do Królestwa Boga.

W Kościele Ewangelicko – Augsburskim nie ma instytucji kapłaństwa, ale istnieje powszechne kapłaństwo. Na czym to polega? Najkrócej mówiąc, chodzi o nasz stosunek do Boga i bliźnich. Mamy w odpowiedzi na wielką miłość, jaką okazał Bóg, kierować się tym samym uczuciem w stosunku do Niego i do naszych bliźnich. Wiemy, jak mamy postępować z ludźmi, jak mamy żyć, aby spełnić Boże przykazanie miłości bliźniego. Mamy wspierać się w potrzebie, służyć radą i pomocą. A co my możemy ofiarować Bogu? Przecież wszystko, co posiadamy w tym życiu, jest darem Boga, łącznie z samym życiem. Możemy Mu jednak ofiarować to, co mamy – samych siebie. Możemy powierzyć nasze sprawy. Możemy być wdzięczni za to wszystko, co dla nas uczynił.

Wiemy, że tylko ofiara życia złożona w Golgocie gładzi grzechy świata. Niewinnie przelana krew Jezusa omywa nasze dusze i prowadzi do pojednania z Bogiem. A zmartwychwstanie Jezusa zapewnia udział w życiu wiecznym. Taka jest prawda, którą wskazał nam Jezus mówiąc: *„Ja jestem droga, i prawda, i żywot. Nikt nie przychodzi do Ojca, tylko przez mnie”*.

Nie możemy jednak zapomnieć o tym, że Kościół chrześcijański od zarania dziejów przeszedł wielką metamorfozę. Został podzielony i rozbity. Niejednokrotnie decydowały o tym sprzeczne interesy ludzkie i tak jest po dzień dzisiejszy – Kościół nie trzyma się drogi, którą wyznaczył mu Jezus Chrystus. Bóg jednak nie chce, abyśmy byli rozdzieleni. Chce, aby Jego dzieci były skupione w jednym Kościele, żeby była jedna owczarnia i jeden pasterz. Dlatego właśnie zesłał nam swojego Syna, aby nas pojednać. A Jezus Chrystus umarł za wszystkich, aby zebrać w jedno rozproszone dzieci Boże.

Amen.

25 marca 2007 r.

Czy jesteśmy przydatni?

Niedziela *Quasimodogeniti*

I wy sami jako kamienie żywe budujcie się w dom duchowy, w kapłaństwo święte, aby składać duchowe ofiary przyjemnie Bogu przez Jezusa Chrystusa.

1 P 2,5

Historia śmierci i zmartwychwstania Jezusa Chrystusa, opisana w ewangeljach, mówi o tym, jak ludzie wówczas żyjący zareagowali na tę wieść, która miała w przyszłości dotrzeć do najdalszych krańców ziemi i ogarnąć cały świat. Małe grono uczniów Jezusa i Jego najbliższe otoczenie przeżyło chwilę grozy i zwątpienia, gdy ich Pan i Nauczyciel poniósł męczeńską śmierć. Wydawało się, że nastąpił kres tej działalności, którą zapoczątkował Jezus. Tymczasem stało się coś, czego nie mogli oczekiwać - Jezus zmartwychwstał! I trudno się dziwić, że Jego uczniowie, pogrążeni w rozpacz, nie mogli w to uwierzyć. Dlatego bezwzględnie odrzucili świadectwo Marii Magdaleny i dwóch spośród uczniów. Dlatego dopiero ukazanie się samego Jezusa pozostałym uczniom przekonało ich, że ich Pan żyje.

I dzisiaj także, po dwóch tysiącach lat od tamtych wydarzeń, trudno ludziom uwierzyć w to, że Jezus umarł i wstał z martwych. Wprawdzie Kościół chrześcijański nie przestał głosić tej prawdy, ale nie zawsze potrafi przekonać wątpiących. Dlatego pojawia się pytanie: Czy wiara chrześcijan jest na tyle silna, by utorować drogę Chrystusowi do ludzkich serc? Czy my, ludzie słabi i grzeszni, możemy być przydatni dla sprawy Chrystusowej?

Myślę, że Jezus Chrystus potrzebuje nas i angażuje dla swojej służby mimo naszych braków. Nie jesteśmy zdani tylko na własne siły, lecz dysponujemy skutecznym orężem Chrystusowym:

1. mamy wiarę we wszechmoc Bożą,
2. działamy wspierani znakami Bożej łaski,

3. składamy świadectwo pozwalające przekroczyć granice ludzkiego rozumu.

Jezus z pewnością zdawał sobie sprawę z tego, że Jego uczniowie pogrążeni są w rozpacz po rozstaniu się z Nim. Znał ich dobrze i wiedział, że nie są w stanie przyjąć bez zastrzeżeń Jego powrotu ze świata umarłych. Uczniowie nie dopuszczali takiej myśli, mimo że Jezus w czasie swej ziemskiej wędrówki mówił im niejednokrotnie o tym, co ludzie uczynią z Synem Bożym. Mimo to, uczniowie byli pełni zwątpienia. Ale właśnie ci ludzie, chwiejni w swoich przekonaniach, mieli stać się świadkami i głosicielami chwały Jezusa Chrystusa.

To zadanie Jezus powierza nam, chrześcijanom, dziś. Mimo że Kościół w swoich posiadach chwieje się i niejednokrotnie grozi mu upadek, Jezus nie cofa danego słowa i tak jak wówczas nie wyrzekł się swoich uczniów, lecz powierzył im głoszenie Ewangelii, tak czyni to dziś wobec nas.

Kościół Chrystusowy nie opiera się na potędze ludzkiej, lecz na woli wszechmogącego Boga. Każdy z nas może być przydatny w dziele krzewienia wiary i umacniania społeczności, jaką tworzymy wraz z Chrystusem. Jako lud Boży jesteśmy wezwani do budowania i umacniania Kościoła, jak pisze apostoł Piotr: *„I wy sami jako kamienie żywe budujcie się w dom duchowy, w kapłaństwo święte, aby składać duchowe ofiary przyjemnie Bogu przez Jezusa Chrystusa”* (1 P 2,5). Każdy winien postawić sobie pytanie: Jak mogę wypełnić polecenie Jezusa Chrystusa? Czy mogę być przydatny w dziele głoszenia Ewangelii ludziom stojącym z dala od Kościoła i od Chrystusa?

Zanim uczniowie Jezusa wypełnili Jego polecenia, musieli otrząsnąć się z przygnębienia i rezygnacji, jakie ich ogarnęły. My również winniśmy, nie bacząc na to, że jesteśmy słabi, że przeżywamy rozterki duchowe, że jesteśmy grzeszni i śmiertelni, głosić światu chwałę zmartwychwstałego Zbawiciela Jezusa Chrystusa.

Świadectwo uczniów Jezusa Chrystusa nie ograniczyło się jedynie do słownego przekazu. Z chwilą, gdy uwierzyli, że ich Pan żyje, zostali napełnieni łaską Zmartwychwstałego, który wspierał ich działania licznymi cudami. Z Jego imieniem na ustach i w sercu potrafili wyganiać złe duchy, dręczące ludzi. A bronią, jaką się posługiwali, nie była przemoc i chęć panowania, lecz miłość i dobroć, które zaszczepił im Chrystus. Język miłości, jakim posługiwał się Jezus Chrystus, miał stać się językiem Jego uczniów. Tym samym językiem winni posługiwać się chrześcijanie wszystkich czasów.

Świat, który nas otacza, pełen jest ludzi szukających pomocy, chorych, samotnych i nieszczęśliwych z takiego czy innego powodu. Jeżeli chcemy

podążać śladem naszego Pana i Zbawiciela, to nie możemy pozostać obojętni na losy naszych bliźnich. Ludzie potrzebują nie tylko współczucia czy doraźnej pomocy z naszej strony. Jeżeli mamy być przydatni w budowaniu zrębów Królestwa Bożego, do którego zmierzamy, to winniśmy czerpać ze skarbnicy Słowa Bożego i według Niego postępować.

Takie jest przesłanie Jezusa Chrystusa zmartwychwstałego, przekazane uczniom.

Ukazanie się Zmartwychwstałego ludziom, o których czytamy w Ewangelii, miało na celu nie tylko przekonać ich o tym, czego dokonał Bóg. Ten Boży zasiew, rzucony rękoma apostołów, miał wydać plon i przynieść owoce w postaci życia wiecznego tym, którzy wierzą w zbawcze działanie Jezusa Chrystusa. To jest sprawa najważniejsza, której winniśmy podporządkować całe nasze ziemskie życie. Nie możemy zmarnować i zaprzepaścić tego daru, który otrzymaliśmy od Boga w dniu naszego Chrztu Świętego.

Słyszeliśmy: kto wierzy i ochrzczony zostanie, będzie zbawiony. Nazwa niedzieli: *quasimodogeniti* oznacza: „jak nowo narodzeni” – trzeba się zatem na nowo narodzić, aby być z Chrystusem, aby głosić chwałę Zmartwychwstałego.

Jesteśmy społecznością dzieci Bożych, którym przewodzi Jezus Chrystus, zmartwychwstały Pan. To dzięki Niemu i Jego ofierze śmierci i szatan nie mają nad nami władzy. Wierzmy, że i my powstaniemy z grobów do nowego życia: że to, co śmiertelne, zostanie przyobleczone w nieśmiertelne. Wspierani Bożą łaską Jezusa Chrystusa idziemy przez życie niosąc ludziom radosną wieść o Jego zmartwychwstaniu. Dziękujemy więc Bogu za to wszystko, co dla nas uczynił: składamy Mu hołd za niezgłębione miłosierdzie, za wszelkie dowody łaski i miłości okazanej nam w Jezusie Chrystusie, naszym Panu i Zbawicielu.

Amen.

15 kwietnia 2007 r.

Jeszcze kiedyś się spotkamy

Niedziela po Wielkanocy

Jeśli mnie miłujecie, przykazań moich przestrzegać będziecie. Ja prosić będę Ojca i da wam innego Pocieszyciela, aby był z wami na wieki – Ducha prawdy, którego świat przyjąć nie może, bo go nie widzi i nie zna; wy go znacie, bo przebywa wśród was i w was będzie. Nie zostawię was sierotami, przyjdę do was. Jeszcze tylko krótki czas i świat mnie oglądać nie będzie; lecz wy oglądać mnie będziecie, bo Ja żyję i wy żyć będziecie.

J 14,15-19

Każde rozstanie bliskich sobie osób napełnia smutkiem. Nawet krótkie rozstania sprawiają, że w sercach ludzi powstaje tęsknota i żal za osobą, z którą łączy nas przyjaźń lub miłość. Matka tęskni za dzieckiem, w którego oczach pojawiają się łzy. Dwoje kochających się ludzi też będzie tęskniło za sobą, a najczęściej pojawia się prośba: „Tylko napisz, jak zajechałeś albo zadzwoń”. Bywają jednak rozstania bez powrotu, kiedy bliskie nam osoby odchodzą z tego świata. Możemy mieć wówczas tylko nadzieję, że jeszcze kiedyś spotkamy się w niebie.

Biblijny tekst też mówi o rozstaniu. Oto Jezus żegna się z uczniami, ale jednocześnie zapewnia ich, że to rozstanie nie oznacza zerwania więzi, jaka łączy ich z Bogiem, ze zmartwychwstałym Panem i Zbawicielem. Mimo to uczniowie nie zdawali sobie w pełni sprawy z tego, że Jezus odchodzi do Ojca w niebie. Stąd pełne obaw pytanie Piotra, który chciał iść za Jezusem, czy Tomasza, który powiedział: „*Panie, nie wiemy dokąd idziesz, jakże możemy znać drogę?*” (J 14,5).

Podobnie jest dziś z nami. My też nie mamy bezpośredniego kontaktu z Jezusem Chrystusem, możemy jedynie polegać na Jego zapewnieniu, że On żyje, jest wśród nas obecny.

Jezus nie pocieszał uczniów w taki sposób, jak to zwykli czynić ludzie, nie mówił im: „Nie martwcie się, jakoś to będzie”, On wskazywał konkretny cel. Uczniowie winni oprzeć się na jego przykazaniach, a zwłaszcza na przykazaniu miłości. To przykazanie obliuguje i nas do tego, byśmy wspierani mocą Bożą, nieśli ludziom światło Ewangelii Chrystusowej. Musimy być solą i światłością dla świata pogrążonego w ciemnościach; mamy nieść ludziom pokój, radość i nadzieję.

Czy jesteśmy w stanie temu podołać? Czy sami z siebie potrafimy wy dobyć ze słów Jezusa to, co najcenniejsze?

Dopóki Jezus był z uczniami, oni nie odczuwali lęku; mogli w każdej trudnej sytuacji zasięgnąć Jego rady. Ale teraz nadeszła chwila, że musieli sami podejmować decyzje i postępować tak, jak nauczał ich Jezus. Za wstawiennictwem Jezusa do Ojca, droga uczniów nie była błędzeniem po omacku. Jezus zapewnił ich, że po Jego odejściu nadejdzie pocieszyciel – Duch Święty, który ich poprowadzi. Świadczą o tym te słowa: „*Lecz pocieszyciel, Duch Święty, którego Ojciec pošle w imieniu moim, nauczy was wszystkiego i przypomni wam wszystko, co wam powiedziałem*” (J 14,26). Ten Pocieszyciel sprawił, że uczniowie pozbędą się lęku, nie zapomną tego, co zaszczepił im Jezus, nie zwątpią w Jego boską moc. Pamiętamy słowa Piotra: „*Panie, dokąd pójdziemy? Ty znasz słowa żywota wiecznego*”. Ten Pocieszyciel, którego Ewangelista Jan nazywa *Parakletem* (z greckiego *parakleo* – pocieszać) działa również dziś. Jest to Święty Duch prawdy, którego Bóg udziela wierzącym w Niego.

Jako Kościół Jezusa Chrystusa otrzymaliśmy też ten dar od Boga i możemy za Lutrem wyznać: „Wierzę, że ani przez własny rozum, ani przez siły swoje w Jezusa Chrystusa, Pana mego, uwierzyć ani połączyć się z nim nie mogę, ale że mnie Duch Święty przez Ewangelię powołał, darami swymi oświecił w prawdziwej wierze poświęcił i utrzymał” (III Art. Wiary). To jest wyznanie, które składamy przed obliczem wszechmogącego Boga.

Ludzie, którzy rozstają się ze sobą, mogą utrzymać ze sobą łączność pisząc listy. Mogą w nich wyrazić swoje uczucia: tęsknotę, radość, smutki. Oczekiwanie na list od osoby bliskiej pozwala mieć nadzieje na spotkanie z nią. Duch Święty – Pocieszyciel też jest takim listem skierowanym do nas. A ten list możemy otrzymać czytając Pismo Święte. Znajdziemy w nim odpowiedź na dręczące nas pytania; ono zaspokoi dręczącą nas tęsknotę i wskaże nam właściwą drogę. Bóg przez swoje słowo przemawia do nas wówczas, gdy zdecydujemy się, aby ten list przeczytać, zapoznać się z jego treścią, a nie odesłać z dopiskiem „adresat nieznanym”.

Niestety dla wielu Pismo Święte jest takim nieotwartym listem. Biblia leży gdzieś na półce, zakurzona i nie otwierana od lat. Jest swego rodzaju pamiętką rodzinną, którą otrzymało się w dniu confirmacji czy ślubu.

Nie możemy zapomnieć o tym, że Pismo Święte jest przewodnikiem naszego życia duchowego, który pozwala odnaleźć właściwą drogę. Pozwala pójść za Jezusem, zbliżyć się do Niego. A słuchając Jezusa, odnajdujemy Ducha prawdy, który mówi słowami Ewangelii: „Duch prawdy, którego świat przyjąć nie może, bo go nie widzi i nie zna; lecz wy go znacie, bo przebywa wśród was i w was będzie”. Słowa tej obietnicy Chrystusowej napełniały serca uczniów radością i sprawiały, że mogli ponieść ludziom światło Ewangelii, tej radoszej nowiny.

Żegnając się z uczniami Jezus zapewnił ich, że będzie z nimi po wieczne czasy w Duchu Świętym, który na nich zstąpi. Ogarnięci Nim możemy i my przeżywać prawdziwą radość z tego, że Jezus Chrystus jest wśród nas obecny. Nie powinniśmy biernie oczekiwać na to, że kiedyś, po latach, po śmierci, Bóg przyjmie nas do swoich przybytków. On jest przy nas zawsze i wszędzie. Jest obecny w naszym życiu, jest obecny w swoim Słowie i Sakramencie Wieczerzy Pańskiej, ilekroć przystępujemy do ołtarza, by przyjmować Ciało i Krew Jezusa Chrystusa.

Ale nade wszystko winniśmy pamiętać, że to, co uczynił Bóg przez Syna swego w Chrystusie, jest nadzieją wiecznego życia dla wierzących. On wskazał nam miłość najwyższą, jaką może okazać Bóg człowiekowi. On ofiarował Syna swojego za nas, abyśmy mogli żyć w jego Królestwie. I tę miłość winniśmy odwzajemnić, miłując naszych braci i siostry, bo tylko w ten sposób okazujemy się godni miana uczniów Jezusa Chrystusa, który powiedział: „*Po tym wszyscy poznają, żeście uczniami moimi, jeśli miłość wzajemną mieć będziecie*” (J 13,35).

I niech to poznanie, że Bóg jest naszą ostoją w życiu i śmierci, że nas pociesza i umacnia w wierze, dodaje nam siłę do trwania przy Nim. I oby Duch Święty, Pocieszyciel, Duch prawdy, ogarnął nasze serca i umysły; byśmy stali się własnością Pana teraz i na wieki.

Amen.

20 maja 2007 r.

Zdrowi nie potrzebują lekarza

5. Niedziela po Trójcy Świętej

Uczeni w Piśmie i faryzeusze przyprowadzili kobietę przyłapaną na cudzołóstwie, postawili ją pośrodku. I rzekli do Niego: Nauczycielu, tę oto kobietę przyłapano na jawnym cudzołóstwie. A Mojżesz w zakonie kazał nam takie kamienować. Ty zaś, co mówisz? A to mówili, kusząc go. A Jezus, schyliwszy się, pisał palcem po ziemi. A gdy Go nie przedstawiali pytać, podniósł się i rzekł do nich: Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamieniem. I znowu schyliwszy się pisał po ziemi. A gdy oni to usłyszeli i sumienie ich ruszyło, wychodzili jeden za drugim, poczynając od najstarszych i pozostał Jezus sam, i owa kobieta pośrodku. A Jezus podniósłszy się i nie widząc nikogo, tylko kobietę, rzekł do niej: Kobieto! Gdzież są ci, co cię oskarżali? Nikt cię nie potępił? A ona odpowiedziała: Nikt, Panie! Wtedy rzekł Jezus: I ja cię nie potępiam: Idź i odtąd już nie grzesz.

J 8,3-11

Opisane wydarzenie jest wyrazem stosunków panujących w Izraelu w czasach działalności Jezusa Chrystusa. Z jednej strony surowe i bezwzględne prawo Mojżeszowe, którego reprezentantami i obrońcami byli faryzeusze i uczeni w Piśmie. Z drugiej natomiast Jezus ze swoją nie zawsze dającą się zrozumieć nauką, będącą jednak Bożym nakazem.

Konfrontacja, do jakiej doszło między stróżami prawa i moralności a Jezusem miała wykazać, czy Jezus postępuje zgodnie z przykazaniami Bożymi, czy też wbrew nim.

Nie był to zresztą pierwszy i jedyny zarzut postawiony Jezusowi, którego faryzeusze i uczeni w Piśmie uważali za fałszywego proroka, a sytuacja kobie-

ty która została przyłapana na cudzołóstwie była pretekstem do wystąpienia przeciw Jezusowi, jak o tym świadczą słowa: „*Mojżesz w Zakonie kazał nam takie kamieniować. Ty zaś co mówisz?*”. Odpowiedzią Jezusa było milczenie; chwila zastanowienia, a nie wątpliwości moralnej.

Jezus wiedział od samego początku, o co chodziło faryzeuszom i uczonym w Piśmie. Toteż odpowiedź, jakiej udzielił, była całkowitym zaskoczeniem dla tych sędziów i stróżów prawa: „*Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem*”.

W ten sposób Jezus potwierdził słuszność i nienaruszalność Zakonu Bożego, ale jednocześnie uniemożliwił wykonanie wyroku tym stróżom porządku i ładu społecznego, jak to dzisiaj określili byśmy.

Na tym jednak nie skończył się problem kobiety, która popełniła cudzołóstwo. Na pytanie Jezusa: „*Gdzie są ci, którzy cię oskarżyli? Nikt cię nie potępił?*” – jej odpowiedź brzmiała: „*Nikt, Panie*”. I to była cała jej obrona. Wówczas Jezus zajął stanowisko w sprawie, którą przedłożyli Mu faryzeusze i uczeni w Piśmie: „*I ja cię nie potępiam. Idź i odtąd już nie grzesz*”.

Nie wiemy, co było dalej i jak potoczyły się losy tej kobiety. Warto jednak zastanowić się, jak w świetle tej historii wygląda nasze życie? Nikt z nas nie jest bez grzechu. Historia ta zawiera trzy główne myśli.

- Zakon, czyli przykazania Boże, są niewzruszoną podstawą życia chrześcijanina.
- Bez poznania winy i wyznania grzechu nie ma przebaczenia.
- Miłosierdzie Boże, okazane przez Jezusa Chrystusa, może zmienić życie każdego człowieka.

Żyjemy w świecie, który nie jest wolny od przejawów wszelkiego zła, którego dopuszczają się ludzie. Więcej, my sami jesteśmy często winni szerezeniu się zła. Bóg dał nam Dziesięcioro przykazań, aby były normą naszego postępowania, by nie panował w naszym życiu chaos. Aby życie w rodzinie i społeczeństwie toczyło się na zdrowych zasadach. Tymczasem pod pozorem wolności ludzie dopuszczają się wielu przestępstw, wśród których grzech cudzołóstwa staje się czymś normalnym i pospolitym. Jako chrześcijanie winniśmy zdawać sobie sprawę z tego, że nie jesteśmy takimi ludźmi, jakimi chce nas widzieć Bóg. Łatwiej jest nam krytykować i osądzać innych ludzi, niż dostrzegać własne błędy i grzechy. Pamiętajmy, co powiedział Jezus: chcemy widzieć źdźbło w oku brata swego, a belki w swoim nie dostrzegać.

Nie możemy być podobni do tych obrońców moralności, którzy oskarżali kobietę o cudzołóstwo. Jezus przeciwnie – potępił grzech, ale stanął po stronie grzesznicy. Nie jesteśmy na tyle mocni i władni, by ustrzec się grzechu, który ma dostęp do każdego. Musimy pamiętać o tym, co powiedział Jezus w *Kazaniu na górze*: „*Każdy, kto patrzy na niewiastę, i pożąda jej, już popełnił*

z nią cudzołóstwo w sercu swoim” (Mt 5,28). Trudne to zadanie nie tylko dla mężczyzn, ale i dla kobiet, bo ono odnosi się do wszystkich, chyba że potraktuje się to w kategoriach żartu, tak jak w pewnej anegdocie. Żona strofuje męża za to, że ogląda się za wszystkimi ładnymi kobietami. A on jej na to odpowiada: Słuchaj! Jeżeli ktoś jest na diecie, to nie może od czasu do czasu przejrzeć jadłospisu? Można i tak. Wróćmy jednak do naszej historii.

Jezus mówi: nie potrzebują zdrowi lekarza, lecz ci, którzy się załamali. Kobieta, którą oskarżono wobec Jezusa o cudzołóstwo, zdawała sobie w pełni sprawę z tego, że popełniła grzech. Wiedziała, co ją czeka – kara śmierci. Nie ma w tej historii mowy o tym, że żałowała za swój postępek i czy liczyła na litość. A jednak dostała przebaczenia. Jezus ulitował się nad nią, tak jak lituje się nad wszystkimi grzesznikami. On czyni to i dziś wobec wszystkich, którzy stają przed jego obliczem i wyznają swój grzech. Jezus chce nam dopomóc i uwolnić od zła, które nas otacza. To nie znaczy, że zamierza tolerować nasze grzechy i przykryć je płaszczem zapomnienia. Jego łaska spływa na nas jak cudowny lek, który gładzi nasze grzechy. Doznajemy jej, ilekroć wyznajemy nasze grzechy przed Bogiem.

Boże miłosierdzie jest w stanie odmienić nasze życie. Kobieta, którą Jezus wziął w obronę, uniknęła śmierci. Nie była jednak pewna, jak postąpi z nią Jezus, jakie zajmie stanowisko. I my także nie możemy być całkiem pewni, że Bóg – przed którego sądem kiedyś staniemy – okaże nam wyrozumiałość, mówiąc: „I Ja cię nie potępiam”. Aby tak się stało, musimy spełnić jeden warunek: zerwać z grzesznym życiem i wejść na drogę, którą wskazał Jezus kobiecie, przyłapanej na cudzołóstwie: „*Idź i odtąd już nie grzesz*”. Grzech jest źródłem wszelkiego zła, od którego sami nie potrafimy się uwolnić. To może uczynić tylko nasz Pan, Zbawiciel, który zwyciężył odwiecznego wroga ludzkości – szatana. Od tego, czy będziemy prowadzić życie zgodne z Bożym postanowieniem i przestrzegać Jego przykazań, czy też postępować tak, jak się nam podoba, zależy nasza przyszłość – życie wieczne lub wieczna śmierć.

To nie jest żadna pogróżka, ale zapewnienie, jak o tym świadczą słowa apostoła Pawła do Galacjan: „*Nie błądźcie, Bóg się nie da z siebie naśmiewać; albowiem co człowiek sieje, to i żąć będzie. Bo kto sieje dla ciała swego, z ciała żąć będzie skażenie, a kto sieje dla Ducha, z Ducha żąć będzie żywot wieczny*” (Ga 6,7-8).

Dlatego żyjemy tak, by życie nasze podobać się miało Bogu. Odrzućmy nasze grzechy i rozpocznijmy nowe życie z Jezusem Chrystusem.

Amen.

1 lipca 2007 r.

Naśladowanie Mistrza

5. Niedziela po Trójcy Świętej

A szły za nim liczne tłumy, i obróciwszy się, rzekł do nich: Jeśli kto przychodzi do mnie, a nie ma w nienawiści ojca swego i matki, i żony, i dzieci, i braci, i sióstr, a nawet i życia swego, nie może być uczniem moim. Kto nie dźwiga krzyża swojego, a idzie za mną, nie może być uczniem moim. Któż bowiem z was, chcąc zbudować wieżę, nie usiądzie najpierw i nie obliczy kosztów, czy ma na wykończenie? Aby gdy już położy fundament, a nie może dokończyć, wszyscy, którzy by to widzieli, nie zaczęli naśmiewać się z niego, mówiąc: ten człowiek zaczął budować, a nie mógł dokończyć. Albo, który król, wyruszając na wojnę z drugim królem, nie siądzie najpierw i nie naradzi się, czy będzie w stanie w dziesięć tysięcy zmierzyć się z tym, który z dwudziestoma tysiącami wyrusza przeciwko niemu? Jeśli zaś nie, to gdy tamten jeszcze jest daleko, wysyła poselstwo i zapytuje o warunki pokoju. Tak więc każdy z was, który się nie wyrzeknie wszystkiego, co ma, nie może być uczniem moim.

Łk 14,25-33

Jezus niejednokrotnie zaskakiwał swoich słuchaczy swoimi stwierdzeniami. Odnosiło się to zarówno do Jego przeciwników, do faryzeuszy i uczonych w Piśmie, jak też do wszystkich, którzy podążali za Nim. Tak było również, gdy Jezus określił, co winno cechować ucznia Chrystusowego. Kto i w jaki sposób może uważać się za ucznia.

Zarówno wówczas, jak i dziś Jezus wypowiedział te słowa, a ludzie sądzili, że wystarczy sama deklaracja – opowiedzenie się za Jego nauką. Ale to za mało. Za mało, by być uczniami Jezusa Chrystusa. Świadczą o tym dobitnie Jego słowa: „Jeśli kto przychodzi do mnie, a nie ma nienawiści ojca swego, i matki, i żony i dzieci i braci, sióstr, a nawet życia swego, nie może być uczniem moim”. Jednym słowem: trzeba się wszystkiego wyrzec

co posiadamy w życiu, co umiłowaliśmy. Tylko czy to łatwo zrealizować w praktyce?

Wiemy, że takimi ludźmi byli pierwsi uczniowie Jezusa, którzy opuścili wszystko, co posiadali i poszli za Nauczycielem. W średniowieczu takimi ludźmi, którzy wyrzekli się światowego życia i poświęcili się Jezusowi byli pustelnicy i eremici. Powstaje pytanie: jak my, ludzie żyjący dziś, w XXI wieku, mamy odnieść się do słów Jezusa Chrystusa? Jak być jego uczniami?

Jezusowi z pewnością nie chodziło o to, byśmy zerwali wszelkie więzi, łączące nas z tym światem: z rodziną, przyjaciółmi, abyśmy opuścili dom. To wszystko dane nam przecież jest przez Boga i wyraża Jego błogosławieństwa dla człowieka. Tu nie o to chodzi. Jezusowi przede wszystkim chodziło o to, by ludzie, którzy uważają się za jego uczniów, gotowi byli poświęcić Mu swoje życie. By On stanowił priorytet. Jezus uczynił to dla nas, dla naszego zbawienia, poprzez mękę i śmierć na krzyżu. Wyrzekł się i oddał samego siebie.

Nasza przynależność do Jezusa Chrystusa to nie tylko wyznanie wiary w Niego, lecz związane z tym swego rodzaju „ryzyko”, mianowicie poprzez zerwanie więzi łączącej nas z otoczeniem, z najbliższymi. Po drugie – zmiana naszej egzystencji, sposobu życia. I wreszcie wyrzeczenie się samego siebie, własnego „ja” dla Bożego „Ty”.

Mamy w Nowym Testamencie wiele przykładów i dowodów na to, że ludzie, którzy dla Jezusa opuścili wszystko, co posiadali, stali się Jego uczniami. Poczynając od dwunastu apostołów, a kończąc na tych, którzy ufając Jezusowi poszli za Nim, nie oglądając się za siebie. Taka postawa była właściwa dla tych, którzy szukali drogi wiodącej do zbawienia. Ale nie wszyscy wytrwali w tym postanowieniu, nie chcieli bowiem utracić tego, co posiadali w życiu. Dlatego Jezus powiedział: „*Żaden, który przyłoży rękę do pługa i ogląda się wstecz, nie nadaje się do Królestwa Bożego*” (Łk 9,62).

Sam Jezus jako człowiek dowiódł, że silniejsze niż wszelkie związki rodzinne jest posłuszeństwo Bogu. Jezus miał swoich ziemskich rodziców, których kochał i był im posłuszny. Pamiętamy tę historię z jego dzieciństwa, kiedy odłączył się od rodziców i został w świątyni, gdzie nauczał. A na pełne wyrzutu słowa matki odpowiedział: „*Czyż nie widzieliście, że w tym, co jest Ojca mego, Ja być muszę?*” (Łk 2,49).

Życie każdego człowieka może być zdominowane i podporządkowane jakiejś idei, codziennym obowiązkom, które pełni wobec rodziny, społeczności, w której żyje. Ale jako chrześcijanie nie możemy zapominać o tym, że naszą najważniejszą powinnością jest posłuszeństwo Bogu. Chcemy być ludźmi, którzy zasługują na miano uczniów Chrystusowych. Dlatego gotowi jesteśmy iść za Nim i postępować wobec Jego wskazań, nawet

wówczas, gdyby to miało być połączone z wyrzeczeniami, konfliktami z otaczającym nas światem.

Jezus mówi wyraźnie: *„Kto nie dźwiga krzyża swego, a idzie za mną, nie może być uczniem moim”*. Ludzie, którzy choć raz zetknęli się z Jezusem podczas Jego ziemskiej wędrówki, oczekiwali z jego strony pomocy. A wiemy, że najczęściej byli to nieszczęśliwi, chorzy, porażeni ślepotą, głuchotą, czy paraliżem. Ci, którzy zostali uzdrowieni przez Niego, odchodzili zapominając niekiedy nawet podziękować Bogu za okazaną łaskę.

Myślę, że i dzisiaj, gdyby Jezus pojawił się wśród nas, to niejeden szukał by pomocy u Niego, u tego cudownego, boskiego lekarza. Zwłaszcza dziś, gdy mamy przedłużający się kryzys w służbie zdrowia, kiedy tylu jest nieszczęśliwych, chorych ludzi.

Jako ludzie wierzący w Boga i ufający Jezusowi Chrystusowi, chcemy jednak zachować społeczność z Nim bez względu na to, jak wielkie są nasze cierpienia.

Wiara w to, że Jezus Chrystus nie wyrzeknie się nas, mimo iż niejednokrotnie codziennie odchodzimy od Niego szukając innych rozwiązań, dodaje nam sił potrzebnych do wytrwania. Rozumiał to dobrze i doświadczył w swym życiu apostoł Paweł, którego Chrystus Pan powołał, aby głosił Ewangelię, aby stał się Apostołem Narodów. Trapiony bliżej nie określoną chorobą zwraca się do Boga o pomoc i otrzymuje odpowiedź: *„Dosyć masz, gdy masz łaskę moją, albowiem pełnia mej mocy okazuje się w słabości. Najchętniej więc chlubić się będę słabościami, aby zamieszkała we mnie moc Chrystusa”*.

Na to, by być prawdziwym uczniem Jezusa Chrystusa, nie wystarczą dobre chęci. Jezus wskazał to na przykładzie budowniczego i króla prowadzącego wojnę z mocniejszym od siebie wrogiem. Trzeba najpierw dobrze przemyśleć i zastanowić się, czy chcemy iść tą drogą, czy chcemy bez względu na okoliczności naśladować Jezusa? On chce nas pozbawić iluzji, fałszywego mniemania o własnych możliwościach, a każdy, kto chce pójść za Jezusem, musi stoczyć wewnętrzną walkę z samym sobą. Walka z przeciwnościami, cierpieniem i wyrzeczeniami to jest jedyna droga, którą powinniśmy podążać za Jezusem, aby Go naśladować.

Jezus nie jest człowiekiem fałszywych idei, nie obiecuje nikomu łatwego i wygodnego życia. Przeciwnie, On chce nas przestrzec przed podejmowaniem pochopnych decyzji. Ci wszyscy, którzy zdecydują się wstąpić na tę drogę, na drogę krzyża, którą wskazał nam Jezus, muszą wiedzieć i pamiętać o tym, że za tymi trudnymi wymaganiami stoi miłość i troska Boga o człowieka. Warto więc bez obawy podjąć ryzyko pójścia za wskazaniami Jezusa i podążać za Nim. Na tym polega doświadczenie

wiary, która kształtuje naszą postawę wobec Boga i świata doczesnego. Czy potrafimy zdobyć się na to? Czy chcemy wiernie naśladować naszego Mistrza? Jeśli tak, to idźmy za Nim. Idźmy na spotkanie z naszym Panem i Zbawicielem, który powołał nas, byśmy dostąpili tej chwały i osiągnęli cel, jakim jest życie wieczne w Królestwie Bożym.

Amen.

8 lipca 2007 r.

Woda i ogień

6. Niedziela po Trójcy Świętej

Lecz teraz - tak mówi Pan - który cię stworzył, Jakubie, i który cię ukształtował, Izraelu: Nie bój się, bo cię wykupiłem, nazwałem cię twoim imieniem - moim jesteś! Gdy będziesz przechodził przez wody, będę z tobą, a gdy przez rzeki, nie zaleją cię; gdy pójdziesz przez ogień nie spłoniesz, a płomień nie spali cię. Bo Ja, Pan, jestem twoim Bogiem, Ja, Święty Izraelski, twoim wybawicielem; daję Egipt na okup za ciebie, Etiopię i Sabę zamiast ciebie. Dlatego że jesteś w moich oczach drogi, cenny i Ja cię miłuję, więc daję ludzi za ciebie i narody za twoje życie. Nie bój się, bo Ja jestem z tobą. Ze Wschodu przywiodę twoje potomstwo i z Zachodu zgromadzę cię. Do Północy powiem: Wydadź! A do Południa: Nie zatrzymuj! Przyprawdź moich synów z daleka i moje córki z krańców ziemi! Wszystkich, którzy są nazwani moim imieniem i których ku swojej chwale stworzyłem, których ukształtowałem i uczyniłem.

Iz 43,1-7

Wypowiedziane przez proroka Izajasza słowa obietnicy skierowane zostały pierwotnie do ludu Starego Przymierza. A działo się to w czasach, gdy Izrael utracił wolność, niepodległość, a jego mieszkańcy znaleźli się w niewoli babilońskiej.

Wydawać by się mogło, na pierwszy rzut oka, że Bóg miał na myśli tylko ten lud wybrany, jak na to wskazują te oto słowa: „*Bo ja, Pan, jestem twoim Bogiem, Ja Święty Izraelski twoim wybawicielem*”. Ale wiemy przecież, że Izraelici nie dochowali wierności Bogu. Mimo to, Bóg nie odrzucił całkowicie swego ludu, lecz zawarł z nimi Nowe Przymierze, którego pośrednikiem jest nasz Pan Jezus Chrystus.

Jako Jego Kościół jesteśmy więc częścią ludu Bożego. I do nas także odnoszą się te słowa: „*Nie bój się, bo cię wykupiłem, nazwałem cię twoim imieniem, moim jesteś*”. To nie znaczy wcale, że uzurpujemy sobie prawo do tego, by

odnosić do siebie te słowa, skierowane do Izraela. Musimy zdawać sobie sprawę z tego, że dzieje objawienia Bożego, zawarte zarówno w Starym, jak i Nowym Testamencie, stanowią nierozzerwalną całość. Mamy przecież do czynienia z tym samym Bogiem, który stworzył świat i człowieka, który stał się koroną stworzenia; stworzył nas na swój obraz i podobieństwo.

„*Nie bój się*” – tymi słowami Bóg zwraca się do swego ludu, który jest Mu drogi. Mimo iż Izraelici utracili wolność i znaleźli się z dala od swojej ojczyzny, Bóg nie zapomniał o nich i dlatego padają słowa pocieszenia: „*Nie bój się*”. To zapewnienie kieruje Bóg także dziś do świata, w którym żyjemy, do każdego człowieka, który wierzy w Bożą moc. Bóg nie czynił tego za jakieś szczególne zasługi człowieka, lecz ze względu na bezgraniczną miłość i łaskę dla swych dzieci.

Jako chrześcijanie jesteśmy własnością Boga od chwili, gdy zostaliśmy ochrzczeni. Nosimy w sobie miano przynależności do wielkiej Bożej rodziny. Nie musimy się więc obawiać, że Bóg o nas zapomni. To raczej my zapominamy o tym, że jesteśmy Bogu winni naszą wdzięczność i posłuszeństwo, że jesteśmy – zostaliśmy nazwani – dziećmi Bożymi.

Słowo prorockie, zawarte w omawianym tekście, zapewnia, że nie należymy do świata ciemności, do złych mocy, które chcą nas zniewolić, ale jesteśmy własnością Boga wszechmogącego. Jedynie On może nas uwolnić od wszelkiego zła, które nam zagraża, zresztą uczynił to przez Jezusa Chrystusa, który wykupił nas z niewoli grzechu i wiecznej śmierci.

Mimo tego zapewnienia, strach ma dostęp do każdego człowieka. Boimy się wielu rzeczy, wielu zjawisk, takich jak: wojny, klęski żywiołowe, cierpienia fizyczne czy psychiczne. Boimy się chorób, głodu, starości, samotności. To wszystko są zagrożenia, które stają się nieuniknione w życiu każdego człowieka. Strach jest nieodłączną częścią życia ludzkiego. Nic więc dziwnego, że ludzie chcą się od niego uwolnić i szukają sposobów zapomnienia – nie zawsze właściwych – w alkoholu, w narkotykach czy w wesołym, beztroskim życiu. Ale to wszystko są półśrodki. To nie uwalnia człowieka, pozwala tylko na chwilowe zapomnienie. Prawdziwie wolnymi uczynić nas może tylko Bóg w Jezusie Chrystusie, który powiedział: „*Jeśli więc Syn nas wyswobodzi, prawdziwie wolnymi będziecie*”.

Dla Izraelitów, przebywających w niewoli babilońskiej, słowa wypowiedziane przez proroka Izajasza były nie tylko świadectwem tego, że Bóg jest ich Panem, ale było to również zapewnienie, że ten lud nie musi się obawiać o swą przyszłość: „*Gdy będziesz przechodził przez wody, będę z tobą, a gdy przez rzeki, nie zaleją cię; gdy pójdziesz przez ogień nie spłoniesz, a płomień nie spali cię*”. Ta Boża obietnica odnosi się nie tylko do ludu Starego Przymierza. Bóg niejednokrotnie dawał dowody na to, że ci, którzy uwierzyli w Niego

i poszli za wskazaniem Jego Syna, Jezusa Chrystusa, obrali właściwą drogę i nie doznali zawodu. Zapewne niejedyn z nas doznał w swym życiu choć raz tego, że Bóg przeprowadził go bezpiecznie, w zdawałoby się beznadziejnej sytuacji, przez grożące mu niebezpieczeństwa, drogi i bezdroża.

Woda i ogień to żywioły, które mogą przynieść zagładę człowiekowi. Niemal codziennie dowiadujemy się w środkach masowego przekazu o powodziach czy pożarach, które pochłaniają wiele istnień ludzkich, ale woda to nie tylko żywioł. Woda jest niezbędna człowiekowi do życia. Już na pierwszych kartach Pisma Świętego dowiadujemy się, że Bóg, który stworzył niebo i ziemię, oddzielił lądy i morza, które zarośli się od żywych istot. Woda to także symbol życia duchowego, które ma swój początek w Sakramencie Chrztu Świętego. Świadczy o tym wypowiedz Jezusa podczas rozmowy z Nikodemem: „Jeśli się ktoś nie narodzi z wody i ducha, nie może wejść do Królestwa Bożego”. A Reformator Kościoła chrześcijańskiego ks. Marcin Luter mówiąc o znaczeniu Chrztu Świętego naucza, że „Bóg zbawił nas przez kąpiel odrodzenia i odnowienia Ducha Świętego, który wylał na nas obficie przez Jezusa Chrystusa, Zbawiciela naszego” (*Mały katechizm*).

Podobnie ma się rzecz z ogniem, który ma w sobie nie tylko niszczyielską moc, ale też moc oczyszczającą ludzkie dusze. Świadczy o tym wypowiedz Jana Chrzciciela, który powiada: „*Ja was chrzczę wodą ku upamiętaniu, (...) ale On [Jezus Chrystus] będzie was chrzczył Duchem Świętym i ogniem*”. Ten ogień to ogień miłości, jaką Bóg okazał w Jezusie Chrystusie ludziom. W ogniu miłości Bożej topnieją grzechy ludzkie. Dlatego ciągle przychodzimy przed tron Bożej łaski, aby prosić o przebaczenie i odnowić nasze życie, które zostało nam dane przez Boga. Możemy więc z całym przekonaniem i ufnością przyjąć to zapewnienie, które kieruje do swego ludu, mówiąc: „*Nie bój się, bo cię wykupiłem(...) bo Ja, Pan, jestem twoim Bogiem(...) nie bój się bo ja jestem z tobą*”.

Jako Kościół Jezusa Chrystusa jesteśmy własnością Bożą, którą On kieruje, której zapewnia rozpoczęcie nowego życia i bezpieczne przejście przez ten świat. To nic, że niekiedy codzienne chmury zgromadzą się nad nami na firmamencie życia, a burze i nawałnice będą zagrażać naszemu istnieniu. Wierzmy w to, że słońce Bożej sprawiedliwości wszędzie objawione nam w Jezusie Chrystusie, przeniknie ciemność tego świata i wskaże nam drogę prowadzącą do Królestwa Bożego. Dlatego wsłuchajmy się w ten głos Boży, skierowany do każdego kto wierzy: „*Nie bój się(...) bo Ja jestem twoim Bogiem(...) Nie bój się bo Ja jestem z tobą*”.

Amen.

15 lipca 2007 r.

Głód duchowy i cielesny

7. Niedziela po Trójcy Świętej

A apostołowie, powróciwszy, opowiedzieli mu o wszystkim, czego dokonali. I wzięwszy ich z sobą, wycofał się na pustkowie koło miasta, zwanego Betsaida. A tłumy, dowiedziawszy się o tym, poszły za nim. Przyjąwszy je, mówił do nich o Królestwie Bożym i leczył tych, którzy potrzebowali uzdrowienia. A dzień chylił się ku wieczorowi. Wtedy przystąpiło do niego dwunastu i rzekli: Rozpuść tłum, aby poszli do okolicznych wiosek i osad i tam postarali się o pomieszczenie i wyżywienie, gdyż tutaj jesteśmy na miejscu pustynnym. A On rzekł do nich: Wy im dajcie jeść. Oni zaś odrzekli: Nie mamy więcej aniżeli pięć chlebów i dwie ryby, chyba żebyśmy poszli i kupili żywności dla wszystkiego ludu. Albowiem mężów było około pięciu tysięcy. Rzekł więc do uczniów swoich: Każcie im usiąść w grupach mniej więcej po pięćdziesięciu. I uczynili tak, i posadzili wszystkich. Wzięwszy zaś te pięć chlebów i dwie ryby, spojrział w niebo, pobłogosławił je, rozłamał i dawał uczniom, by kładli przed ludem. I jedli, i nasycili się wszyscy; i zebrano pozostałych okruszyn dwanaście koszów.

Łk 9,10-17

Historia nakarmienia pięciu tysięcy ludzi pięcioma chlebami i dwiema rybami to jeden z wielu cudów, których dokonał Jezus Chrystus. O wielu takich cudach czytamy w Ewangeliach i można odnieść wrażenie, że Jezusowi chodziło głównie o to, by zadziwić świat i zyskać popularność. Tak przynajmniej sądzą niektórzy. Nic więc dziwnego, że znaleźli się ludzie, którzy zaliczyli tego rodzaju cuda do legend czy mitów i postanowili odmitologizować Pismo Święte, usunąć z niego wszystko, co wiązało się z kategorią cudu. Wśród tych ludzi byli też teolodzy, tacy jak Bultmann, czy francuski filozof Rousseau. Według tego ostatniego należałoby usu-

nać z Ewangelii cuda, a wówczas cały świat prędzej uwierzyłby w Jezusa Chrystusa i poszedł za Nim.

Według encyklopedii słowo „cud” to zjawisko nadprzyrodzone, dające się jedynie wytłumaczyć interwencją sił nadprzyrodzonych. Gdyby przyjęć takie określenie, to cuda Jezusa Chrystusa nie podlegają doświadczeniom, ale odnoszą się do innej, wyższej rzeczywistości. Działalność Jezusa Chrystusa na ziemi obejmowała zwiastowanie Słowa Bożego i odnosiła się do przyszłego Królestwa Bożego. Tę działalność Jezus popiera cudami, wśród których na pierwszym miejscu była uzdrawiająca moc: uzdrawianie, leczenie chorych. Sam Jezus potwierdził to wobec Jana Chrzciciela, kiedy wysłał on uczniów z pytaniem: *„Czy ty jesteś tym, który miał przyjść, czy mamy oczekiwać innego?”*. A wówczas Jezus odpowiedział: *„Idźcie i powiedzcie Janowi, co widzicie i słyszycie: ślepi odzyskują wzrok, chromi chodzą, trędowaci zostają oczyszczeni i głusi słyszą, umarli są wskrzeszani, a ubogim zwiastowana jest Ewangelia”*.

Na podstawie tych słów można określić działalność Jezusa jako posiadającego moc, którą dysponował i powierzył uczniom, by i oni w Jego imieniu kontynuowali rozpoczęte dzieło.

Rozważając cud nakarmienia przez Jezusa pięciu tysięcy ludzi pięcioma chlebami i dwiema rybami, trzeba podkreślić przede wszystkim to, że największym cudem wszech czasów był On sam i w Nim została objawiona Boża moc. Dzisiaj rano słuchając radia, usłyszałem że akurat była mowa o cudach w Fatimie w Portugalii i przytaczano wiele dowodów na to, że te cuda sprawiły wśród ludzi wielkie poruszenie i nawet kolejni papieże nawiązywali do tego cudu. I trzeba powiedzieć, że ludzie większą wagę przykładają właśnie do tego rodzaju cudów – co się komuś zdawało, czy ktoś zobaczył, czy usłyszał, aniżeli do tego prawdziwego cudu, jakim jest Pan, Jezus Chrystus i jego działanie. To moc wyrażona w Ewangelii Jana, gdzie Jezus mówi: *„Ja jestem chlebem żywym, który z nieba zstąpił; jeśli ktoś spożywać będzie ten chleb, żyć będzie na wieki”*. I to jest niewątpliwy cud, który znaleźć można w Piśmie Świętym.

Wiemy, że tym chlebem jest ciało Jezusa Chrystusa który przyjmujemy pod postacią chleba w Sakramencie Ołtarza. Ale wtedy dla tych pięciu tysięcy ludzi był to zwykły chleb, którym zaspokoili głód fizyczny. Jezus z pewnością zdawał sobie sprawę z tego, że ludzie, do których wówczas mówił, nie zdają sobie w pełni sprawy z tego, co to jest chleb życia, ten pokarm duchowy. A świadczy o tym Jego wypowiedz skierowana nazajutrz do tych samych ludzi: *„szukacie mnie nie dlatego, że widzieliście cuda, ale dlatego, że jedliście chleb, i nasyciliście się”*.

Uczniowie Jezusa też nie zdawali sobie w pełni sprawy z tego, kiedy ich Pan i Nauczyciel mówił o chlebie życia, a kiedy o chlebie, który służy do posilenia ciała.

Rozgraniczenie między strefą życia duchowego i cielesnego to zadanie, które Jezus powierza uczniom mówiąc: „*Wy im dajcie jeść*”. On był stwórcą i dawcą, a oni mieli nakarmić ten lud. To zadanie powierza Chrystus Pan dziś także Kościołowi, który winien zaspokajać potrzeby wierzących zarówno w zakresie życia duchowego, jak i cielesnego. Wiemy, że głównym zadaniem Kościoła jest zwiastowanie Słowa Bożego, udzielanie sakramentów. Ale nie od dziś wiadomo, że Kościół musi też troszczyć się o to, by jego członkowie, i nie tylko oni, nie cierpieli głodu fizycznego. Stąd działalność misyjna wielu stowarzyszeń, których celem jest poprawa warunków społecznych ludności świata, szczególnie w krajach zacofanych gospodarczo. Czy jako chrześcijanie czujemy się odpowiedzialni za świat, za ludzi powierzonych naszej opiece? Czy jesteśmy w stanie wyżywić i otoczyć opieką wielomilionową rzeszę głodnych, chorych i opuszczonych ludzi?

Pierwszą naszą reakcją z pewnością będzie stwierdzenie, że nie stać nas na to, by wyżywić tak wielką liczbę głodnych i zapewnić im pomoc, opiekę i minimum egzystencji. Pierwsi uczniowie Jezusa też byli zaskoczeni tym poleceniem: „*Wy im dajcie jeść*”. Co im mieli dać tam, na pustkowiu? Ale oni stali się tylko narzędziem w ręku Jezusa i wykonawcami jego woli. Jezus natomiast był żywicielem, czy – jak powiedzielibyśmy – chlebodawcą. Musimy pamiętać o tym, że o wartości uczniów Jezusa Chrystusa nie stanowi liczba czy wielkość posiadanych środków, lecz gotowość niesienia pomocy.

Jest corocznie zbierana kolekta przeznaczona na pomoc głodującym, tzw. „Chleb dla świata” i możemy niejednokrotnie dołożyć nasz grosz do takiej akcji. Zbieramy też na wiele innych akcji pomocy.

Wydawać się mogło, że dla Jezusa najbardziej istotną i jedyną sprawą było przygotowanie ludzi do życia w Królestwie Bożym. Przecież powiedział: „*Szukajcie najpierw Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a wszystko inne będzie wam dane*”. Tymczasem okazało się, że życie ludzkie w doczesności też ma swoją wartość i nie jest obojętne Chrystusowi. Zarówno duch, jak i ciało są darami Boga dla człowieka, i nie mogą być sobie przeciwstawne. Można jedynie ograniczać potrzeby ciała na rzecz duchowego rozwoju. Można postąpić tak, jak Bóg postąpił z ludem Starego Przymierza, jak słyszeliśmy, gdy dał im ten pokarm, tę mannę, którą zbierali tyle, ile komu potrzebne: ani za dużo, ani za mało. Ważne jest to, byśmy pamiętali, że Tym, który nas żywi i posila duchowym pokarmem, jest nasz Pan i Zbawiciel Jezus Chrystus.

Ludzie, których Jezus nakarmił w cudowny sposób, dokonując pomnożenia chleba, byli na pustkowiu, z dala od osiedli ludzkich. Oni z pewnością nie oczekiwali na żaden cud. Być może odeszliby głodni, gdyby uczniowie Jezusa nie zwrócili na to uwagi swemu Panu. Uczniowie też nie oczekiwali, że Jezus potrafi zaspokoić nie tylko głód duchowy, ale i cielesny. To, co się stało wówczas, przekroczyło wszelkie oczekiwania. Wszyscy czterej ewangelisti zgodnie odnotowali to wydarzenie cudownego nakarmienia pięcioma chlebami i dwiema rybami pięcioletniej rzeszy ludzi. Dla nas, chrześcijan, żyjących w XXI wieku, też byłoby nie do pomyślenia, aby Bóg potrafił w podobny sposób nakarmić nas chlebem powszednim, zapewnić dostatek. Wolimy raczej wierzyć w to, że Bóg wspiera nasze działania i dzięki naszym modlitwom zapewnia nam zaspokojenie naszych potrzeb. Tak jest w istocie. Prawda jest jednak taka, że Bóg jako nasz dobry Ojciec troszczy się o swoje dzieci. Ks. Marcin Luter w objaśnieniu czwartej prośby Modlitwy Pańskiej ujął to w następujących słowach: „Bóg daje chleb powszedni i bez prośby naszej nawet wszystkim złym ludziom, lecz prosimy w tej modlitwie, aby dał to nam poznać i abyśmy z dziękczynieniem przyjmowali chleb powszedni”. Nie pozostaje nam zatem nic innego, jak z pełnym zaufaniem powierzyć nasze życie Bogu, wierzyć w to, że Jezus Chrystus przychodzi do nas dziś, aby zaspokajać nasz głód duchowy i cielesny.

Możemy więc wyznać: Panie Jezu Chryste, przychodzimy do Ciebie z pustymi rękami i otwartym sercem, aby wziąć od Ciebie chleb żywota i siłę, potrzebną do zachowania wiary w Bożą moc. Naszą wdzięczność do Boga wyrażamy słowami psalmu: „Winniśmy Bogu hołd i dzięki za dobra, które zsyła nam, bo wszystko dziełem jego ręki, i to, czym jestem i co mam”.

Amen.

22 lipca 2007 r.

Działanie Boga nie ustaje

8. Niedziela po Trójcy Świętej

A przechodząc, ujrzał człowieka ślepego od urodzenia. I zapytali go uczniowie jego, mówiąc: Mistrzu, kto zgrzeszył, on czy rodzice jego, że się ślepym urodził? Odpowiedział Jezus: Ani on nie zgrzeszył, ani rodzice jego, lecz aby się na nim objawiły dzieła Boże. Musimy wykonywać dzieła tego, który mnie posłał, póki dzień jest; nadchodzi noc, gdy nikt nie będzie mógł działać. Póki jestem na świecie, jestem światłością świata. Po tych słowach splunął na ziemię i ze śliny uczynił błoto, i to błoto nałożył na oczy ślepego. I rzekł do niego: Idź i obmyj się w sadzawce Syloe (to znaczy Posłany). Odszedł tedy i obmył się, i wrócił z odzyskanym wzrokiem.

J 9,1-7

Pytanie uczniów skierowane do Jezusa o to, kto zgrzeszył, czy ten ślepy od urodzenia, czy jego rodzice, wydaje się jak najbardziej zasadne. Można je bowiem wyprowadzić ze słów Zakonu, gdzie czytamy: „*Ja Pan, twój Bóg, jestem Bogiem zazdrosnym, który karze winę Ojców na synach do trzeciego i czwartego pokolenia tych, którzy mnie nienawidzą*”. Mogło więc tak właśnie być, jak sądzili uczniowie. Ale w tym przypadku było inaczej. Wiemy z opisu Ewangelii, że w czasach, gdy Jezus przebywał z uczniami, było wielu ludzi chorych, upośledzonych, ślepych, głuchych, trędowatych. A ci, którym dane było spotkać się z Jezusem, byli przezeń uzdrawiani. Charakterystyczne jednak przy takich uzdrowieniach było to, że Jezus najczęściej mówił: „*odpuszczone są grzechy twoje*” albo: „*idź i nie grzesz więcej*”.

A zatem grzech leży u podstaw nieszczęść, które spotykają człowieka. Ten stan jest zresztą właściwy wszystkim ludziom od czasu naszych przodków. Pisze o tym apostoł Paweł w *Liście do Rzymian*: „*Przeto jak przez jednego człowieka grzech wszedł na świat, tak i na wszystkich ludzi śmierć przyszła, bo wszyscy zgrzeszyli*”. Nieszczęścia, które spadają na ludzi, zwykle

się przypisuje karze za grzechy i stąd fałszywa niekiedy ocena, jak to miało miejsce w przypadku tego ślepo narodzonego.

Błędne jest też mniemanie, że skoro jesteśmy zdrowi na ciele i omijają nas wszystkie nieszczęścia, to możemy się z tego powodu szczyścić, i uważać za uprzywilejowanych wobec Boga, łatwo jest popaść w pychę, zadufanie, a tym samym oddalić się od Jezusa, który przecież kocha grzeszników, ale potępia grzech.

Przypadek, o którym mówi biblijny tekst, nie był czymś wyjątkowym. Ani ten ślepy od urodzenia nie był bardziej grzeszny od innych, ani jego rodzice nie byli większymi grzesznikami niż rodzice dzieci zdrowych. Nie było więc bezpośredniego związku między kalectwem, a jego powstaniem. Jezus ujął to krótko, mówiąc: *„Ani on nie zgrzeszył, ani jego rodzice, lecz aby się na nim objawiły dzieła Boże”*.

Co to znaczy? W ten sposób Jezus ukazał uczniom człowieka z innej perspektywy – widzianego oczami Boga. Kiedy my, ludzie, patrzymy na nieszczęścia człowieka, możemy mu najwyżej współczuć. W przypadku napotkania ociemniałego możemy nu pomóc przejść przez ruchliwą ulicę, czy wsiąść do właściwego środka lokomocji. Bóg natomiast uczynić może znacznie więcej. On może – kierując się miłosierdziem – uzdrowić, przywrócić wzrok, tak jak to uczynił w przypadku ślepo narodzonego.

W dalszym ciągu rozważany tekst mówi o tym, co stało się z tym człowiekiem, który odzyskał wzrok i jak na to zareagowali ludzie, którzy go znali od urodzenia, a teraz spostrzegli nagle, że on widzi. Ale ten ślepo narodzony nie tylko odzyskał wzrok cielesny, ale uwierzył we wszechmoc Jezusa Chrystusa! Uczniowie towarzyszący Jezusowi mogli się przekonać, że ich Pan ma moc, jaką obdarzył go Ojciec, że – jak czytamy – *„wykonuje dzieła Boże”*.

To działanie Boga nie ustaje. I dziś także możemy być świadkami wydarzeń, którymi kieruje Bóg. Jego niewidzialna moc rozciąga się nad światem, w którym człowiek doświadczony jest wieloma nieszczęściami. Weźmy chociażby dla przykładu ten wypadek, tragedię, która wydarzyła się we Francji pod Grenoble, gdzie zginęli ludzie, którzy przecież zaufali Bogu. Ale to nie Bóg był sprawcą ich nieszczęścia. Tu zawinili ludzie. O podobnych katastrofach, klęskach żywiołowych, dowiadujemy się niemal codziennie ze środków masowego przekazu. Ale jest też prawdą, że Bóg jest w stanie wyrwać człowieka z najgorszych opresji. On chce jedynie, abyśmy z nim współdziałali i wykonywali jego dzieła.

Bóg posyła nas, chrześcijan, do świata, abyśmy świadczyli ludziom o potędze i wszechmocy Jezusa Chrystusa. Nie dla wszystkich jest to zrozumiałe

i oczywiste. Bóg chce nas zapewnić, że tam, gdzie kończą się nasze ludzkie możliwości, tam w cudowny sposób działa On.

Dokonując cudu przywrócenia wzroku ślepo narodzonemu, Jezus powiedział do uczniów: *„Póki jestem na świecie, jestem światłością świata”*. Ta światłość nie przestała świecić. Ona ogarnia i opromienia świat, w którym żyjemy. W blasku tej światłości możemy świadczyć o Bogu, który rozprasza ciemności i dociera tam, gdzie człowiek znajduje się w krytycznym położeniu i potrzebuje pomocy, ratunku.

Dzięki wierze, którą Bóg zaszczepił w nasze serca, możemy podążać za Jezusem tam, dokąd On nas prowadzi. I do nas także odnoszą się słowa wypowiedziane przez Jezusa Chrystusa: *„Chodźcie, póki światłość macie, aby was ciemność nie ogarnęła; bo kto w ciemności chodzi, nie wie, dokąd idzie”*.

Iluż jeszcze ludzi pogrążonych jest w ciemnościach, z których nie znajduje wyjścia? Ale my, jako ludzie wierzący, wiemy, że czuwa nad nami ta moc, która kieruje naszym życiem. Człowiek uzdrowiony przez Jezusa mógł oglądać świat, w którym dotąd błędził po ciemku, mógł cieszyć się i napawać jego pięknem. Ponadto Jezus dał mu coś więcej, tchnął w jego duszę światło wiary.

Jako Kościół Jezusa Chrystusa jesteśmy oświeceni przez Boga światłem, które wskazuje nam drogę wiodącą do życia wiecznego. Chrystus Pan jest dla nas światłością. Możemy więc z całą ufnością powierzyć mu swoje troski i nie bać się tej przyszłości, która jest przed nami. Musimy też mieć świadomość tego, że nawet wówczas, gdy przechodzić będziemy doliną cienia i śmierci – jak mówi psalmista – Jezus Chrystus będzie przy nas.

Żyjemy w świecie, który jest nie tylko samym pięknem. Wiele w nim zła, cierpienia, które napotykamy na swej drodze. Ten świat jest pełen złych mocy, które zdają się panować nad ludzkością. Ale jest wyjście z tego labiryntu zła. Trzeba podążać za boskim przewodnikiem Jezusem Chrystusem. On też szedł przez życie drogą cierpienia i śmierci, którą poniósł za nasze grzechy. Bóg wyrwał Go z objęć śmierci i sprawił, że Jezus Chrystus zmartwychwstał. Ten Jezus zwraca się do nas i mówi: *„Na świecie ucisk mieć będziecie, ale ufajcie, Ja zwyciężyłem świat”*.

Niech więc wiara w to zwycięstwo Jezusa Chrystusa dodaje nam sił. Niech Duch Święty, którego udziela Bóg, sprawi, byśmy zespoleni w miłości do Boga i bliźnich, stali się wykonawcami Jego woli. Niech światłość, która zajaśniała nad światem w Jezusie Chrystusie, ogarnia nasze serca i umysły. A Bogu wszechmogącemu niech będzie chwała teraz i na wieki.

Amen.

29 lipca 2007 r.

Początek nowego życia

19. Niedziela po Trójcy Świętej

Potem było święto żydowskie i udał się Jezus do Jerozolimy. A jest w Jerozolimie przy Owczej Bramie sadzawka, zwana po hebrajsku Betezda, mająca pięć krążanków. W nich leżało mnóstwo chorych, ślepych, chromych i wycieńczonych, którzy czekali na poruszenie wody. Od czasu do czasu zstępował bowiem anioł Pana do sadzawki i poruszał wodę. Kto więc po poruszeniu wody pierwszy do niej wstąpił, odzyskiwał zdrowie, jakkolwiek chorobą był dotknięty. A był tam pewien człowiek, który chorował od trzydziestu ośmiu lat. I gdy Jezus ujrzał go leżącego, i poznał, że już od dłuższego czasu choruje, zapytał go: Chcesz być zdrowy?

J 5,1-6

Historia uzdrowienia przez Jezusa chorego przy sadzawce Betezda ukazuje złożony problem związany z niemocą ludzką z jednej strony i mocą Bożą z drugiej strony. Człowiek chory od 38 lat skazany był na odosobnienie, ponieważ nie był w stanie o własnych siłach skorzystać z cudownych właściwości życiodajnego źródła. Toteż na pytanie Jezusa: Czy chcesz być zdrowy? – odpowiedział: „*Panie, nie mam człowieka...*”.

Problem człowieczeństwa opartego na miłości bliźniego występuje od zarania dziejów. Starożytny mędrzec, filozof Diogenes wyraził swą pogardę dla ówczesnych, świecąc w biały dzień zapaloną latarnię i szukając prawdziwego człowieka. A dzisiejszy świat, w którym żyjemy, w którym żyją miliardy ludzi, czy może się poszczycić tym, że wśród nas ma swoich szeregi prawdziwych ludzi?

Czy Kościół chrześcijański może być wzorem prawdziwego człowieczeństwa, opartego na miłości Boga i bliźniego?

Problem ten występuje zawsze i wszędzie tam, gdzie mamy do czynienia z niedolą ludzką, z bezradnością. Na szczęście Bóg okazuje swą moc, poprzez działanie swojego Syna Jezusa Chrystusa. I ta uzdrawiająca

moc wobec człowieka chorego od wielu lat znalazła właśnie swoje odbicie w stwierdzeniu Pana: „*Wstań, weź łóżę swoje i chodź*”.

Z tą samą mocą spotykamy się w naszym życiu, ilekroć kierujemy duchowy wzrok na Jezusa Chrystusa. Nasza wiara w Niego sprawia, że znajdujemy się w zasięgu mocy działającej niezależnie, a niekiedy nawet wbrew naszym ludzkim poczynaniom. Ludzie chorzy, pozbawieni pomocy i opieki ze strony bliźnich nie zawsze znajdują pomocną dłoń, która mogłaby ich wesprzeć i załagodzić cierpienie. Nawet wśród chrześcijan, ludzi wierzących, nie każdy spełnia rolę miłosiernego Samarytanina. Dlatego wciąż aktualne jest stwierdzenie: „*Nie mam człowieka*”. Nie mam nikogo, na kim mógłbym się wesprzeć, poskarżyć na swoją niedolę. Jako społeczność ludzi wierzących nie możemy jednak zapominać o tym, że należymy do grona wyznawców Jezusa Chrystusa. A ten fakt obliguje nas do tego, byśmy działali w Jego imieniu dla dobra bliźnich, tak jak to czynili apostołowie Jezusa Chrystusa, abyśmy wspierali i pomagali w taki czy inny sposób tym, którzy żyją wśród nas i potrzebują pomocy. I tylko wówczas nabiorą znaczenia słowa Jezusa Chrystusa, będące nowym przykazaniem: „*Po tym wszyscy poznają, że jesteście uczniami moimi, jeśli miłość wzajemną mieć będziecie*”.

Brak tej miłości oznacza spływanie i degradację chrześcijaństwa, które sprowadza się do mało znaczącej doktryny, wyznania: wierzę w Boga, i na tym się kończy nasze człowieczeństwo, nasza miłość Boga i bliźniego.

Wydawać by się mogło, że to cudowne uzdrowienie, dokonane przez Jezusa, mogło wzbudzić tylko radość, zwłaszcza u tego człowieka chorego, ale nie u tych, którzy byli świadkami męczarni, jaką ten człowiek przeżywał. Ale tak się nie stało. Tymczasem Żydzi, którzy niejednokrotnie zarzucali Jezusowi, że działa w mocy szatana, teraz także uważali, że On działa wbrew Zakonowi, narusza ustalony przez Boga porządek. Ich zdaniem naruszenie sabatu przez Jezusa i uzdrowiony przez niego człowiek, były zaprzeczeniem ingerencji Boga w sprawy ludzkie. Tak nie należało czynić.

A czy my, chrześcijanie, nie uważamy, że ustalony przed wiekami przez Boga porządek nie odnosił się do naszych czasów? Wierzymy, co prawda, że Bóg stworzył świat, ale pozostawił ludziom swobodę działania i kształtowania tego świata według naszych wyobrażeń. Czy tak nie jest? Wielu ludziom wydawało się, że mogą zmienić bieg świata i kierować nim w obrany przez siebie sposób. Najnowsze odkrycia naukowe wykazały, że już wkrótce będzie można w dowolny sposób kształtować człowieka posiadającego tylko same dobre cechy, odpornego na wszelkie choroby. A stąd już tylko jeden krok do stwierdzenia, że Bóg nie jest człowiekowi potrzebny.

Ten sprzeciw wobec ingerencji Boga w nasze, ludzkie życie, w nasze sprawy, pozostaje jednak w sprzeczności z tym, co wyznajemy i w co wierzymy.

Reformator Kościoła chrześcijańskiego ks. Marcin Luter określił to stanowisko w prosty, a zarazem zrozumiały dla każdego sposób: „Wierzę, że Bóg stworzył mnie oraz wszystkie stwory, że mi dał ciało i duszę, oczy, usta i wszystkie członki, rozum i wszystkie zmysły i dotąd utrzymuje”.

Możemy więc z całą pewnością uznać, że ingerencja Boga, dokonana w Jezusie Chrystusie – tak jak w przypadku tego człowieka uzdrowionego – oznacza początek nowego życia. Ona dokonuje się stale, poprzez różne doświadczenia życiowe.

Historia uzdrowienia chorego jest nie tylko krótkim epizodem z życia Jezusa. Ona ma swój ciąg dalszy. I dla nas, wyznawców Jezusa Chrystusa jest świadectwem obecności Boga w życiu każdego z nas. Jesteśmy powołani do tego, by głosić ludziom prawdę o tym, że Bóg zawsze i wszędzie może działać i ingerować w ludzkie sprawy. Możemy i powinniśmy być Jego narzędziem. Wokół nas spotykamy ludzi, którzy żyją w osamotnieniu, w izolacji, bezradności, chorzy i opuszczeni. Jakże często rozlega się to wołanie: „Nie mam człowieka, jestem sam”.

Bóg pragnie zaradzić tej niedoli i wyrwać ludzi z ich samotności właśnie za naszym pośrednictwem. I ty, bracie, i siostró, możesz być tym człowiekiem, którego potrzebuje bliźni. Wiemy, że pomoc ludzka nie zawsze przychodzi w porę i nie zawsze jest skuteczna. Zawężamy nasze pojęcie miłości bliźniego do najbliższego grona: rodzice opiekują się dziećmi, dzieci na starość troszczą się o zniedołężniałych rodziców. Uważamy, że na więcej nas nie stać. A tymczasem wkoło rozlega się wołanie: „Nie mam człowieka! Potrzebuję pomocy!”.

Pamiętajmy, że jako zbór Jezusa Chrystusa winniśmy mieć zawsze przed oczyma osobę naszego Pana i Zbawiciela. On nigdy nie odmawiał pomocy ludziom, którzy Go o to prosili. Nie szczędził im swego czasu i ofiarował wszystko – łącznie ze swym życiem, które złożył na krzyżu Golgoty za nasze grzechy.

Dziś także Chrystus Pan przychodzi do nas obecny w swoim Słowie i Sakramencie Ołtarza. Wyciąga do nas swoje ręce i mówi: „*Pójdźcie do mnie wszyscy. I o cokolwiek będziecie prosili Ojca w imieniu moim, da wam*”. A zatem korzystajmy z tej Bożej oferty, przyjmijmy to wezwanie i czyńmy to, dopóki mamy czas. Prośmy więc Ojca Niebiańskiego, aby był przy nas i wspierał nasze działania swą mocą z wysokości. Jemu niech będzie cześć chwała teraz i po wszystkie czasy.

Amen.

14 października 2007 r.

Jej godzina jest nieznana

Niedziela Wieczności

Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą. Ale o tym dniu i godzinie nikt nie wie: ani aniołowie w niebie, ani Syn, tylko Ojciec. Baczcie, czuwajcie; nie wiecie bowiem, kiedy ten czas nastanie. Jest to tak, jak u człowieka, który odjechał, zostawił dom swój, dał władzę sługom swoim, każdemu wyznaczył jego zadanie, a odźwiernemu nakazał, aby czuwał. Czuwajcie więc, bo nie wiecie, kiedy pan domu przyjdzie: czy wieczorem, czy o północy, czy gdy kur zapieje, czy rankiem. Aby gdy przyjdzie, nie zastał was śpiącymi. To, co wam mówię, mówię wszystkim: Czuwajcie!

Mk 13, 31-37

Ostatnia niedziela roku kościelnego to Niedziela Wieczności. Wspominamy tego dnia tych wszystkich, którzy od nas odeszli i poprzedzili nas w drodze wiodącej do wieczności, do Królestwa Bożego. To jest nasza wspólna droga, którą wyznaczył nam Bóg i prowadzi od chwili narodzenia aż do śmierci. Zarówno ci, którzy umarli, jak i my, żyjący, należymy do Boga, który jest naszym Ojcem. Nie możemy zatem powiedzieć, że życie jest naszą wyłączną własnością. Apostoł Paweł wyraził to w *Liście do Rzymian*, pisząc: „*Albowiem nikt z nas dla siebie nie żyje i nikt dla siebie nie umiera; przeto czy żyjemy czy umieramy, Pańscy jesteśmy*”.

Świadomość przynależności do Boga zarówno teraz, jak i po śmierci sprawia, że możemy mieć nadzieję na spotkanie z Bogiem w Jego Królestwie.

Przytoczony tekst przygotowuje nas do tego spotkania. Słowa Jezusa Chrystusa stanowią gwarancję spotkania z Bogiem i wzywają nas do zachowania czujności: „*Czuwajcie, nie wiecie bowiem, kiedy ten czas nastanie*”. Chodzi o czas, w którym Bóg spełni obietnicę, i powoła przed swój tron, zarówno żywych, jak i umarłych. Wszyscy powstaną,

aby stanąć przed Nim. Ale po to, żebyśmy mogli stanąć przed Bogiem, musimy przejść przez bramę śmierci. Nie wiemy jednak, kiedy to się stanie – dziś, jutro, czy później.

Na starych średniowiecznych zegarach, umieszczona była taka dewiza, sentencja: „Śmierć jest pewna, ale godzina jej nadejścia jest nieznaną”. Jezus też nie określił, kiedy nadejdzie ten dzień naszego spotkania z Bogiem. Nie znamy dnia ani godziny naszej śmierci, ale oczekujemy z nadzieją, że nasz Pan i Zbawiciel przyjdzie.

Tak jak w przedstawionym podobieństwie, Bóg powierza nam swoją własność i udziela pełnomocnictwa. Możemy więc dysponować tym wszystkim, co otrzymaliśmy od Niego. Nasze życie jest też własnością Boga, jesteśmy odpowiedzialni przed Nim za wszystko, co czynimy. Za nasze dzieci, bo one należą do Boga, za naszych rodziców, braci, siostry i za naszych bliźnich. Nie możemy więc powiedzieć, że wszystko, co posiadamy, jest naszą wyłączną własnością. Jeżeli oczekujemy na przyjście naszego Pana, to musimy się liczyć z tym, że kiedyś będziemy musieli rozliczyć się z Nim z tego wszystkiego i zdać Mu sprawę.

Wszystko, co posiadamy, zawdzięczamy Bogu i dlatego musimy liczyć się z tym, że On kiedyś przyjdzie i upomni się o swoją własność. Tak jak w obrazie sądu ostatecznego: byłem głodny, a nakarmiliście mnie, byłem w więzieniu, a odwiedzaliście mnie. Zdziwieni pytają: Panie, kiedy to uczyniliście? *„Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych braci moich, mnie uczyniliście”*.

Oczekiwanie na przyjście Pana, nie może być oczekiwaniem na spotkanie z kimś, gdy wyglądamy przez okno i patrzymy, czy już się zbliża. To czuwanie, o którym mówi Jezus, to jest coś więcej.

Żyjąc w świecie mamy określone zadania, ale to nie my decydujemy o tym, co i kiedy będziemy czynić. Jako chrześcijanie wszyscy służyliśmy naszemu Panu, Temu, który nas powołał do swojej służby i powierzył określone prace. Świadczą o tym słowa Jezusa który mówi: *„To co, wam mówię, mówię wszystkim, Czuwajcie!”*. Nie możemy uchylać się od powierzonych przez Boga zadań, twierdząc, że to dla nas za trudne. Przykładem takiego postępowania może być prorok Jonasz, którego Bóg posłał, aby napomniał mieszkańców Niniwy, aby obudził ze snu tych, którzy zapomnieli o swym Panu i Bogu. Ale Jonasz uważał, że to zadanie dlań za trudne. Postanowił uciec i skryć się na statku, który miał się oddalić od tego miasta. Podczas sztormu, gdy statek zaczął tonąć, Jonasz spał, a obudzony przez zatrwożonych marynarzy zrozumiał, że Bóg ma wobec niego inne plany, że nie może się uchylić przed tym, co mu zostało powierzone.

Podobnie może być i w naszym życiu, jeżeli sumiennie nie będziemy wykonywać naszych obowiązków. Nie może zasnąć pielęgniarka pełniąca nocny dyżur przy ciężko chorym człowieku, nie może zasnąć kierowca autobusu wiozącego ludzi, bo to grozi wypadkiem jemu i pasażerom, nie możemy zasnąć udając się w podróż, bo spóźnimy się na pociąg czy autobus.

Czuwanie jest więc obowiązkiem każdego, obowiązkiem uczniów Jezusa Chrystusa i winno być poparte modlitwą. Pamiętamy, jak Jezus przed swoją męczeńską śmiercią zgromadził uczniów i powiedział do nich: „*Czuwajcie, czuwajcie i módlcie się, abyście nie popadli w pokuszenie*”. I mimo że powtórzył to trzykrotnie, uczniowie spali. Powiedział wówczas, że duch jest ochotny, ale ciało mdłe. I nam niejednokrotnie przytrafia się coś podobnego, że chcielibyśmy wytrwać w tym, co zostało polecane naszej trosce, ale nasze ciało jest zbyt słabe.

Niedziela Wieczności jest nie tylko przypomnieniem, że wszystko na tym świecie ma swój kres, a śmierć jest czymś naturalnym i nieuniknionym. Przypomnijmy raz jeszcze tę dewizę, wypisaną na starych zegarach: „Śmierć jest pewna, ale godzina jej przyjścia nieznana”. Jezus chce nas przygotować na ten dzień, w którym będziemy musieli opuścić ten świat. Śmierć nie może, nie powinna nas zaskoczyć, jeżeli z wiarą przyjmujemy słowa naszego Pana, wzywające do czujności. Nie jest łatwo pogodzić się z tym, że wszystko przemija. Im dłużej żyjemy na tym świecie, tym dłużej chcielibyśmy zatrzymać to wszystko, co zostało nam dane. Dlatego smucimy się, gdy odchodzą z tego świata nasi bliscy, nie możemy pogodzić się z tym, że ktoś kochany przez nas już opuścił ten świat, pozostawiając w sercach pustkę i żal. Nie jesteśmy w stanie temu przeciwdziałać i powstrzymać biegu wydarzeń. Jeden Bóg kieruje światem i wyznacza każdemu drogę jego życia. W jego rękę są losy świata i człowieka.

Dlatego kierujemy nasze myśli i serca ku Temu, który nas zapewnia o tym, że jesteśmy mu bliscy, że jesteśmy we władaniu Boga wszechmogącego. Jezus Chrystus jest tym, który utwierdza nas w przekonaniu, że choć „Niebo i ziemia przeminą, ale [Jego] słowa nie przeminą”. On daje nam nadzieje na pokonanie bariery śmierci i wejścia na drogę wiodącą do Królestwa Bożego. Z głęboką wiarą i ufnością przyjmujemy te zapewnienia i idziemy na spotkanie z naszym Panem i Zbawicielem.

Amen.

25 listopada 2007 r.

Prośmy o jedność chrześcijan

Spotykamy się na kolejnym nabożeństwie o jedność chrześcijan. Nasze wspólne modlitwy mają na celu – zbliżenie do Boga przez Chrystusa. On jest dla wszystkich Chrześcijan **Drogą, Prawdą i Życiem** (J 14,6). Powstaje pytanie, czy ta droga wszystkim odpowiada? Czy nie szukamy czasem innych dróg i ścieżek, które wydają się nam wiarygodniejsze i łatwiejsze do pokonania?

Kiedy przed laty rozpoczynałem moją działalność ekumeniczną, wydawało mi się, że nadszedł czas wielkich przemian w Kościele chrześcijańskim. Pontyfikat papieża Jana XXII i zwołany przezeń II sobór watykański, otworzy drzwi Kościoła Rzymskokatolickiego na działalność ekumeniczną. Obserwatorzy z innych Kościołów wzięli wtedy udział w obradach soborowych. Ten duch otwartości i wspólnych modlitw ogarnął również inne Kościoły w naszym kraju. Pamiętam, z jakim zainteresowaniem spotykały się nabożeństwa ekumeniczne w kościołach rzymskokatolickich z udziałem księży innych wyznań. Prasa kościelna i nie tylko relacjonowała przebieg tych spotkań ekumenicznych. Wspólne rekolekcje księży i młodzieży miały rozpowszechnić tę ekumeniczną działalność.

Z upływem czasu ta działalność zaczęła słabnąć. Pozostawały niewielkie grupy prawdziwych entuzjastów ekumenii. Kościoły chrześcijańskie w obawie o utratę, czy osłabienie swojej tożsamości wyznaniowej zaczęły ograniczać wzajemne kontakty i spotkania ekumeniczne. Dobrze wiemy, co stało się powodem osłabienia więzi ekumenicznej. Powrót do dawnych zapatrywań i usztywnienie stanowiska Kościołów, które wołały pójść własną drogą.

Stało się tak, jak w przypadku Samarytanki, która powiedziała do Jezusa: *„Ojcowie nasi na tej górze oddawali Bogu cześć, wy zaś mówicie, że w Jerozolimie jest miejsce, gdzie należy Bogu cześć oddawać”*.

A czy wielu chrześcijan naszych czasów nie myśli podobnie? Czy nie sądzi, że lepiej, bezpieczniej jest wielbić Boga według odwiecznych kanonów i tradycji? Po co wspinać się na wysoką górę, z której można spaść i skrócić kark? Lepiej ją ominąć i wejść na niski pagórek, bo stamtąd też jest ładny widok. Zarówno Izraelici, jak i Samarytanie byli przekonani o słuszności wyznawanych przez siebie idei. Kroczyli własną drogą, która miała ich doprowadzić do Boga i zapewnić im zbawienie.

A czy współcześni chrześcijanie nie myślą podobnie? Każdy Kościół ma swoją drogę, po której zmierza do obranego celu. Cel jest jeden dla wszystkich: odnaleźć Boga w Jezusie Chrystusie i być przez Niego zbawionym. Świadczą o tym najlepiej słowa Ewangelii: *„Kto wierzy w Syna ma żywot wieczny, kto zaś nie słucha Syna, nie ujrzy żywota, lecz gniew Boży ciąży na Nim”* (J 3,36).

Niewiasta samarytańska uwierzyła w Syna Bożego, który odkrył tajemnicę jej życia i ukazał właściwą drogę wiary. Przemiana, jakiej doznała pod wpływem słów Jezusa, spowodowała to, że porzuciła dotychczasowy sposób myślenia i zaufała Jezusowi Chrystusowi. On stał się dla niej drogą, prawdą i życiem.

Gdyby wszyscy chrześcijanie odnaleźli ten cel i poszli za Jezusem Chrystusem nie oglądając się na dzielące ich bariery, wówczas na pewno byłibyśmy bliżej Boga i bliżej siebie. Tak niewiele potrzeba, by być uczniem Jezusa Chrystusa i postępować według jego wskazań. Ale ta droga ciągle jeszcze jest daleko i wydaje się nie do zrealizowania. Dlatego ruch ekumeniczny zapoczątkowany przez ludzi wydaje się teorią, która nie znajduje potwierdzenia w codziennym życiu.

Śledząc dzieje ludu wybranego przez Boga, widzimy pewną prawidłowość. Dopóki Izraelici postępowali zgodnie z wolą Boga, cieszyli się Jego wsparciem i błogosławieństwem. Ale z chwilą, gdy odstępowali od Pana, szukali innych bogów, ściągali na siebie karę. Karą Bożą za grzechy całego narodu izraelskiego była niewola egipska oraz babilońska. Bóg niejednokrotnie upominał ten lud posyłając doń proroków, a gdy to zawiodło, posłał swego Syna Jezusa Chrystusa. Wiemy, jaki los zgotowano Jezusowi, ale Bóg nie opóścił swojego Syna i wzbudził Go z umarłych. Zmartwychwstały Jezus Chrystus stał się Panem i Zbawicielem tych, którzy w niego uwierzyli i poszli za jego nauką.

My także należymy do ludu Nowego Przymierza i chcemy, aby Jezus Chrystus był naszym Panem i Zbawicielem. Tylko z Nim, pod Jego przy-

wództwem możemy się zjednoczyć w jednym Kościele. Podziały, jakie miały miejsce między chrześcijanami różnych wyznań, nie mogą być przeszkodą na drodze do jedności. To nie my, ludzie słabi i grzeszni, decydujemy o tym, czy pójść drogą wskazaną przez Jezusa. To Duch Boży kieruje naszym życiem. On jedynie sprawia, że spełnią się słowa obietnicy i prośby Chrystusowej modlitwy: *„Aby wszyscy byli jedno, jak Ty Ojczye we mnie, a ja w Tobie, aby oni w nas jedno byli”* (J 17,21).

Nie wiemy, kiedy nastanie ten dzień, kiedy Bóg zechce zgromadzić nas w jednym Kościele?

Ale już dziś zanieśmy nasze modlitwy przed tron Boga który nad nami panuje. Prośmy Go o to, by znikły wszelkie bariery dzielące chrześcijan. Nie zasklepiajmy się w naszych ciasnych schematach myślowych, lecz poddajmy się działaniu Ducha Świętego. Tylko On może nas ożywić i natchnąć do działania zmierzającego ku jedności. Wierzmy, że tak się stanie, bo taka jest Boża wola. Nie poddawajmy się zniechęceniu i przekonaniu, że wszelkie próby wyjścia z labiryntu grzechu wzajemnych uprzedzeń i dzielących nas barier są daremne.

Bądźmy wierni słowom naszego Pana i Zbawiciela, który powiedział: *„Nadchodzi godzina i teraz jest, kiedy prawdziwi czciciele będą oddawali Ojcu cześć w duchu i w prawdzie”* bo i Ojciec takich szuka, którzy by mu tak cześć oddawali” (J 4,23).

Amen.

wrzesień 2008 r.

Poznają, żeście uczniami moimi

Po tym wszyscy poznają, żeście uczniami moimi, jeśli miłość wzajemną mieć będziecie.

J 13,35

Kiedy Jezus Chrystus powołał pierwszych uczniów, nie stawiał im żadnych wymagań. Wystarczyło, by podjęli Jego wezwanie i poszli za Nim. Nie wiemy, czym Jezus kierował się przy wyborze swoich uczniów. O tym, czy i jak dalece był to trafny wybór, miała zdecydować przyszłość. Uczniowie mieli się sprawdzić dopiero wówczas, gdy ich Pan i Nauczyciel postawił im konkretne zadania. Zachęteni Jego przykładem starali się sprostać stawianym wymaganiom i nie zawieść zaufania swojego Mistrza. Ten Boży zasiew rzucony ręką Jezusa miał w przyszłości wydać plon – zaowocować powstaniem Kościoła chrześcijańskiego. Kościół ten przetrwał do naszych czasów, bo został zbudowany na solidnym fundamencie, jakim jest Jezus Chrystus. Świadczą o tym słowa apostoła Pawła: *„Albowiem fundamentu innego nikt nie może założyć oprócz tego, który jest założony, a którym jest Jezus Chrystus”*.

Kościół w ciągu dwóch tysięcy lat istnienia przechodził różne koleje i ulegał przekształceniom. Podzielony, zachował jednak to, co charakteryzuje wszystkich wyznawców Jezusa Chrystusa – jedność w wierze i wspólnotę ducha w spójni pokoju – jeden Pan, jedna wiara, jeden chrzest; jeden Bóg i Ojciec wszystkich, który jest ponad wszystkimi, przez wszystkich i we wszystkich.

Spoiwem łączącym wszystkich wyznawców Jezusa Chrystusa jest miłość, bez której nie da się żyć. Są różne odcienie i rodzaje miłości, miłość rodziców do dzieci, dzieci do rodziców, miłość małżonków, czy rodzeństwa. Bez miłości trudno sobie wyobrazić wzajemne stosunki między chrześcijanami. W praktyce bywa jednak różnie. Potrafimy kochać siostry, i braci z Kościoła, do którego należymy, ale czy stać nas na to, by kochać

członków innych wyznań chrześcijańskich? Myślę, że to jest konieczne i możliwe. Spróbuję tego dowieść na przykładzie z mojego życia.

Jako duchowny Kościoła Ewangelicko – Augsburskiego, przed trzema laty zetknąłem się z grupą członków Kościoła Rzymskokatolickiego zrzeszonych w ruchu *Focolare*. Było to w maju 2004 roku – wraz z grupą moich współwyznawców miałem możliwość obejrzenia przekazu telewizyjnego obrad Kongresu Eucharystycznego, który odbywał się w Stuttgarcie. W ciągu następnych lat byłem zapraszany na spotkania członków ruchu *Focolare – Mariapoli* i uczestniczyłem w kilku kolejnych: Poznaniu, Opolu, Lublinie i Warszawie. Na wszystkich tych spotkaniach byłem jedynym ewangelikiem. Moimi przewodnikami było małżeństwo z Warszawy. Za ich namową wziąłem udział w II Ekumenicznym Spotkaniu – *Razem dla Europy*, które odbyło się w 2007 roku w Stuttgarcie.

Mam nadzieję, że te kontakty przyczynią się do zacieśnienia między nami braterskich stosunków. Moim pragnieniem jest, by w spotkaniach ekumenicznych, odbywających się regularnie w Warszawie: w kościele ewangelicko – augsburskim przy ulicy Puławskiej 2, w kościele Dzieciątka Jezus u ojców orionistów przy ulicy Lindleya oraz w kościele sióstr nazaretanek przy ulicy Piwnej, brało udział więcej osób z *Focolare* oraz, aby członkowie tego ruchu włączyli się do organizowanego co roku w styczniu Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan.

Kończąc, przypominam sobie słowa piosenki śpiewanej przez Piotra Szczepanika: „Kochać – jak to łatwo powiedzieć, kochać to nie pytać o nic... bo miłość jest niewiadomą”.

Dla chrześcijaństwa miłość jest jednak wiadomym znakiem przynależności do jednego Pana i Zbawiciela, Jezusa Chrystusa. Niech On nas łączy i prowadzi przez życie, ku chwale Bożej.

Amen.

2008 r.

Pan daje ukojenie

Niedziela Cantate

W tym czasie odezwał się Jezus i rzekł: Wystawiam cię, Ojcze, Panie nieba i ziemi, że zakryłeś te rzeczy przed mądrymi i roztroprnymi, a objawiłeś je prostaczkom. Zaprawdę, Ojcze, bo tak się tobie upodobało. Wszystko zostało mi przekazane przez Ojca mego i nikt nie zna Syna tylko Ojciec, i nikt nie zna Ojca, tylko Syn i ten, komu Syn zechce objawić. Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście spracowani i obciążeni, a Ja wam dam ukojenie. Weźcie na siebie moje jarzmo i ucztujcie się ode mnie, że jestem cichy i pokornego serca, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych. Albowiem jarzmo moje jest miłe, a brzemię moje lekkie.

Mt 11,25-30

To, czego ludzie najbardziej poszukują i o co zabiegają, to fundament, na którym oparte jest ich istnienie. Nie każdemu udaje się osiągnąć ten stan o własnych siłach. Szukają więc sposobów, by znaleźć oparcie dla życia i działania w tym świecie. Jednym udaje się to stosunkowo łatwo dzięki wrodzonym zdolnościom, pracowitości, czy poparciu innych, wpływowych ludzi. Ale są i tacy, którym, mimo pożądanых zalet, los nie szczędzi przykrych doświadczeń i spycha na margines życia. Któż nie chciałby się wtedy uwolnić od ciężaru, który go przygniata? Dla człowieka wierzącego ratunkiem jest nadzieja pokładana w Bogu, który może go wesprzeć i dać mu siły potrzebne do przetrwania.

Nie wszyscy ludzie szukają i oczekują pomocy od Boga. Wielu zagrożonym w smutku i cierpieniu nikt z ludzi nie jest w stanie pomóc ani wyrwać ich z krytycznej sytuacji, ani zakończyć ich niedoli. Tym, który może pomóc ludziom i sprawić, że mimo doznawanych krzywd i upokorzeń mogą z ufnością patrzeć w przyszłość, był i pozostanie Jezus Chrystus. Zarówno ludzie mądrzy i wykształceni, jak i prości, mogą liczyć na Jego pomoc.

Zwłaszcza ci ostatni cieszyli się szczególnymi względami Jezusa. Dlatego w Jego otoczeniu znajdowali się najczęściej ludzie pogardzani, celnicy i grzesznicy. Jezus przyszedł na świat, by ratować ludzi bez względu na ich pochodzenie i status życiowy. Mógł więc powiedzieć: „*Pójdźcie do mnie wszyscy*” (Mt 11,28). To wezwanie Jezusa kierowane jest i dziś do świata, do ludzi, którzy borykają się z takimi czy innymi problemami i nie potrafią ich rozwiązać.

Czynnikiem, który sprawia, że człowiek staje się podatny na działanie Boga, jest wiara. Ale nie każdy człowiek jest wierzący. Wiara nie jest sprawą intelektu, lecz darem Boga. Dlatego Jezus zwracając się do Ojca Niebiańskiego mówi: „*Wystawiam Cię Ojcze, Panie nieba i ziemi, że zakryłeś te rzeczy przed mądrymi i roztroprnymi, a objawiłeś je prostaczkom*” (Mt 11,25). Jezusowi z pewnością nie chodziło o postponowanie możliwości poznawczych ludzi, lecz o wskazanie źródła, z którego płynie moc Boża.

To może się wydawać paradoksalne, że człowiek słaby, nie mający oparcia w otaczającym świecie, doznaje poznania z góry, od Boga. Przykładem niech będzie postawa i świadectwo apostoła Pawła, który w szczególny sposób doznał, czym jest łaska Boża. Apostoł Paweł doświadczany w cierpieniu zwraca się do Boga o pomoc i otrzymuje odpowiedź: „*Dosyć masz, gdy masz łaskę moją albowiem pełnia jej mocy okazuje się w słabości*”. Dalej następuje konkluzja apostoła: „*Dlatego mam upodobanie w słabościach (...), albowiem kiedy jestem słaby, wtedy jestem mocny*” (2 Kor 12,9-10).

Apostołowi nie chodzi o to, byśmy dobrowolnie skazywali się na cierpienie, lecz abyśmy potrafili dostrzec w każdej sytuacji życiowej pomocną rękę Boga. Tą ręką jest dla nas osoba i dzieło Jezusa Chrystusa, który mówi: „*Pójdźcie do nas wszyscy, którzy jesteście spracowani i obciążeni, a ja wam dam ukojenie*” (Mt 11,28).

A kim są ci spracowani i obciążeni? To nie tylko emeryci i renciści, każdy człowiek może być cierpiący na swój sposób z różnych powodów. Gdybyśmy potrafili czytać w sercach ludzi, to przekonaliśmy się, ile jest nieszczęść i niezabliźnionych ran. Tylko Jezus mógł o tym wiedzieć i pomagać ludziom, dlatego wszystkim potrzebny jest Syn Boży i wiara w Niego, aby życie nie było pustką, i miało swój sens. Wiara w Jezusa Chrystusa i jego zbawczą moc sprawia, że mimo doznawanych w tym życiu cierpień i obciążeń, Bóg uwalnia nas od nich i prowadzi do życia wiecznego.

Wezwanie Jezusa do pójścia za Nim nie jest decyzją łatwą. Tak było w przeszłości, gdy pojawił się wśród Żydów, głosząc dobrą nowinę o Królestwie Bożym i czyniąc liczne cuda. Ale Jezus od początku swego ziemskiego życia miał wielu wrogów. Już jako małe dziecko musiał uchodzić przed gniewem Heroda. Faryzeusze, uczeni w Piśmie i kapłani zaprzeczali

jego boskości, a jeden z Jego uczniów przyczynił się do śmierci swego Nauczyciela na krzyżu Golgoty. Ten dramat ludzkiego życia, jaki się wówczas rozegrał, mógł być końcem misji życiowej Jezusa. Ale właśnie to życie i śmierć Jezusa miały głęboki sens oraz nieprzemijającą wartość dla całej ludzkości! Będąc w pełni świadomym tego, co zgotują mu ludzie, do których został posłany przez Ojca w Niebie, Jezus mówi: „*Pójdźcie do mnie wszyscy (...) spracowani i obciążeni, a Ja wam dam ukojenie. Albowiem jarzmo moje jest miłe, a brzemień lekkie*”(Mt 11,28.30). Wydawać by się mogło, że to stwierdzenie stoi w sprzeczności z tym, co spotkało Jezusa. Już same słowa „jarzmo” i „brzemień” oznaczają przymus i zniewolenie, a jednak Jezusa zachęca nas i wzywa do tego, byśmy przyjmowali z jego ręki życie takim, jakim ono jest. On chce, byśmy idąc za Nim, naśladowali Go i poświęcali nasze siły w służbie bliźnim. Wówczas ciężar przez nas niesiony, nie będzie tak dotkliwy.

To wszystko, co Jezus głosił i czynił dla ulżenia doli człowieka, może się wydawać niemożliwe do zrealizowania. Toteż ludzie rozmaicie reagują na wezwania Jezusa. Jedni odwracają się od Niego i odżegnują od pójścia za Nim, bo wolą bezpieczniejsze i wygodniejsze życie. Inni, uniesieni chwilowym zapałem, przyrzekają, tak jak niegdyś Piotr: „*Choćby się wszyscy zgorszyli z ciebie, ja się nigdy nie zgorszę. Choćbym miał z tobą umrzeć, nie zaprę się Ciebie*” (Mt 26,33.35).

A jaka jest nasza odpowiedź na Jego wezwanie? Jezus, nie bacząc na naszą nieobecność i nieposłuszeństwo, staje przed nami raz po raz, szczególnie wtedy, gdy nasze drogi życiowe stają się zagmatwane. Wówczas też pojawia się i mówi: „*Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście spracowani i obciążeni, a Ja dam wam ukojenie*”.

Amen.

Warszawa, 10 maja 2009 r.

Wspomnienia
wystąpienia
artykuły

Siedem lat na Syberii

Moje wspomnienia

Urodziłem się 8 lutego 1934 roku w Krakowie, w domu pastorskim. Ojciec mój był kapłanem wojskowym w stopniu majora, matka Maria z domu Goldberg zajmowała się domem i wychowywaniem dwóch synów – mnie i mojego o 7 lat starszego brata Karola, a także dwóch osieroconych siostrzeńców. Oprócz wymienionych osób mieszkała z nami babcia – matka mojej mamy. W wychowywaniu dzieci i prowadzeniu domu pomagała służąca.

Moje wspomnienia sięgają okresu związanego z wybuchem II wojny światowej. Mieszkaliśmy wówczas w bloku oficerskim przy ulicy Śląskiej 7 w podwawelskim grodzie. Uczęszczałem do przedszkola a mój brat i moi siostrzeńcy kończyli szkołę powszechną. Pokój dziecięcy, w którym mieszkaliśmy z bratem, był pełen zabawek i książek, której mój brat pochłaniał jedną po drugiej. Ojciec bardzo lubił dzieci i gdy tylko miał czas, stawał się nieodłącznym towarzyszem naszych zabaw. Pod jego kierunkiem naklejaliśmy, a następnie wycinaliśmy z dykty rozmaite figurki. Jako najmłodszy w rodzinie musiałem najwcześniej iść spać, ale bardzo tego nie lubiłem i nieraz zakradałem się do gabinetu ojca, skąd przez dziurkę od klucza zaglądałem do pokoju stołowego i starałem się usłyszeć, o czym mówią dorośli. Rozmowy te dotyczyły życia codziennego i polityki, jako że już niedługo miała wybuchnąć wojna. Wkrótce pojawiły się jej pierwsze forpocztzy.

Pamiętam, jak w pewien gorący sierpniowy dzień staliśmy wszyscy na tarasie, skąd roztaczał się rozległy widok na ulicę i znajdujący się w pobliżu szpital wojskowy. W pewnej chwili na niebie ukazały się samoloty, a wówczas ojciec powiedział, że to są polskie „Łosie”, które będą walczyć

z Niemcami. Wieczorem rozległy się głosy syren obwieszczające próbny alarm. Po niebie przesuwały się smugi reflektorów, dlatego w domu trzeba było zaciemnić wszystkie okna w mieszkaniu. Na schodach pojawiły się patrole składające się z kilkusobowych drużyn, które zajmowały miejsca na dachu na wypadek pożaru.

Niebawem zaczęła się prawdziwa wojna i trzeba było opuścić mieszkanie przy ulicy Śląskiej i udać się w nieznanym kierunku. Jako rodzina wojskowa zostaliśmy ewakuowani pod Lwów, do miejscowości Brody. Nasi dwaj kuzyni udali się do ojca, który mieszkał w Warszawie. Ojciec mój jako wojskowy otrzymał rozkaz wyjazdu ze sztabem Dowództwa Okręgu Krakowskiego. Ja wraz z matką, babcią i bratem wyruszyliśmy na tułaczkę, która miała trwać 7 lat. O losach kuzynów dowiedziałem się już po wojnie: jeden z nich został wywieziony przez Niemców do obozu w Oświęcimiu i zginął, drugiemu udało się wyjechać za granicę i przeżył wojnę w Holandii, gdzie później osiadł na stałe i ożenił się.

W drodze na wschód przeżyłem pierwsze bombardowanie i ucieczkę ludzi przed zbliżającymi się wojskami niemieckimi. Małe miasteczko Brody było zatłoczone miejscową ludnością złożoną z Polaków, Żydów i Ukraińców. Tu spędziliśmy prawie rok, aż do chwili wywiezienia nas na Syberię przez Rosjan. W tym czasie moja matka pracowała w jakiejś fabryce i czyniła starania, abyśmy mogli powrócić do Krakowa. Nie było to jednak możliwe. Z jednej strony atakowali Niemcy, z drugiej Rosjanie i nie sposób było wydostać się z tej matni. Jedyłą możliwością dawało przedostanie się przez tzw. zieloną granicę, ale i to zawiodło.

Pamiętam, jak pewnego dnia matka pojechała ze mną do Lwowa, gdzie odnalazła kolegę ojca, miejscowego kapelana ks. płk. Karola Banzla i prosiła go o radę, co czynić. Ks. Banzel, poradził matce przeczekać. Niestety czekanie na wiele się nie zdało. Już wkrótce wkroczyły do Polski wojska sowieckie i zaczęły się masowe deportacje ludności polskiej do Związku Radzieckiego.

Pewnej nocy zapukano do drzwi naszego mieszkania. Weszli żołnierze rosyjscy, którzy kazali się nam pakować, a następnie załadowali na samochód i odtransportowali na stację kolejową. Tutaj uformowano „eszelon” złożony z wagonów towarowych, które miały nas zawieść do Rosji. Po drodze Niemcy bombardowali przemieszczające się na wschód oddziały polskie i uszkodzili most, przez który mieliśmy przejechać. Kazano nam wówczas wysiąść z pociągu i część drogi odbyliśmy pieszo, cały bagaż pozostał w pociągu i więcej go nie ujrzelśmy. Kiedy ponownie znaleźliśmy się w pociągu, mieliśmy tylko to, co na sobie. Po drodze

otrzymywaliśmy po kawałku chleba i przegotowaną wodę, a raz dziennie jakąś zupę, o nieokreślonym smaku.

Już wkrótce znaleźliśmy się na rosyjskiej ziemi, na granicy Europy i Azji, u stóp gór Ural. Ciasnota wagonu towarowego, w którym słoczono kilkaset osób oraz brak higieny sprzyjały szerzeniu się chorób, a zwłaszcza tyfusu plamistego. Jako pierwsza padła jego ofiarą moja babcia, którą zabrano do szpitala, gdzie zmarła i została pochowana w zbiorowej mogile.

W pomniejszonym składzie rodzinnym dotarliśmy do jakiegoś miasta, gdzie już kończyła się „droga żelazna”. Stamtąd wieziono nas dalej w głąb tajgi, rzeką Czuyłm do miejscowości Beregajewo za Tomskiem. Tutaj ulokowano nas w barakach zbudowanych wśród lasu. Panowały tu jeszcze gorsze warunki niż poprzednio, wszędzie gnieździły się wszy i pluskwy, dla których stanowiliśmy doskonałą pożywkę. W dzień natomiast atakowały nas roje meszek i komarów. Głód, ciężka praca przy wyrębie lasu i choroby dziesiątkowały ludzi.

Któregoś dnia wędrując po lesie zabłądziłem i nie wiedziałem, jak wrócić do domu. Po pewnym czasie zobaczyłem unoszący się nad lasem dym. Idąc w tym kierunku zobaczyłem barak, w którym byli sami mężczyźni. Okazało się że byli to zesłańcy rosyjscy, więźniowie polityczni. Zostałem przez nich życzliwie przyjęty i nakarmiony, a następnie jeden z nich odprowadził mnie do domu, gdzie oczekiwała mnie zaniepokojona matka. Odtąd niemal codziennie odwiedzałem moich dobroczyńców, którzy pozbawieni rodzin, chętnie się mną zajęli i nauczyli języka rosyjskiego. Pewnego dnia jak zwykle poszedłem na spotkanie z moimi nowymi przyjaciółmi, ale nie zastałem nikogo, tylko ślad po rozebranych baraku. Okazało się, że miejscowe władze dowiedziały się o kontaktach tych ludzi z Polakami i przesiedliły zesłańców rosyjskich w głąb tajgi.

Moja matka, chcąc się czegoś dowiedzieć o ojcu, napisała list i wysłała go na krakowski adres. Podobnie postąpił ojciec, który w tym czasie był więźniem oflagu w Niemczech, gdzie znalazł się wraz z oficerami internowanymi przez Rumunów. Administrator domu, w którym mieszkaliśmy przed wojną, odebrał oba listy i skierował je do adresatów. W ten sposób rodzice dowiedzieli się o swoim losie. Niestety dowiedziały się też o tym władze rosyjskie, a dokładniej NKWD i z tego powodu matka, jako żona polskiego oficera, była szykanowana i została posłana do pracy w lesie.

Mniej więcej po upływie roku zezwolono Polakom na przesiedlenie w głąb Rosji. Nie była to jednak łatwa sprawa, ponieważ ludzie nie mieli pieniędzy na podróż do najbliższej miejscowości, skąd można było dalej jechać koleją. Od czego jednak polska pomysłowość – przystąpiono do

budowy tratw, które połączono w jedną całość i tak powstał środek transportu rzeczno-terenowego. Załadowano ludzi wraz z całym dobytkiem na tratwy i wyruszono w liczącą około 200 km drogę. Po wielu perypetiach i przygodach dotarliśmy w końcu do najbliższego miasta, skąd kursowała kolej. I tak skończył się pierwszy etap naszej wędrówki po Rosji, ale nie skończyła się nasza poniewierka.

Mając możliwość przemieszczenia się po Rosji, matka zamierzała wyjechać w cieplejsze strony, do Taszkientu. Na przeszkodzie stanął zupełny brak pieniędzy. Chcąc zarobić przynajmniej na życie, matka podjęła się pracy stróża nocnego w jakimś magazynie. Po pewnym czasie do miejscowości w której przebywaliśmy, przyjechali werbownicy w poszukiwaniu taniej siły roboczej, jaką stanowili Polacy. Wówczas matka zdecydowała się dołączyć do grupy Polaków, którzy zachęceni nęcącą propozycją, udawali się w głąb Syberii. I tak wylądowaliśmy w kołchozie oddalonym o 10 km od miasta Barnau w Ałtańskim kraju. Tu mieliśmy pozostać przez najbliższe cztery lata.

Zostaliśmy ulokowani w jakiejś szopie i raz dziennie dostawaliśmy gorący posiłek z sowchozowej kuchni oraz 500 gramów chleba na osobę pracującą. Nazajutrz oznajmiono nam, że mamy wybudować sobie ziemianki, w których będziemy mieszkać. W takiej ziemiance zamieszkały cztery rodziny, czyli około 20 osób, gnieźdząc się na zbitych z drewna pryzkach, na których leżały sienniki ze słomą. Za przykrycie służyły nam noszone w ciągu dnia płaszcze. Na środku ziemianki stał żelazny piecyk, w którym paliło się cegielkami (kiziarkami) zrobionymi z nawozu końskiego i krowiego, zmieszanego z odpadkami słomy i trawy, które suszyło się w ciągu lata i gromadziło na zimę. Drewna na opał w ogóle nie było, ponieważ wszędzie dookoła roztaczał się step i tylko gdzieś tam rosły krzaki. Po wodę do picia i gotowania chodziło się do odległej o kilka kilometrów studni, a zimą topiło się śnieg, którego było pod dostatkiem.

Klimat syberyjski jest niezwykle ostry. Zima trwa blisko 8 miesięcy, a potem przychodzi raptowna odwilż i następuje lato. Mrozy w zimie dochodzą do -50°C , a stepowy krajobraz sprzyja powstawaniu silnych wiatrów. Częstym zjawiskiem są burze śnieżne (burany) podczas których nie należy wychodzić z domu, bo można zabłądzić. Były wypadki, że ktoś wyszedł w taką pogodę z ziemianki i więcej nie wrócił, bo nie mógł trafić i zamarznął. Opady są obfite. Pewnego razu moja matka pojechała do pobliskiego miasta, a do najbliższej stacji kolejowej było około 5 km. Kiedy wracała, zaskoczyła ją burza śnieżna i byłaby zabłądziła

i zamarzła, gdyby nie pomoc moich starszych kolegów, którzy wyruszyli na jej poszukiwanie.

Latem, dla odmiany pojawiała się plaga komarów, których ukąszenia powodowały malarię. Na tę chorobę chorowali wszyscy, po kilka razy w ciągu roku. Ratunkiem przed malarią jest zażywanie chininy, a w ostrzejszych przypadkach leczenie szpitalne, połączone z serią zastrzyków. Brak właściwej higieny sprzyjał plenieniu się insektów (pchły, wszy, pluskwy) które dosłownie obłaziły człowieka. Raz w tygodniu odbywało się odwszawianie, polegające na kąpeli w miejscowej saunie (bania) gdzie można było odwszawić również odzież. Nierzadkie były również przypadki chorób zakaźnych, a zwłaszcza tyfusu plamistego, na tę chorobę zapadła moja matka i została odwieziona do szpitala w odległym Barnau. W tym czasie zaopiekowała się mną znajoma rodzina z sąsiedniego kolchozu. Udałem się tam wraz z moim ulubionym kotem. Kot przydał się bardzo, bo już pierwszej nocy stoczył zwycięską walkę ze szczurem, czym zyskał uznanie całej rodziny i prawo do zamieszkania razem ze mną.

Głód i choroby nadwyręzały siły ludzi, którzy ślaniali się na nogach podczas ciężkiej pracy. Pracowali nie tylko dorośli, lecz również dzieci. Zimą chodziliśmy do szkoły rosyjskiej, a latem zatrudniano nas do pracy w polu, bo rąk do pracy było ciągle mało. Dzięki temu mogliśmy zarobić trochę pieniędzy i pomóc rodzicom. Mój starszy brat został traktorzystą i w ten sposób wszyscy troje zarabialiśmy na życie. Niestety wkrótce musieliśmy rozstać się z bratem. Pewnego dnia wszyscy mężczyźni narodowości polskiej, zostali powołani do nowo utworzonego polskiego wojska. Brat został powołany do szkoły oficerskiej w Riazaniu, którą ukończył i wyruszył na front, gdzie wkrótce zginął.

Po zawarciu porozumienia między rządem rosyjskim a władzami polskimi na emigracji utworzony został Związek Polaków Patriotów. Organizacja ta, do której należała i moja matka, miała za zadanie pomagać Polakom zamieszkałym na terenie Związku Radzieckiego. Dużym osiągnięciem związku było utworzenie polskich szkół i drukowanie polskich książek. Ponieważ matka była jedyną osobą w sowchozie posiadającą wyższe wykształcenie, powierzono jej zorganizowanie polskiej szkoły i nauczanie w zakresie czterech klas szkoły podstawowej. Wszystkie polskie dzieci chętnie uczęszczały do tej szkoły. O tym, jakie trudności towarzyszyły powstaniu i działalności tej szkoły, pisze moja matka w swoich wspomnieniach. Przed południem chodziliśmy do szkoły rosyjskiej, a wieczorem w tym samym pomieszczeniu odbywała się nauka w języku polskim.

Dla urozmaicenia i zaspokojenia potrzeb kulturalnych, matka zorganizowała teatrzyk szkolny, w którym wystawialiśmy przedstawienia, śpiewaliśmy polskie piosenki deklamowaliśmy wiersze. Jako najmłodszy też miałem swój udział w tych inscenizacjach, pamiętam wierszyk który deklamowałem:

*Zabłyły po szturmie złociste promienie
Kazał bić Kościuszko złotnikom pierścienie,
W pierścieniach napisy dał złotymi rysy
Ojczyzna obrońcom za swe wybawienie (...)*

Proste w swej wymowie przedstawienia cieszyły się dużym powodzeniem, zwłaszcza wśród ludności polskiej i pozwalały zapomnieć o szarzyźnie trudnego życia.

Wiele miejsca w naszym życiu zajmowały rozmowy o powrocie do Polski. W każdym domu rozprawiano na ten temat. Szczególnie miejsce w tych rozmowach przypada mojej matce, która z racji swojej przynależności do Związku Polaków Patriotów wyjeżdżała od czasu do czasu na zebrania do polskiego Barnau. Tam spotykała się z działaczami, którzy byli bardziej zorientowani w sytuacji międzynarodowej. Toteż każdy jej powrót z miasta wzbudzał duże zainteresowanie i musiała szczegółowo opowiadać o wszystkich wydarzeniach. Kiedy wreszcie dotarła upragniona wiadomość o zakończeniu wojny, w maju 1945 roku wszyscy byli przekonani, że już wkrótce nastąpi powrót do Polski. Tymczasem miało upłynąć jeszcze sporo czasu, prawie rok, zanim urzeczywistniły się te pragnienia.

Pewnego dnia do dyrektora sowchozu przyszło zarządzenie, że Polacy, chcący powrócić do kraju, muszą udać się do oddalonej o kilkadziesiąt kilometrów miejscowości, by tam złożyć pisemne oświadczenie o chęci powrotu do ojczyzny. Tymczasem dyrektor odmówił stanowczo zapewnienia Polakom środka transportu. Niezrażeni tym Polacy, udali się nocą do odległej 5 km stacji kolejowej i pociągiem, a następnie pieszo dotarli do miejsca werbunkowego.

Mniej więcej miesiąc po tym wydarzeniu udałem się wraz z matką do miasta Barnau, żeby dowiedzieć się w Związku Polaków Patriotów, kiedy nastąpi wyjazd do Polski. Niestety, nie uzyskaliśmy pozytywnych informacji na ten temat. Zrezygnowani wracaliśmy do sowchozu. Jakież było jednak nasze zdziwienie, gdy na stacji kolejowej zobaczyliśmy pociąg towarowy i ładujących się do niego z całym dobytkiem Polaków. Pociąg już ruszał, kiedy, oboje z matką wskoczyliśmy do wagonu (były tam już

nasze rzeczy), do uradowanych naszym powrotem sąsiadów. Okazało się że w międzyczasie przyszło nowe zarządzenie nakazujące wyjazd Polaków do Polski. Nareszcie spełniły się nasze marzenia i oczekiwania. Mniej więcej po miesiącu dotarliśmy do granicy polskiej, a potem do Krakowa, gdzie mieścił się punkt repatriacyjny. Tutaj powstał dylemat, czy jechać dalej ze wszystkimi na Ziemię Odzyskane, gdzie można było otrzymać gospodarstwo rolne wraz z mieszkaniem, czy zostać w Krakowie? Po namyśle zdecydowaliśmy z matką, że pozostaniemy w swoim rodzinnym mieście.

Z Państwowego Urzędu Repatriacyjnego który nas przyjął w Krakowie, matka zatelefonowała do parafii ewangelickiej, żeby dowiedzieć się czegoś o moim ojcu. Przez dłuższy czas w słuchawce panowała cisza, wreszcie padło stwierdzenie: Pani mąż nie żyje. Był to kolejny cios dla mojej matki i dla mnie. Byliśmy przybici tą wiadomością, ale nie było już innego wyjścia, więc zostaliśmy w Krakowie sami. Wspomagani przez miejscowego proboszcza, ks. prof. Wiktora Niemczyka. Pierwszą noc spędziliśmy na plebanii przy ulicy Grodzkiej. Następnego dnia matka poszła do naszego przedwojennego mieszkania, gdzie udało nam się odzyskać jeden pokój przy rodzinie, która już się tam wprowadziła. Po jakimś czasie matka znalazła pracę w Zakładzie Sieci Elektrycznych, co zapewniło nam utrzymanie. Jesienią rozpocząłem naukę w szkole podstawowej.

30 lat w służbie ekumenii

1. Czas studiów teologicznych

Był rok 1957, gdy po raz pierwszy zetknąłem się ze środowiskiem studenckim przyszłych księży różnych Kościołów chrześcijańskich, rozpoczynając studia w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej. Akademia nasza mieściła się wówczas w Chylicach k. Warszawy w siedzibie Ewangelickiego Domu Opieki „Tabita” i rozpoczynała czwarty rok swojej działalności. Rektorem uczelni i wychowawcą wielowyznaniowej rzeszy studenckiej był niezapomniany ks. prof. dr Wiktor Niemczyk, jeden z założycieli ChAT-u. Oprócz niego grono pedagogiczne tworzyli luteranie: ks. prof. dr Andrzej Wantuła, późniejszy biskup Kościoła Ewangelicko – Augsburskiego, ks. prof. dr Karol Wolfram, ks. prof. dr Jan Szeruda, ks. prof. dr Woldemar Gastpary – późniejszy rektor ChAT-u, prof. Oskar Bartel. Z innych Kościołów: ks. prof. dr Jerzy Klinger – prawosławny i ks. prof. dr Maksymilian Rode z Kościoła Polskokatolickiego.

Studenci trzech sekcji: ewangelicy, starokatolicy i prawosławni spotkali się ze sobą na niektórych wykładach prowadzonych wspólnie dla wszystkich wyznań. Oprócz tego ewangelicy i starokatolicy (prawosławni mieszkali wówczas w Seminarium Duchownym w Warszawie) zamieszkiwali we wspólny domu, a niekiedy nawet w jednym pokoju. Bliskość ta sprzyjała prowadzeniu dyskusji na różne tematy teologiczne i wzajemnemu poznawaniu specyfiki poszczególnych Kościołów. Dopełnieniem tych kontaktów był wzajemny udział w różnego rodzaju uroczystościach kościelnych, a po skończeniu akademii obecność kolegów podczas wyświęcenia na duchownego danego Kościoła.

Tutaj, w Chylicach, rozbudzone zostały moje zainteresowania ekumeniczne, co znalazło także swój wyraz w obranym przeze mnie temacie pracy magisterskiej pt. *Dążenia ekumeniczne w protestantyzmie polskim do roku 1849*, którą napisałem pod kierunkiem ks. prof. dr Woldemara Gastparego.

Okres moich studiów teologicznych (1957-1961) przyczynił się niewątpliwie do ukształtowania mojej postawy ekumenicznej, co w powiązaniu z późniejszą praktyczną działalnością dało pozytywne rezultaty. Spoglądając w przeszłość mogę powiedzieć, że już wówczas, w okresie studenckim, dojrzało we mnie pragnienie urzeczywistnienia prawdziwej jedności między chrześcijanami. Charakter uczelni i atmosfera w niej panująca sprzyjały powstawaniu ekumenicznej platformy. Między studentami różnych wyznań nawiązywały się nici przyjaźni, które w przyszłości miały ułatwiać współpracę ekumeniczną. Wielu moich kolegów z tamtych czasów jest po dziś dzień zaangażowanych w ruch ekumenizmu, m.in.: ks. Jan Gross czy metodysta ks. Adam Kuczma.

2. Ekumenia na szczeblu parafialnym

Drugi etap działalności ekumenicznej w moim życiu to praca na szczeblu parafialnym w różnych regionach Polski. Będąc wikariuszem parafii ewangelickiej w Krakowie od roku 1961, miałem możliwość zetknięcia się i współpracy z człowiekiem oddanym całym sercem ekumenii, którym był mój pierwszy proboszcz ks. Karol Bronisław Kubisz. Pod jego kierunkiem nauczyłem się cenić ludzi o odmiennych poglądach religijnych i nawiązywać z nimi bliższe kontakty. Ks. Karol Kubisz miał dar zjednywania sobie ludzi i potrafił stworzyć atmosferę wzajemnej szczerości i zaufania. Miało to duży wpływ na ukształtowanie się stosunków między Kościołami należącymi do krakowskiego oddziału Polskiej Rady Ekumenicznej. Potrafił on również nawiązać kontakt z przedstawicielami Kościoła Rzymskokatolickiego, wśród których znajdował się w tamtym okresie biskup Karol Wojtyła, obecny papież Jan Paweł II.

Krótki pontyfikat papieża Jana XXIII oraz II sobór watykański sprawiły, że również w Polsce wzrosło zainteresowanie ekumenią wśród katolików. Pracując w diasporze miałem do czynienia nie tylko z wyznawcami własnego Kościoła, ale i z innymi chrześcijanami, a przede wszystkim z katolikami w rodzinach wyznaniowo mieszanych lub bezpośrednio z wyznawcami Kościoła Rzymskokatolickiego. Często spotykałem ludzi młodych, nacechowanych wielkim optymizmem odnośnie idei ekumenicznego zbliżenia i pojednania. Miejscem prowadzenia rozmów i dyskusji były najczęściej Kluby Inteligencji Katolickiej w Krakowie czy Lublinie. Nie mniejszą wagę

miały i mają nadal rozmowy indywidualne z księżmi i laikami z innych Kościołów.

3. Ekumenia w latach 1967-1974

Ożywiona działalność ekumeniczna w moim życiu miała miejsce w latach 1967-1974. Byłem wówczas administratorem trzech parafii ewangelickich: w Radomiu, gdzie mieszkałem, Kielcach i Lublinie. Zetknąłem się tam z działaczami ekumenicznymi Kościołów należących do PRE, jak też z przedstawicielami Kościoła Rzymskokatolickiego. Radom nie był ośrodkiem, w którym ekumenia miała wielu zwolenników. Praktycznie współpraca miała miejsce między duchownymi trzech Kościołów: Polskokatolickiego, Prawosławnego i Ewangelicko - Augsburskiego. Na krótko udało mi się tylko nawiązać kontakt z sąsiednią parafią rzymskokatolicką. Podobnie wyglądała sytuacja w Kielcach. Tam jednak zetknąłem się z klerykami Diecezjalnego Seminarium Duchownego, którego rektorem był wówczas ks. prof. Andrzej Zuberbir, obecnie wykładowca Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie.

Najbardziej owocna współpraca ekumeniczna miała miejsce w Lublinie. Osobą, która w dużym stopniu przyczyniła się do rozwoju ekumenii w tym ośrodku, była rzymskokatolicka siostra zakonna Stanisława Andronowska. Dzięki jej staraniom, ekumenia w tym regionie, mimo wielu przeszkód w początkowym okresie, rozwijała się pomyślnie i nadal ma wielu zwolenników.

Owoce tej działalności było między innymi zorganizowanie po raz pierwszy w Lublinie Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan w różnych kościołach. Oprócz tego odbywały się regularne, comiesięczne spotkania ekumeniczne, w których uczestniczyli księża i wspomniana siostra Stanisława. Do pogłębienia współpracy ekumenicznej przyczynił się też w dużej mierze Katolicki Uniwersytet Lubelski, a w szczególności Instytut Ekumeniczny, który powstał tam w 1983 r.

Dopełnieniem mojej działalności ekumenicznej w środowisku lubelskim były spotkania ekumeniczne z pracownikami służby zdrowia czy z klerykami Seminarium Duchownego Księży Marianów. Wśród tych ostatnich ekumenistą dużej miary jest ks. dr Jan Gajek, obecnie wykładowca w Instytucie ekumenicznym KUL-u, specjalista od spraw Kościołów Wschodnich.

Kontakt ze środowiskiem lubelskim utrzymuję do dziś, mimo iż pracuję na innym terenie, a mieszkam w Warszawie.

4. Chrześcijańska Akademia Teologiczna po raz drugi

W roku 1975 znalazłem się po raz drugi w murach ChAT-u, tymczasem akademia zmieniła siedzibę, przenosząc się do Warszawy. Ponieważ

ukończyłem studia podypolomowe z bibliotekoznawstwa na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu, z dniem 1 lutego 1975 r. zostałem zatrudniony na stanowisku bibliotekarza, a następnie dyrektora Biblioteki ChAT w Warszawie. Równocześnie władze kościelne powierzyły mi administrację parafii w odległym od Warszawy o 80 km Węgrowie, a w następnym roku administrację parafii w Płocku.

Miałem nadzieję, że stykając się na co dzień ze studentami, zwiększę zasięg mojej działalności ekumenicznej. Niestety, zawiodłem się, bo nie była to już ta sama uczelnia, przepojona duchem ekumenicznym, który gdzieś się rozwiął. Odeszli z uczelni ludzie, którzy należeli do krzewicieli idei ekumenicznej wśród studentów. Charakteryzując ten stan Karol Karski w swej książce pt. *Dążenia ekumeniczne we współczesnym świecie* napisał co następuje: „Chrześcijańska Akademia Teologiczna nie wykorzystuje wszystkich możliwości, jakie daje fakt przebywania pod wspólnym dachem członków tylu różnych tradycji chrześcijańskich(...) Obniżył się poziom wykładów z zakresu zagadnień ekumenicznych. Odczuwa się też brak międzywyznaniowej pracy teologicznej”.

Ta swoista stagnacja ekumeniczna wśród studentów akademii wpływa nie tyle z braku zainteresowania ekumenią, co z obawy przed ewentualnym konsekwencjami ze strony władz kościelnych. Jako duchowny Kościoła Ewangelicko - Augsburskiego byłem sam niejednokrotnie indagowany i powstrzymywany przez władze zwierzchnie w moich „zapędach ekumenicznych”, co w szczególności dotyczyło moich kontaktów z przedstawicielami Kościoła Rzymskokatolickiego. Oczywiście tego rodzaju indagacje nie wpłynęły na osłabienie mojej działalności ekumenicznej. Nie zamierzam też w przyszłości rezygnować i zejść z raz obranej drogi. Żałuję jedynie, że młode pokolenie ewangelików, dziś studentów, a w przyszłości duchownych naszego Kościoła, pozbawione zostało tych ideałów ekumenicznych, które przyświecały mi, gdy byłem w ich wieku. Mam jednak tę nadzieję, że prędzej czy później młodzi teolodzy zrozumieją, że słowa modlitwy arcykapłańskiej Jezusa Chrystusa są najbardziej przekonującym dowodem na to, że prawdziwa i jedyna droga wszystkich chrześcijan prowadzi przez wspólną modlitwę i wspólne dążenia do jedności.

5. Współpraca ekumeniczna z przedstawicielami innych Kościołów

Brak odpowiedniej platformy działalności ekumenicznej w moim Kościele nie zniechęcił mnie do tej pracy, przeciwnie, skłonił do szukania ludzi o podobnym nastawieniu, wśród przedstawicieli innych wyznań chrześcijańskich. Nie musiałem długo szukać, aby zetknąć się z prawdziwymi ekumenistami. Okazją do spotkań i rozmów ekumenicznych stały się coroczne modlitwy

o jedność chrześcijan. Spotkania takie odbywały się w Warszawie już od roku 1946, to jest od chwili powstania Polskiej Rady Ekumenicznej, której pierwszym prezesem był luteranin ks. Zygmunt Michelis. Wspominam tego człowieka ze względu na to, że był pierwszym, który dokonał wyłomu w murze oddzielającym dwa Kościoły: Rzymskokatolicki i Ewangelicko – Augsburski w Polsce. Oczywiście za tego rodzaju działalność musiałby zapłacić klątwą, gdyby takowa była stosowana w naszym Kościele. Wiele się jednak zmieniło w stosunkach ekumenicznych między naszymi Kościołami od tamtych czasów. Dzisiaj Polska Rada Ekumeniczna współpracuje z Komisją Episkopatu ds. Ekumenizmu Kościoła Rzymskokatolickiego. Od roku 1974 istnieje tzw. komisja mieszana składająca się z pięciu przedstawicieli Kościołów zrzeszonych w PRE i przedstawicieli Kościoła Rzymskokatolickiego. Jednym z głównych kierunków działalności tej komisji jest dialog międzywyznaniowy, a tematy, nad którymi dyskutowano, dotyczyły m.in.: stanowisk odnośnie Chrztu Świętego, urzędu duchownego, Eucharystii i małżeństw mieszanych.

Nie mając okazji do uczestnictwa w oficjalnych spotkaniach ekumenicznych z przedstawicielami innych Kościołów, brałem niejednokrotnie udział w tzw. działaniach oddolnych, jak: nabożeństwa ekumeniczne, sympozja, seminaria, zjazdy młodzieżowe itp. Jedną z ciekawszych form współpracy ekumenicznej są coroczne rekolekcje ekumeniczne dla księży i młodzieży z Kościoła Rzymskokatolickiego, organizowane przez Komisję Episkopatu ds. Ekumenizmu na terenie Zakładu dla Ociemniałych w Laskach.

6. Młodzieżowe spotkania ekumeniczne

Najbardziej ożywioną działalność ekumeniczną w Polsce przejawia młodzież z Kościoła Rzymskokatolickiego, która w przeciwieństwie do swoich rówieśników z innych Kościołów jest otwarta i szuka kontaktów ekumenicznych. Prym wiedzie tu młodzież akademicka z ATK w Warszawie, która jest między innymi organizatorem odbywających się od kilku lat zlotów ekumenicznych w miejscowości Kodeń w województwie siedleckim. Młodzież ta uczestniczy również we wspomnianych rekolekcjach ekumenicznych w Laskach. Co roku organizuje też spotkania ekumeniczne dla młodzieży w różnych regionach Polski. Ostatnie takie spotkanie, w którym wziąłem udział, odbyło się w Reszlu na Mazurach.

Zbyt rzadko dochodzi do spotkań młodzieży akademickiej ATK i ChAT, co mogłoby przyczynić się do ożywienia stosunków ekumenicznych między Kościołami.

Młodzież ma dużo zapału i chętniej angażuje się w działalność ekumeniczną niż pokolenie dorosłych, które ma za sobą różne doświadczenia

z przeszłości, nie zawsze pozytywne. Ja osobiście chętnie współpracuję z młodzieżą i uczestniczę w organizowanych przez nią spotkaniach. Gdyby tak jeszcze władze zwierzchnie zarówno z Kościołów należących do Polskiej Rady Ekumenicznej, jak i Kościoła Rzymskokatolickiego z większym zrozumieniem odnosiły się do współpracy ekumenicznej młodzieży, byłibyśmy z pewnością o krok dalej na drodze do jedności chrześcijan.

7. Moje refleksje na temat ekumenii w Polsce

Trzydzieści lat to dostatecznie długi okres, aby mieć określony pogląd na sprawę dotyczące ekumenii. Wiele w tym czasie dokonało się przemian w stosunkach międzykościelnych. Takie wydarzenie, jak II sobór watykański i włączenie się Kościoła Rzymskokatolickiego do współpracy międzykościelnej z pewnością zaważyły na rozwoju ruchu ekumenicznego. Jednakże ruch ekumeniczny w Polsce przebiegał nieco odmiennie niż w innych krajach. Specyfiką polskiej ekumenii jest nie tylko samo zróżnicowanie pod względem wyznaniowym ale przede wszystkim duża dysproporcja w liczbie wyznawców różnych Kościołów.

Z tym faktem łączy się pewnego rodzaju obawa o zdominowanie przez katolików wszystkich pozostałych chrześcijan. Dość często zresztą wysuwane są zastrzeżenia ze strony mniejszości wyznaniowych, które podchodzą nieufnie do wielu inicjatyw ekumenicznych, podejmowanych przez Kościół Rzymskokatolicki. Nieufność w stosunkach ekumenicznych cechuje zresztą wszystkie wyznania, bez względu na ich liczebność.

Drugą cechą polskiej ekumenii jest zbyt powierzchowny charakter działań ekumenicznych, co uwidacznia się zwłaszcza w czasie nabożeństw ekumenicznych. Nie twierdzę, że jest to regułą, tym niemniej udział duchownych z różnych Kościołów sprowadza się często do wygłaszania swoistego *exposé* pozbawionego prawdziwych akcentów ekumenicznych.

Po trzecie, stosunkowo nikły jest udział świeckich w nabożeństwach ekumenicznych. Zazwyczaj jest to niewielkie grono osób, zwolenników ekumenii, których spotkać można niemal na każdym nabożeństwie ekumenicznym. Sam widok duchownych różniących się strojem liturgicznym, niekiedy bardzo bogatym, przypomina raczej rewię mody.

Ekumenia w naszym kraju jest zjawiskiem, które nie cieszy się większym zainteresowaniem społeczeństwa. Niewielkie grono działaczy ekumenicznych z różnych Kościołów występuje przy wszystkich możliwych okazjach i jest aporobowane przez zwierzchności kościelne lub nie (czasem są to sami zwierzchnicy Kościołów), ale w każdym razie działalność ta ma charakter marginalny.

Wszelkie inicjatywy ekumeniczne na szczeblu centralnym nie zawsze są przenoszone w teren, gdzie powinny być szerzej omawiane i rozpowszechniane.

Sami księża, nawet jeśli są dobrymi ekumenistami, nie są w stanie zachęcić swoich wiernych do większego zaangażowania w działalność ekumeniczną.

Stopień zaangażowania poszczególnych Kościołów we wspólne działania ekumeniczne jest bardzo różny i zależy od wielu czynników, nie zawsze mających związek z prawdziwą ekumenią.

Poważną przeszkodą w rozwoju stosunków ekumenicznych w Polsce jest utrzymujący się podział na Kościoły zrzeszone w PRE i Kościół Rzymskokatolicki. Mimo trwającej od lat współpracy i oficjalnych uzgodnień komisji mieszanej, istnieje wiele rozbieżności w działaniach obu tych grup.

8. Uwagi końcowe

Reasumując przedstawione wyżej wywody na temat mojego zaangażowania w ruch ekumeniczny, chciałbym stwierdzić, że cały 30-letni okres tej działalności, mimo iż nie przebiegała ona w sposób zorganizowany, dający się ująć w określone ramy, uważam za pożyteczny i dziękuję Bogu za to, że pozwolił mi uczestniczyć w dziele pojednania i zjednoczenia chrześcijan. I chociaż trudno w sposób wymierny określić, w jakim stopniu ta działalność przyczyniła się do polepszenia stosunków między poszczególnymi Kościołami, mam nadzieję, że w niejednym przypadku moje poglądy ekumeniczne spotkały się ze zrozumieniem i zachęciły do szerszego udziału w pracy ekumenicznej. Oczywiście było i jest nadal wiele przeszkód na drodze ekumenii, ale to nie znaczy, że nie można ich przewyciężyć. Co do tego, że proces jednoczenia chrześcijan jest długotrwały, nie ma wątpliwości i choć niekiedy wydaje się, że uczyniono już wszystko, co tylko można było zrobić w tej mierze, nie odpowiada to prawdzie i nie przekreśla dalszych działań ekumenicznych.

W działalności ekumenicznej trudno jest przewidzieć, jaki będzie ostateczny kształt Kościoła, tej nowej społeczności, którą chcemy zbudować jeszcze w tym życiu.

Hierarchiczny charakter Kościoła chrześcijańskiego, podzielonego i oparłego na tradycji w oparciu o doktrynę teologiczno-filozoficzną i dogmatyczną wydaje się być przeciwstawny do tego Kościoła, o którym mówi Chrystus Pan w swojej Modlitwie Arcykapłańskiej. Ale tak, jak stało się możliwe zespolenie Boga Ojca, który jest w niebie, z Synem, który był na ziemi, tak możliwe jest osiągnięcie jedności wszystkich chrześcijan, mimo tak oczywistych różnic i podziałów. Wola naszego Pana i Zbawiciela jest na pewno silniejsza i skuteczniejsza niż wola ludzka. A skoro Chrystus Pan mówi: „*Chcę, aby wszyscy byli jedno Jak Ty, Ojcze, we mnie, a Ja w Tobie*” to znaczy, że tak się stanie.

Z ekumenizmem jest jak z PZPR

Z ks. Janem Hause rozmawia Radek Molenda

W stolicy 18 stycznia rozpoczyna się Tydzień Modlitw o Jedność Chrześcijan. Przypomnijmy jego idee.

Tegoroczny Tydzień odbędzie się pod zainspirowanym biblijną *Księgą Ezechiela* hasłem: „*Aby byli jedno w twoim ręku*” (Ez 37,17). Jak co roku przedstawiciele różnych wyznań chrześcijańskich będą spotykać się przez osiem dni na wspólnej modlitwie – codziennie w innym kościele. Centralne nabożeństwo w tym roku odbędzie się 25 stycznia w katedrze praskiej.

W poprzednich latach Tydzień w Warszawie rozrastał się praktycznie do miesiąca, za sprawą licznych spotkań towarzyszących. W tym roku jest ich zaledwie kilka.

To był dobry zwyczaj, pozwalający spotkać się na nabożeństwach ekumenicznych bardzo wielu ludziom. Niestety, od dwóch lat drastycznie spada zainteresowanie gospodarzy świątyń, nie tylko katolickich, organizowaniem spotkań. To chyba kwestia naszej słabości i lenistwa. Słyszałem argument, że nas, księży niekatolickich, jest w Warszawie za mało, by obsłużyć wszystkie spotkania. Ale przecież ludzie chcą i mogą modlić się o jedność chrześcijan bez względu na obecność kapłanów. Niemniej jednak ekumenizm wymaga wspólnego zaangażowania każdego z Kościołów.

Ekumenia w stolicy przechodzi kryzys?

Rzeczywiście, to nie jest już ten zapał, który miał miejsce po II soborze watykańskim, gdy wydawało się, że do prawdziwej jedności jest blisko. Z dzisiejszym ekumenizmem jest trochę tak, jak z dawną PZPR. To nie była partia ani polska, ani zjednoczona, ani robotnicza. Tak samo gdy mówimy: „wierzę w jeden, święty, i apostołski Kościół” warto się zastanowić, czy jest jeden, powszechny i apostołski. Jedności nie ma, ale jestem zaangażowany

w pracę na rzecz jedności chrześcijan już blisko 50 lat – nadal pozostają optymistą. Na szczęście to nie jest nasza sprawa znać „czasy i chwile”, kiedy jedność nastąpi. Ważne, że wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Boga, mamy wspólne *Credo* i Sakrament Chrztu Świętego.

Co możemy zrobić?

Choćby uczestniczyć w spotkaniach Tygodnia Modlitw. Ale jeden tydzień to stanowczo za mało. Trzeba wrócić do źródeł chrześcijaństwa, do modlitwy arcykapłańskiej Chrystusa: „*aby wszyscy byli jedno*” i próbować tę jedność wprowadzać w praktyce. Trzeba się wzajemnie poznawać. Dopóki tego nie ma, ludziom może się wydawać, że ekumenizm jest niepotrzebny.

Mamy przykłady ekumenii praktycznej?

Rzeczywiście, łączy nas nie tylko wspólna modlitwa. Mamy wspólne, często oddolne, inicjatywy w rodzaju Wigilijnego Dzieła Pomocy Dzieciom. Jest działające na polu charytatywnym stowarzyszenie „Samaritanus” i grupa „Effatha” która organizuje co miesiąc spotkania chrześcijan dla upamiętnienia wspólnej deklaracji o uznaniu Chrztu Świętego. Bezcenne są również spotkania ekumeniczne, które regularnie odbywają się w ewangelicko-augsburskim kościele Wniebowstąpienia Pańskiego i w rzymskokatolickim kościele św. Marcina przy ulicy Piwnej.

„Idziemy” 3 (176) z dn. 18 stycznia 2009 r.

Misyjno-ewangelizacyjny wymiar nauczania kościelnego

Jaką rolę może odgrywać misja i ewangelizacja w nauczaniu kościelnym? Zastanawiając się na tym pytaniu, trzeba uświadomić sobie, jaki jest zasadniczy cel pracy katechetycznej. Co zamierzamy osiągnąć poprzez nauczanie prawd biblijnych i zwiastowanie Słowa Bożego? Chodzi zatem o ustalenie właściwej orientacji nauczania kościelnego.

W praktyce Kościoła Ewangelicko - Augsburskiego nauczanie kościelne stosuje się wobec dzieci i młodzieży. Wyjątek stanowi nauczanie konwertytów, najczęściej ludzi dorosłych. Nie ulega jednak wątpliwości, że dorośli członkowie zboru potrzebują nauczania kościelnego, gdyż albo zapomnieli tego, czego nauczyli się przed laty, albo też z takich czy innych powodów nie przyswoili sobie podstawowych prawd biblijnych. Wiedział o tym dobrze Reformator Kościoła chrześcijańskiego ks. Marcin Luter, który w przedmowie do *Małego katechizmu* zwracał się przede wszystkim do księży, proboszczów i kaznodziejów, aby przyswoili sobie podstawowe zasady wiary chrześcijańskiej i właściwie nauczali lud. W swoich krytycznych wypowiedziach nie pominął i biskupów pisząc: „O biskupi! Cóż odpowiecie kiedyś Chrystusowi, iżście tak haniebnie zaniedbali lud i ani przez chwilę nie wykonywali urzędu swego?” (Przedmowa M. Lutra do *Małego katechizmu*). Nauczanie kościelne jest zatem potrzebne w całym życiu chrześcijanina i nie może się ograniczać do wieku dziecięcego. Z tego też powodu obydwie elementy, czy wymiary, jakimi są misja i ewangelizacja winny odgrywać istotną rolę w nauczaniu kościelnym. Różny jest jedynie stopień zaangażowania i oddziaływania katechetów w zależności od środowiska i grupy wiekowej ludzi objętych nauczaniem kościelnym. Różne są również metody nauczania, ale cel pozostaje ten sam – głoszenie

Słowa Bożego i nauczanie zasad wiary chrześcijańskiej. Nie można jednak traktować nauczania kościelnego jak nabożeństwa. W nauczaniu chodzi nie tylko o zwiastowanie, ale o przygotowanie do zrozumienia Słowa Bożego. Przy tej swoistej formule nauczania więcej miejsca poświęca się na przygotowanie ucznia i zapamiętanie, niż na świadczenie i głoszenie Słowa Bożego. Jest to podstawowy szczebel zwiastowania kościelnego, którego nie da się przeskoczyć czy ominąć.

1. Stanowiska i przesłanki nauczania kościelnego

Najbardziej rozpowszechnionym, tradycyjnym sposobem nauczania kościelnego jest metoda historyczno-religijna. Chodzi w niej o to, aby budzić uczucia religijne i tak je rozwijać w człowieku, aby doprowadzić do stanowiska chrześcijańskiego. Każdy człowiek posiada pewne wrodzone bądź nabyte dyspozycje religijne, które poprzez systematyczne nauczanie można doprowadzić do stanu określanego mianem pobożności. Ponieważ chrześcijaństwo zajmuje szczytowe stanowisko w religijnym rozwoju ludzkości, nauka religii zmierza ku temu, by ukształtować człowieka na modłę chrześcijańską. Można to osiągnąć przez zapoznanie człowieka z treścią Pisma Świętego, którego najważniejszą postacią jest Jezus Chrystus. Przez poznanie z Nim dokonuje się wszczepienia religii chrześcijańskiej kolejnym pokoleniom. Stanowisko takie zajmowało wielu specjalistów z dziedziny katechetyki w ubiegłym stuleciu i na początku naszego wieku.

Tak pojęte nauczanie kościelne ma na celu stworzenie pewnych przesłanek, według których młode pokolenie musi się zetknąć z religijnym życiem przeszłości i teraźniejszości, a przez to stać się pokoleniem chrześcijańsko-religijnym. W ten sposób można osiągnąć cel, jakim według określenia bpa Andrzeja Wantuły jest tzw. „wyhodowanie” religijnego człowieka (A. Wantuła, *O właściwą orientację nauczania kościelnego*). Katecheta spełnia w tym wypadku jakby rolę rzeźbiarza, który w oparciu o właściwy materiał nauczania rzeźbi w surowej bryle, jaką jest uczeń i odpowiednio urabia jego psychikę.

2. Orientacja teologiczna w nauczaniu kościelnym

Przeciwieństwem metody historyczno-religijnej jest orientacja teologiczna. Główne jej założenie polega na tym, że materiał nauczania nie jest tu narzędziem do osiągnięcia celu, lecz punktem wyjścia i uzasadnieniem pracy katechetycznej. Szczególny nacisk położony jest na wypełnienie misji Kościoła tj. wykonanie tego, co Jezus Chrystus zlecił uczniom. Teologicznym punktem wyjścia jest Chrzest Święty. Poprzez

Sakrament Chrztu Świętego następuje wprowadzenie człowieka w sferę życia duchowego. Proces ten dokonuje się zarówno wśród dzieci, jak i wśród dorosłych. Najbardziej istotne jest, że Ewangelia, którą głosi Kościół, jest objawieniem Boga, że pochodzi z góry i że jest Słowem Bożym dla człowieka.

Chrześcijańskie nauczanie nie jest w tym wypadku wprowadzeniem do historii religijnej ludzkości, lecz świadectwem o zbawieniu. Nauczanie kościelne jest więc zwiastowaniem objawionego Słowa Bożego. Z kolei objawienie Boże wymaga ze strony człowieka decyzji wiary. Decyzja ta polega na tym, że człowiek jest gotów zaufać Chrystusowi na śmierć i życie, i pójść za Nim, i pozwolić się prowadzić przez Niego. Zadaniem katechety jest doprowadzenie ludzi do Chrystusa. A zatem w nauczaniu kościelnym chodzi o to samo, co w zwiastowaniu Słowa Bożego: o to, by to Słowo trafiło do człowieka – do jego serca.

Stosowanie orientacji teologicznej w nauczaniu kościelnym umożliwia wychowanie młodego pokolenia chrześcijan w duchowej atmosferze Kościoła i dla Kościoła Chrystusowego nie z zewnątrz, lecz od wewnątrz i ma na celu wprowadzenie wierzących w rozgrywający się stale w świecie dramat Chrystusowy.

3. Zwiastowanie Słowa Bożego a nauczanie kościelne

Kościół Chrystusowy żyje z objawienia i objawienie zwiastuje. Nauczanie kościelne jest pierwszym stadium zwiastowania przez Kościół Ewangelii Chrystusowej. Dzięki temu spełnia ono tę samą rolę, co głoszenie Słowa Bożego, różni się jednak pod względem formy. W nauczaniu kościelnym występują te same elementy, co w zwiastowaniu: misja i ewangelizacja. Przez ewangelizację realizuje się misyjny rozkaz Pana Kościoła: następuje przekazanie i odbiór Radosnej Nowiny, czyli Ewangelii albo inaczej mówiąc: „wykonywanie Słowa Bożego” (T.A. Kantonen, *Evangelium und Evanelization*, s.11)

Nauczanie kościelne, jak sama nazwa wskazuje, ma na celu przygotowanie ludzi do zrozumienia Słowa Bożego, które głosi się w Kościele. Stosując odpowiednią metodę nauczania i właściwie dobrany materiał, można osiągnąć to, że słuchacz (uczeń) zrozumie wszystko, lecz niekoniecznie musi nastąpić u niego zwrot ku Bogu. Nie można bowiem nauczyć człowieka wiary, lecz jedynie wskazać mu drogi Bożego działania i zachęcić, aby trzymał się tych dróg. Nie można inaczej osiągnąć Boga, jeśli On sam tego nie uczyni w stosunku do człowieka. Jednakże Bóg w swoim działaniu posługuje się człowiekiem i jego słowem, dlate-

go tak ważne i odpowiedzialne jest zadanie zwiastujących Słowo Boże i nauczających Bożych dróg.

4. Szczególny charakter nauczania kościelnego

W nauczaniu kościelnym mamy do czynienia ze zwiastowaniem i ze słuchaniem. Zwiastując prawdy objawione przez Boga trzeba jednocześnie wsłuchiwać się w to, co Bóg ma nam do powiedzenia. Tylko takie słuchanie budzi wiarę. Katecheta nie może być sprawcą wiary, ale zadaniem jego jest torować do niej drogę ludziom. Celem nauczania kościelnego jest właśnie doprowadzenie człowieka do tej granicy, gdzie Duch Boży sprawia akt wiary i posłuszeństwa.

Opowiadania biblijne będące treścią zwiastowania i nauczania to nie tylko przeszłość, lecz głoszenie tego wszystkiego, co Bóg uczynił dla człowieka, co czyni dziś i co uczyni w przyszłości. Zadaniem nauczania kościelnego jest rozwijanie i utwierdzenie świadomego życia z Bogiem przez poznawanie Jezusa Chrystusa. Cel ten można osiągnąć spełniając trzy niezbędne warunki, które winien realizować Kościół chrześcijański:

- ciągłe wychodzenie naprzód,
- powrót do źródeł,
- składanie świadectwa.

Obrazowo można to przedstawić w następujący sposób. Jezus posyła uczniów, aby głosili Ewangelię i chrzcili w imię Trójjedynego Boga. Uczniowie spełniają rozkaz misyjny Pana Kościoła, po czym wracają do Niego. Teraz następuje jakby koncentracja sił, aby móc pójść jeszcze dalej. Stosując tę zasadę w nauczaniu kościelnym musimy ciągle wracać *ad fontes* wiary pierwotnego Kościoła tak, jak to postulował nasz Reformator ks. Marcin Luter.

Wreszcie, potrzeba składania świadectwa. Mam na myśli nie słowne deklaracje i zapewnienia, ale praktyczne potwierdzenie naszego zaangażowania w dzieło Boże i służenie ludziom. Winniśmy nasze działanie podporządkować woli Bożej i pozwolić się prowadzić przez Ducha Świętego, a przez to okazywać większą ufność Bogu, który – jak pisze apostoł Paweł w *Liście do Filipian*: „*według upodobania sprawia w was i chcenie, i wykonanie*” (Flp 2,13).

1985 r.

Nasze świadectwo wielkanocne

Już nieraz słyszeliśmy o tym, że Chrystus zmartwychwstał. Ta prawda wydaje się tak znana i oczywista dla chrześcijan, że nie trzeba chyba nikogo przekonywać o konieczności wiary w zmartwychwstałego Pana i Zbawiciela. Wystarczy jedynie przypomnieć, że w Jezusie Chrystusie otwarta została nowa droga zbawienia, która i dziś jest otwarta dla ludzi. Dokąd prowadzi ta droga? O tym mówi apostoł Paweł w *Liście do Rzymian*. Apostoł nie tylko wskazuje właściwy kierunek, ale określa zasady, którymi powinniśmy się kierować. Na drodze do Królestwa Bożego, podobnie jak w ruchu drogowym, obowiązują odpowiednie przepisy, bez których stosowania człowiek może popaść w kolizję z prawem Bożym. Jak wiadomo, droga do Królestwa Bożego – o czym zapewnia nas Jezus w ewangelii – jest wąska i nie każdy jest w stanie ją znaleźć.

Co mamy czynić, aby osiągnąć zbawienie?

Z podobnym pytaniem zwrócił się swego czasu strażnik więzienny w Filippii do uwięzionych tam apostołów: Pawła i Sylasa. Odpowiedź, którą otrzymał, brzmiała; „*Uwierz w Pana Jezusa, a będziesz zbawiony ty i twój dom.*” (Dz 16,31).

W takim razie można by sądzić, że to bardzo proste. Oczywiście, ale trzeba naprawdę uwierzyć, że Jezus Chrystus jest naszym Panem: że zmartwychwstał i żyje. Słowo *Pan*, po grecku *Kyrios*, w odniesieniu do Jezusa oznacza dla chrześcijan Boga, któremu należy się szczególna cześć i posłuszeństwo.

Czy Jezus Chrystus jest dla nas takim Panem? Jeżeli tak, to śmiało możemy w naszych modlitwach wzywać imienia Pańskiego, jak na to wskazuje apostoł Paweł przytaczając słowa proroctwa ze Starego Testa-

mentu: „Każdy bowiem, kto wzywa imienia Pańskiego, zbawiony będzie” (Rz 10,13). Z wzywaniem imienia Pańskiego łączy się przynależność do Jezusa Chrystusa, który dla chrześcijan jest najwyższą wartością.

Na przykładzie własnego życia apostoł Paweł ukazał, jak można, wyrzekłszy się wszystkiego, zespolić się z Jezusem Chrystusem i być przez Niego zbawionym. I my także stoimy wobec alternatywy: uwierzyć i żyć, czy zwątpić i przyczynić się do własnej zguby. Tak, jak Abraham uwierzył Bogu i przyjął Jego obietnicę, tak i my przyjmijmy z wiarą świadectwo o zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa. Następstwem tej wiary będzie nasze usprawiedliwienie, czyli uznanie nas przez Boga za sprawiedliwych, mimo naszej grzesznej natury, dzięki ofierze Jezusa Chrystusa. W ten sposób Bóg w Jezusie Chrystusie zapewnia nam zbawienie.

Czy świadectwo wielkanocne przyczynia się do umocnienia naszej wiary w zbawczą moc Jezusa Chrystusa?

Przez pojęcie świadectwo rozumiemy w tym wypadku naukę apostołów Jezusa Chrystusa o Nim samym. To, czego naucza apostoł Paweł, jest więc ugruntowaniem wiary w Boga i głoszeniem Jego Słowa. Bóg mówi do każdego człowieka przez usta zwiastujących, jak na to wskazuje apostoł Paweł: „*Blisko ciebie jest to słowo w ustach twoich i w sercu twoim; to znaczy słowo wiary, które głosimy*” (Rz 10,8).

Czy ta bliskość Słowa Bożego i jego bezpośrednie działanie nie są jednak przeszkodą dla nas w umacnianiu wiary? Tak przecież było w przypadku Żydów, którzy odrzucili najpierw słowo prorockie, a później ucieleśnione Słowo Boże czyli samego Jezusa Chrystusa.

Objawione Słowo Boże stanowiące źródło ludzkiego przekazu w zwiastowaniu było i jest podważane i niedoceniane przez ludzi. Nie umniejsza to jednak w niczym prawdziwej wartości Słowa Bożego. Wszelkiego rodzaju spekulacje myślowe na tematy religii i Boga były, i są popularne wśród ludzi nieuznających bezwzględne autorytetu Boga oraz Pisma Świętego.

Wszyscy natomiast, którzy pozostają pod wpływem głoszonego Słowa Bożego, muszą pamiętać, że ich wiara i wyznanie są nierozłączne. Wiara to nie tylko światło ukryte w głębi serca i niedostępne dla innych. To światło musi wychodzić na zewnątrz i rozprzestrzeniać się, w przeciwnym razie wiara pozostaje martwa. Podobnie samo wyznanie ust nie poparte wiarą serca jest tylko pustym słowem człowieka, pobożnym życzeniem.

Apostoł Paweł ukazując ludziom nową drogę zbawienia w Jezusie Chrystusie podkreśla z całym naciskiem, że gdy usta wierzącego wypowiadają słowa: „Jezus jest (moim) Panem”, a serce wierzy gorąco, że Bóg wzbudził Go z umarłych, wówczas jest on (wierzący) zbawiony.

Treścią wiary i zwiastowania jest miłość Boga, która musi się przejawiać w działaniu. Z tego wynika potrzeba czynnego udziału każdego wierzącego w życiu społeczności ludzkiej. Tak pojęta dynamiczna wiara, promieniująca od jednego człowieka do drugiego, jest dziś szczególnie potrzebna, bo świat, w którym żyjemy, kieruje się często innymi prawami niż te, które ustanowił Bóg.

Jako ludzie wierzący musimy się stać podobni do uczniów Jezusa Chrystusa, którzy utwierdzeni w przekonaniu, że ich Pan zmartwychwstał, rozgłaszali tę radosną wieść światu. Niech i nasze świadectwo wielkocenne niesie wszystkim ludziom zapewnienie: Pan zmartwychwstał, żyje i króluje na wieki, a Jego zmartwychwstanie to obietnica życia wiecznego dla wierzących. Jak zapewnia apostoł: *„W Nim i wy, którzy usłyszeliście słowo prawdy, ewangelię zbawienia waszego, i uwierzyliście w Niego, zostaliście zapieczętowani obiecany Duchem Świętym, który jest rękojmą dziedzictwa naszego”* (Ef 1,13,14).

„Jednota” z dn. 31 stycznia 1980 r.

O zagubionych ewangelikach

Kilkudziesięciotysięczna rzesza ewangelików w Polsce żyje dziś w większości rozproszona (poza Śląskiem Cieszyńskim i kilkoma większymi ośrodkami), w niewielkich skupiskach, tworząc ogromny obszar diaspory. Stan ten nie jest bez znaczenia dla rozwoju życia religijnego. Wielu ewangelików pozostaje w związku z tym z dala od swojej macierzystej parafii.

Niektórzy utracili w ogóle kontakt z Kościołem, a nawiązanie go powtórnie nie jest wcale sprawą łatwą. Na przykładzie, który z pewnością nie jest odosobniony, chciałbym wskazać, że żyje w naszym społeczeństwie sporo ewangelików, którzy z takich czy innych powodów znaleźli się poza Kościołem.

Pewnego dnia zgłosiła się do parafii kobieta, katoliczka zawiadamiając, że w miejscowości N odległej o kilkadziesiąt kilometrów od parafii, w domu rencisty znajduje się staruszka, która jest ewangeliczką. Z przeprowadzonej rozmowy wynikało, że moja rozmówczyni jest drugą żoną zięcia tej staruszki, a więc osobą niemal obcą w stosunku do zainteresowanej. W oznaczonym dniu udałem się pod wskazany mi adres, gdzie z wielką radością i nieukrywaniem wzruszeniem powitała mnie sędziwa pani. Nic dziwnego, byłem pierwszym pastorem, z którym rozmawiała po 35 latach. Ostatni raz przyjęła Komunię Świętą, gdy jej córka przystępowała do konfirmacji. Historia życia, którą usłyszałem od tej kobiety, mogłaby z pewnością stanowić tło wielkiego dramatu. Wystarczy wspomnieć, że utraciła kolejno dwóch mężów, syna zamęczonego przez gestapo, córkę, która zginęła w czasie nalotu lotniczego, a ostatnio, przed kilkoma miesiącami, zginął w katastrofie samochodowej jej ukochany wnuk. Pozostała jej jeszcze wprawdzie wnuczka, ta jednak nie interesuje się losem osamotnionej

babci. Najbliższymi osobami, z którymi łączy ją uczucie miłości są zięć i wspomniana druga żona, oboje katolicy. Z podziwu godną troskliwością odnoszą się do swojej podopiecznej i nie zapominają o niej. Teraz już mogą spokojnie umrzeć – powiedziała żegnając się ze mną – spełniło się moje największe pragnienie, przyjął Komunię Świętą.

Udając się w drogę powrotną myślałem o tym, że ludzi, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji, jak ta staruszka, jest więcej, może tylko nie mieli dotąd sposobności, by dać znać o swoim istnieniu. Z pewnością nie zawsze są to ludzie starzy i samotni. Niewykluczone, że na drodze między nimi a Kościołem stanęły przeszkody, które zdają się być nie do pokonania. Być może doznali kiedyś przykrości z tytułu swego ewangelickiego pochodzenia i odtąd pozostali obojętni na sprawy religijne.

W związku z poruszonym tu problemem nasuwa się pytanie: Co Kościół nasz może uczynić, aby wyjść naprzeciw ludziom pozbawionym opieki duszpasterskiej? I w jaki sposób księża mają uprawiać działalność duszpasterską w stosunku do ludzi, którzy tego potrzebują?

Czytałem niedawno w pewnym czasopiśmie religijnym o tzw. „francuskim eksperymencie”. Otóż eksperyment ten prowadzony w latach pięćdziesiątych w Kościele Rzymskokatolickim we Francji polegał na utworzeniu grup księży, którzy pracując zarobkowo, na przykład w fabryce, oddziaływali jednocześnie duchowo i moralnie na środowisko. Tego rodzaju praca duszpasterska spotykała się zarówno z wyrazami uznania, jak i krytyki władz kościelnych. Wreszcie przyszedł czas na ocenę tej działalności. W dniach od 6 listopada do 8 listopada 1969 r. odbył się w Lourdes generalny zjazd biskupów i księży Francji, który ocenił pozytywnie tę działalność. Równocześnie wytyczono jednostki duszpasterskie, „w skład których wchodziłoby po kilku księży posiadających specjalistyczne przygotowanie do pracy w danym środowisku na przykład w szpitalach, ośrodkach uniwersyteckich itp. Obecnie program ten jest realizowany i choć praca ta nie jest łatwa, jednak zaczyna wydawać owoce”.

Wydaje się, że coś podobnego można by zastosować w naszym Kościele i to z dobrym skutkiem. Trzeba tylko, aby odpowiednie władze kościelne zdecydowały się na podjęcie próby utworzenia takich kilkuosobowych grup księży, których zadaniem będzie wyjście w teren, a nie oczekiwanie w kancelarii parafialnej aż zgłoszą się petenci.

Wartość ludzkiej pracy

Praca jest niewątpliwie jednym z głównych elementów ziemskiej działalności człowieka. Wypełnia ona większą część czasu przeznaczonego na świadome działanie, które człowiek podejmuje dla własnego dobra, jak i dla dobra innych ludzi. Nie wdając się w bardziej szczegółowe sformułowania, można określić pracę jako szereg czynności podejmowanych z myślą o spełnianiu określonych obowiązków, w celu tworzenia użytecznych społecznych wartości duchowych i materialnych. Ze względu na szczególną rolę, jaką odgrywa praca w życiu człowieka, warto zastanowić się nad tym, jaki jest sens i pożytek podejmowanych przez nas – ludzi wierzących – działań.

Czy ma rację autor *Księgi Kaznodziei Salomona*, który na podstawie życiowego doświadczenia i wielu przemyśleń stwierdza, że wszystko, co czyni człowiek na tym świecie jest wartością?

Na podstawie Pisma Świętego możemy się przekonać, że praca jest nakazem Boga dla człowieka. Już w *1. Księdze Mojżeszowej* czytamy: „*napełniajcie ziemię i czyńcie ją sobie poddaną*” (1Mż 1,28).

Wypełniając ten nakaz, ludzie dążą do tego, by ujarzmić przyrodę, wykorzystując jej zasoby materialne i energię. Rozwój techniki jest dziś ogromny i niemal każdy dzień przynosi wiadomości o nowych odkryciach oraz wynalazkach.

Nadając przykazania ludowi izraelskiemu, Bóg określił zasady postępowania człowieka wobec Niego i wobec bliźnich. Chodzi głównie o to, aby człowiek naśladował swego Stwórcę w podejmowanych przez siebie zadaniach, niejako kontynuując dzieło stworzenia, w którym każdy człowiek ma swój udział. Sposób, w jaki człowiek winien realizować to

zadanie, został też określony przez Boga: „Sześć dni będziesz pracował i wykonywał wszelką swoją pracę, ale siódmego dnia jest sabat Pana Boga twego: Nie będziesz wykonywał żadnej pracy” (2Mż 20,9-10). Ten ustalony przez Boga przed wiekami porządek obowiązuje po dziś dzień i jest podstawą życia chrześcijan.

Oprócz poszanowania nakazów Bożych dotyczących pracy, chrześcijanie winni również podporządkować się ustawom ludzkim, które służą dobru społeczeństwa i narodu, do którego należą. Ten podwójny nakaz jest dla chrześcijan dodatkową zachętą, aby w swej pracy byli wzorem dla innych. Zwraca na to uwagę apostoł Paweł, który w *Liście do Tesaloniczan* tak pisze: „My zaś napominamy was, bracia, żebyście tym bardziej obfitowali i gorliwie się starali prowadzić żywot cichy, pełnić swe obowiązki i pracować własnymi rękami” (1Tes 4,10.11).

Tak podejmowana praca nie leży jednak w interesie wszystkich ludzi. Zawsze byli i są wśród nas tacy, którzy dla własnych korzyści omijają zarówno Boże, jak i ludzkie nakazy. Dla przeważającej większości ludzi praca, choć połączona z wielkimi trudami, stanowi moralny obowiązek i jest wykonywana należycie. Jako chrześcijanie winniśmy pamiętać o tym, że Bóg wyposażył nas we wszystko, co służyć ma budowaniu i doskonaleniu rzeczywistości, w której żyjemy.

Praca ma na celu między innymi zdobycie i zabezpieczenie dóbr doczesnych, które zapewnią człowiekowi egzystencję w tym świecie. Dla wielu ludzi to stanowi jedyny motyw ich działania. Praca w ich przekonaniu stanowi zło konieczne. Jakże chętnie porzuciliby ten trud codzienny, mając zapewnione utrzymanie i mogąc korzystać ze wszelkich dobrodziejstw naszej cywilizacji! Takie stanowisko jest jednak obniżeniem wartości pracy. W rzeczywistości bowiem nie chodzi tylko i wyłącznie o zapłatę. Wykonując pracę człowiek angażuje nie tylko siły fizyczne, lecz także rozum i wolę.

Z punktu widzenia chrześcijańskiego praca jest sposobnością do ujawnienia i rozwijania wszelkich darów duchowych. Wskazuje na to wyraźnie Paweł w *Liście do Koryntian*, gdzie czytamy: „A różne są dary łaski, lecz Duch ten sam. I różne są postęgi, lecz Pan ten sam. I różne są sposoby działania, lecz ten sam Bóg, który sprawia wszystko we wszystkich” (1 Kor 12,4-6).

Praca daje człowiekowi możliwość wyrabiania takich cech, jak: cierpliwość, wytrwałość, roztropność, które są niezbędne zwłaszcza przy podejmowaniu właściwych decyzji. Dobrze wykonana praca daje człowiekowi zadowolenie i radość. Przez codzienne sumienne wykonywanie nawet najprostszych czynności człowiek staje się społecznie zaangażowaną

i pożyteczną jednostką. Odwrotnie, opieszałość lub beczynność eliminuje jednostki ze społeczeństwa. Ponadto negatywny stosunek człowieka do wykonywanej pracy stanowi zagrożenie dla jego życia wewnętrznego, które staje się przez to uboższe o wymienione wyżej wartości.

Jeżeli chcemy dobrze wykonywać obowiązki wypływające z naszego powołania lub wykonywanego zawodu, to musimy stawiać do dyspozycji społeczeństwa wszystkie nasze umiejętności i siły.

Człowiek stworzony na obraz i podobieństwo Boże winien współpracować ze swym Stwórcą w dziele, które zostało mu przez Boga powierzone. Każdy, kto pracuje, jest w pewnej mierze twórcą i to bez względu na rodzaj wykonywanej pracy. Nie tylko artysta tworzący wspaniałe dzieła sztuki, ale i zwykły robotnik czy rolnik przyczyniają się swoją pracą do tego, by to nasze wspólne dziedzictwo, które otrzymaliśmy od Boga, rosło i rozwijało się.

Mówiąc o wartości ludzkiej pracy w sensie społecznego zaangażowania, musimy zwrócić uwagę na jeszcze jeden ważny element. Chodzi mianowicie o znaczenie ludzkiej pracy w dziele zbawienia. Jako chrześcijanie zostaliśmy powołani do specjalnego rodzaju służby – służby Chrystusowej. Jak niegdyś pierwsi uczniowie Jezusa porzucili dla Niego swoje zajęcia i poszli za wezwaniem Pana, tak i my dziś powołani jesteśmy, aby iść i pracować dla Niego. Czy to wezwanie odnosi się do każdego chrześcijanina, czy też tylko do wybranej grupy osób?

Myślę, że odpowiedź na to pytanie nasuwa się sama, zważywszy, że przecież nie musimy koniecznie rezygnować z pracy zawodowej, porzucić naszych domów i rodzin, aby służyć Chrystusowi. W naszej codziennej pracy możemy też służyć wiernie Panu i po chrześcijańsku wypełniać swoje powinności, w myśli słów Jezusa: „*cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych moich braci, mnie uczyniliście*” (Mt 25,40).

Praktyka życia codziennego wskazuje, że ludzie zaangażowani w pracę parafialną przeważnie wykonują swoje obowiązki honorowo, poświęcając na ten cel swój wolny czas i umiejętności.

Kościół nasz potrzebuje wielu rąk do pracy i chętnych serc oddanych sprawie Chrystusowej. Właściwie każdy członek naszej społeczności kościelnej winien wnieść konkretny wkład do tej wspólnej sprawy. Od nas wszystkich zależy, czy potrafimy kontynuować chlubne tradycje polskiego ewangelicyzmu. Minione pokolenia ewangelików budowały, a kiedy zaszła tego potrzeba – cierpiały i ginęły za wiarę i polskość. Czy nasze pokolenie okaże się godne swych poprzedników?

Winniśmy także dziękować Bogu za to, że możemy naszą służbę dla Pana pełnić w warunkach pokojowych. Świat bez wojny jest piękniejszy,

a ludzie szczęśliwsi. Z tym większym więc poświęceniem i oddaniem Bogu i bliźnim wykonujemy powierzone nam obowiązki. Nie zawsze będziemy mogli zbierać owoce naszej pracy, ale możemy być pewni, że trud nasz nie pójdzie na marne. Pamiętajmy, że zawierzaliśmy Jezusowi Chrystusowi, który od pierwszych dni naszego życia aż po dzień ostatni jest z nami i posila nas chlebem żywota, i zapewnia: *„Kto trwa we mnie, a Ja w nim, ten wydaje wiele owocu”* (J 15,5).

1979 r.

Ewangelickie Duszpasterstwo Wojskowe – podejmujemy przerwane dzieło

W dniu 13 maja 1994 r. Sejm Rzeczypospolitej Polskiej uchwalił *Ustawę o stosunku państwa do Kościoła Ewangelicko - Augsburgskiego w Polsce*. Na mocy tej ustawy Minister Obrony Narodowej Jerzy Milewski wydał w dniu 26 października 1994 r. *Dekret o powołaniu Ewangelickiego Duszpasterstwa Wojskowego*. W dniu 9 czerwca 1995 r. Szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego generał broni Tadeusz Wilecki zatwierdził etat Ewangelickiego Duszpasterstwa Wojskowego.

Zgodnie ze Statutem Ewangelickiego Duszpasterstwa Wojskowego, zatwierdzonym przez Ministerstwo Obrony Narodowej oraz Konsystorz Kościoła Ewangelicko - Augsburgskiego w Rzeczypospolitej Polskiej, powołani zostali kapelani wojskowi. Na stanowisko Naczelnego Kapelana – ks. Jan Hause, na stanowiska kapelanów okręgowych: ks. Adam Pilch, ks. Ryszard Borski, ks. Zbigniew Kowalczyk i ks. Marek Loskot.

W dniu 7 listopada 1995 r. złożyli oni przysięgę i otrzymali nominacje na kapelanów wojskowych oraz stopnie oficerskie: ks. Adam Pilch – majora; ks. Ryszard Borski – kapitana i ks. Marek Loskot – kapitana. Naczelnym Kapelanem ks. Jan Hause otrzymał etat pułkownika, jednak z uwagi na przekroczony 60 rok życia – bez stopnia wojskowego.

W dniu 10 grudnia 1995 r. w warszawskim kościele Wniebowstąpienia Pańskiego – dawnym garnizonowym – odbyła się uroczystość inauguracji reaktywowanego Ewangelickiego Duszpasterstwa Wojskowego. Uroczystego aktu błogosławieństwa i wprowadzenia w urządowanie ewangelickich kapelanów wojskowych dokonał zwierzchnik Kościoła Ewangelicko - Augsburgskiego biskup Jan Szarek, w asyście radców: ks. Jana Grossa i ks. Mieczysława Cieślara.

Zgodnie z porozumieniem między władzami zwierzchnimi Kościoła Ewangelicko - Augsburskiego i Kościołów: Ewangelicko - Reformowanego, Ewangelicko - Metodystycznego, Chrześcijan Baptystów oraz Adwentystów Dnia Siódmego, wierni tych Kościołów będący żołnierzami Wojska Polskiego objęci zostali opieką duszpasterską ewangelickich kapelanów wojskowych.

Ewangelickie Duszpasterstwo Wojskowe prowadzi działalność wśród żołnierzy ewangelików na terenie całej Polski. Czterej kapelani wojskowi docierają do jednostek wojskowych, w których odbywają służbę wojskową nasi współwyznawcy. Nie zawsze jednak udaje się ustalić miejsce pobytu żołnierzy, jeśli wcześniej (przy poborze) nie podadzą adresu jednostki, do której są kierowani.

Spotkania kapelanów wojskowych z żołnierzami mają charakter indywidualny. Odbywają się one na terenie miejsca zakwaterowania lub na zewnątrz, poza jednostką. Jeśli tylko udaje się nawiązać kontakt z żołnierzami wyznania ewangelickiego, nie ma przeszkód ze strony dowództwa, by żołnierz mógł spotkać się ze swoim duszpasterzem. Zdarza się, że w danej jednostce jest kilku ewangelików i wtedy kapelan okręgowy może urządzić dla nich nabożeństwo lub godzinę biblijną oraz porozmawiać o interesujących ich sprawach. Niekiedy, w porozumieniu z dowództwem, kapelan okręgowy może uzyskać zezwolenie na przeniesienie żołnierza bliżej jego domu rodzinnego czy miejscowości, w której znajduje się parafia ewangelicka.

W swojej codziennej służbie duszpasterskiej kapelani spotykają się z kapelanami Ordynariatu Prawosławnego i Rzymskokatolickiego, z którymi łączą ich dobre stosunki ekumeniczne, są zapraszani na odprawy dowództwa jednostek i biorą czynny udział w pracy wychowawczej prowadzonej wśród żołnierzy.

Dla całokształtu pracy duszpasterskiej w Wojsku Polskim niezbędne jest uświadomienie sobie, że młodzi ludzie odbywający służbę wojskową, to ci sami, którzy do niedawna byli związani ze swoją macierzystą parafią i po odbyciu tej służby znów do niej powrócą. Wydawać by się mogło, że rok czy półtora roku przerwy i rozstania z najbliższymi to niewiele, tymczasem w ciągu roku wiele może się zdarzyć. Nie wszyscy żołnierze są karni i zdyscyplinowani. Do wojska trafiają ludzie z różnych środowisk, niekiedy z tzw. marginesu społecznego, a wszelkiego rodzaju złe nawyki łatwo się rozprzestrzeniają. Trzeba dużo hartu ducha i odporności psychicznej, by nie ulec złu. Zadaniem duszpasterzy wojskowych jest przeciwdziałanie tym przejawom zła i wspomaganie młodych ludzi, by mogli wytrwać w wierze i jako ewangelicy z honorem pełnić służbę, do której zostali powołani.

Przy okazji warto przypomnieć tych, którzy byli poprzednikami obecnych kapelanów, sięgając do czasów II Rzeczypospolitej. W dniu 20 sierpnia 1919 r. powołane zostało Duszpasterstwo Kościoła Ewangelicko - Augsburskiego w Wojsku Polskim. Ówczesny zwierzchnik Kościoła, bp Juliusz Bursche, dokonał w dniu 26 października tegoż roku wprowadzenia w urząd pierwszego Naczelnego Kapelana Wojskowego w osobie ks. Ryszarda Paszko. **Ks. pułkownik Ryszard Paszko** pełnił tę funkcję do dnia 30 maja 1929 r. Za zasługi położone dla Rzeczypospolitej Polskiej na polu organizacji duszpasterstwa wojskowego został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski - *Polonia Restituta*. Jako jeden z pierwszych kapelanów ewangelickich stał się ofiarą zbrodni katyńskiej.

Kolejnym Naczelnym Kapelanem Ewangelickim został w dniu 5 lutego 1930 r. **ks. pułkownik Feliks Gloeh**, który pozostawał na tym stanowisku do wybuchu II wojny światowej w 1939 r. Ponownie objął ten urząd po wyzwoleniu w roku 1945 i pełnił go przez dwa lata. Był organizatorem życia religijnego w zborze warszawskim. Dzięki jego staraniom powstał komitet odbudowy zniszczonego kościoła garnizonowego. Na czele tego komitetu stał generał dywizji Juliusz Rómmel, były dowódca Armii Obrony Warszawy w 1939 r., ewangelik. Jego nazwisko zostało zapisane na tablicy pamiątkowej przy wyjściu z kościoła.

W lutym 1947 r. zastępcą naczelnego kapelana został **ks. kapitan Karol Messerschmidt**, pełniący jednocześnie obowiązki kapelana Garnizonu Warszawskiego. Był jednocześnie długoletnim proboszczem parafii Wniebowstąpienia Pańskiego w Warszawie i dyrektorem Biblioteki Głównej Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej. Jako ostatni kapelan ewangelicki w Wojsku Polskim działał do dnia 13 maja 1950 r., to jest do chwili rozwiązania Ewangelickiego Duszpasterstwa Wojskowego. Warto dodać, że ks. Karol Messerschmidt, będąc już na emeryturze, w roku 1980 na wniosek Naczelnego Kapelana Ordynariatu Rzymskokatolickiego ks. płk. Juliana Humeńskiego otrzymał awans do stopnia majora. Rzadki to przypadek, godny naśladowania.

Przypomnijmy też pozostałych kapelanów. **Ks. major Karol Banszel** - kapelan w Dowództwie Okręgu Korpusu w Krakowie, a następnie we Lwowie i Przemyślu. Na stanowisku tym pozostał do wybuchu wojny w 1939. Aresztowany przez NKWD w połowie listopada tegoż roku został wywieziony do obozu w Kozielsku i zamordowany w Wigilię Bożego Narodzenia. **Ks. Alfred Hugon Figaszewski** - pełnił obowiązki proboszcza w Okręgu Korpusu IX w Brześciu nad Bugiem. Zmarł krótko przed wybuchem II wojny światowej.

Ks. podpułkownik Karol Grycz – pierwszy polski kapelan ewangelicki w odrodzonej Polsce po I wojnie światowej. Szef duszpasterstwa Okręgu V w Krakowie. Działał na terenach wschodniej Małopolski do chwili przejścia na emeryturę w roku 1931 r. Odznaczony Krzyżem Walecznych za działalność polonijną w Wojsku Polskim. W czasie II wojny światowej był poszukiwany przez gestapo i musiał się ukrywać. Zmarł w 1959 roku.

Ks. major Paweł Henryk Hause – kapelan okręgowy Korpusu III w Grodnie, a od roku 1933 szef duszpasterstwa, starszy kapelan okręgu Korpusu V w Krakowie. W okresie walk o niepodległość Polski wstąpił jako ochotnik do Legionów i jako żołnierz 2. dywizji walczył na froncie litewsko-białoruskim. Odznaczony medalem 10-lecia Odzyskania Niepodległości, brązowym medalem Za Długoletnią Służbę i odznaką 25-lecia ZHP, którego był działaczem. W okresie II wojny światowej, po klęsce wrześniowej, wraz z innymi oficerami polskimi został internowany w Rumunii, a następnie był więziony w różnych obozach jenieckich w Niemczech (Dorsten, Neubrandenburg, Lubeka, Oflag II D Grossborn). Do Polski powrócił w roku 1945 i mimo utraty zdrowia, pełnił nadal obowiązki kapelana wojskowego. Zmarł w lutym 1946 roku i pochowany został na cmentarzu wojskowym w Warszawie.

Ks. podpułkownik Józef Mamica – szef duszpasterstwa okręgu VII w Poznaniu. Był uczestnikiem II i III powstania śląskiego. Współzałożyciel Towarzystwa Polaków Ewangelików w Poznaniu. Organizował życie religijne w zborach ewangelickich w Poznaniu, Bydgoszczy, Toruniu i Grudziądzu. Za pracę polonijną w wojsku odznaczony został orderami: *Polonia Restituta*, *Virtuti Militari* oraz Krzyżem Zasługi. W okresie II wojny światowej został aresztowany przez Niemców i wywieziony do obozu koncentracyjnego w Mauthausen-Gusen. Zginął zamordowany w dniu 3 sierpnia 1940 r.

Ks. kapitan Oskar Mitschke – kapelan okręgu IV Łódź. Działał na tym terenie do wybuchu II wojny światowej. **Ks. major Karol Świtalski** – kapelan okręgu VII w Poznaniu. Pełnił służbę na tym stanowisku od roku 1936 do wybuchu II wojny światowej. W czasie okupacji pozbawiony został, podobnie jak inni ewangelicy księża narodowości polskiej, możliwości wykonywania obowiązków duszpasterskich. Zmarł w 1993 roku za granicą.

Do grona kapelanów ewangelickich zaliczyć należy również **ks. Zygmunta Kuźwę**, pseudonim „Pleban”, czynnego w służbie w okresie powstania warszawskiego w 1944 roku. Należał do batalionu „Wigry,” w którym służyło wielu ewangelików. Działał jako żołnierz i duchowny. Zginął osłaniając odwrót wojsk powstańczych w 1944 r.

Oprócz wymienionych kapelanów ewangelickich w okresie wojny działali w siłach zbrojnych na Zachodzie czterej księża kapelani. **Ks. Władysław Fierla**, późniejszy biskup Polskiego Kościoła Ewangelicko – Augsburskiego na Obczyźnie, od 1944 roku kapelan II korpusu generała Władysława Andersa. **Ks. kapelan Andrzej Wantuła**, późniejszy biskup, zwierzchnik Kościoła Ewangelicko – Augsburskiego w Polsce w latach 1959-1975, wiceprezydent Światowej Federacji Luterkańskiej. Zmarł w roku 1976. **Ks. kapelan Leopold Matz**, również kapelan II korpusu gen. Władysława Andersa. **Ks. kapelan Eryk Cimała**, ostatni z tego grona żyjący na emigracji w Anglii.

Równocześnie z duszpasterstwem Kościoła Ewangelicko – Augsburskiego w Polsce działali kapelani wojskowi Kościoła Ewangelicko – Reformowanego. Naczelnym kapelanem wojskowym był od 1929 roku ks. pułkownik Kazimierz Szefer. Za pracę duszpasterską w Wojsku Polskim otrzymał odznaczenia: Złoty Krzyż Zasługi, *Polonia Restituta* i medal z okazji 10-lecia Odzyskania Niepodległości. Poza wymienionymi działali w Wojsku Polskim trzej inni kapelani ewangelicko-reformowani: ks. Wilhelm Fibich – w okręgu korpusu w Toruniu i ks. Roman Maziarski oraz ks. Jan Potocki, późniejszy Naczelnny Kapelan tego wyznania do wybuchu II wojny światowej. Dnia 3 września 1939 roku udał się na Wschód, gdzie został aresztowany przez NKWD i uwięziony na Łubiance, a następnie stracony w Katyniu.

Jak widać, losy kapelanów ewangelickich na ziemiach polskich nie układały się zbyt szczęśliwie. Wielu z nich musiało się ukrywać przed okupantem hitlerowskim i radzieckim. Nie wszyscy przeżyli gehennę II wojny światowej, ale do końca wiernie służyli swemu Kościołowi i ojczyźnie. Teraz my podejmujemy ich dzieło i gotowi jesteśmy iść tam, dokąd wzywa i prowadzi nas Pan Kościoła, Jezus Chrystus.

1995 r.

Wspomnienia o ks. Janie Hause

Zbyt dobry na ten świat

Wspomnienie o moim ojcu

Jan Hause urodził się 8 lutego 1934 roku w Krakowie jako syn polskiego oficera i jednocześnie kapelana w Wojsku Polskim, księdza majora Pawła Hause (po którym otrzymałem imię) i Marii z domu Goldberg. W pierwszych dniach wojny ojciec małego wtedy Jana został przez Niemców internowany i osadzony w obozie jenieckim, zaś sam Jan wraz z matką wywiezieni zostali przez Rosjan na Syberię. Mój ojciec nigdy nie opowiadał, jak tam było. W czasach socjalizmu w Polsce nie było to chyba zbyt bezpieczne. Rozumiałem to też w ten sposób, że wspomnienia te mogą być niezbyt przyjemne, dlatego nigdy o tamte czasy nie pytałem.

Dopiero gdy ojciec skończył 60 lat, na prośbę przyjaciół zgodził się opublikować swe wspomnienia. Spędził siedem lat w syberyjskich ziemiankach na stepie. Starszy brat ojca Karol, również wywieziony w głąb Rosji, wstępuje do polskiego wojska i ginie śmiercią żołnierza. Nieznane jest miejsce jego pochówku.

Ojciec mój, jako 11 letni chłopiec, powraca wreszcie do rodzinnego Krakowa. Liczy na spotkanie ze swoim tatą, o którym wiadomo, że przeżył niemiecką niewolę i obóz. Niestety zabrakło kilku tygodni. Dziadek

zmarł, nie doczekał się spotkania z najbliższymi. Gehenna się nie kończy. Mieszkanie jest już zajęte przez inną rodzinę, przy której w końcu, po interwencjach, otrzymują z matką jeden pokój.

Po powrocie z wojennej tułaczki, w czasie której stracił ojca i brata, Jan rozpoczyna wreszcie normalne, choć niełatwe dalsze życie w kraju innym niż ten, który opuszczał. Wstępuje do harcerstwa. Jego ojciec był przecież skautem, który w okresie I wojny światowej oddał nieocenione usługi w walce o polskość.

Ojciec należy do 13. Drużyny im. Zawiszy Czarnego, która jest najstarszą drużyną harcerską w Polsce. Wiele lat później zapraszany będzie jeszcze na spotkania krakowskiej Czarnej 13.

Czynnie uprawia sport wioślarstwo, narciarstwo. Jako harcerz pojechał na Mazury, na obóz harcerski w Martianach. Niedaleko miejsca, w którym obecnie jestem proboszczem parafii. Na krótko przed śmiercią, podczas pobytu na Mazurach wspominał, że na ognisko schodziła się okoliczna ludność, by słuchać pieśni i opowiadań harcerzy. Związek z Mazurami zacieśnił ojciec także pracując przez pewien czas w Giżycku, w Państwowym Gospodarstwie Rybackim, tam też ukończył Technikum Rybackie. Nie wiem, czy wiedział już wtedy, że tak jak jego ojciec będzie łowił ludzi siecią Ewangelii Chrystusowej?

Wychowuje go matka, która pracuje jako urzędniczka. Związany jest z krakowską parafią. Podejmuje naukę, pierwszą pracę. Następny okres to wojsko. Dopiero po odbyciu służby wojskowej pojawia się w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, gdzie melduje księdzu rektorowi: „Starszy kapral Jan Hause zgłasza się do odbycia studiów teologicznych”.

Jako syn duchownego i młodzieniec mając dobrą opinię ze swojej rodzinnej parafii zostaje przyjęty w poczet studentów, by kontynuować dzieło swego ojca.

Już podczas studiów teologicznych ojciec pisywał wiersze. Wielu księży pisywało przed nim i po nim. Znajdował w tym przyjemność, by to, co odczuwał, wyrazić w formie odświętnej, bo zrymowanej. Potrafił pisywać wierszyki na urodziny, czy z różnych innych ważnych okazji.

Rymy raczej tradycyjne, zwykłe rymy dla zwykłych ludzi. Zachowało się niewiele. Pieśń ekumeniczna, czy też na przykład z okazji 70. rocznicy istnienia diakonatu. Bardzo dowcipne wiersze pamiętają koledzy księży z czasów studiów, między innymi wspominał je po latach ks. Włodzimierz Nast. Studenci teologii organizowali wtedy tzw. fuksówki, parodiując lekko swych znamienitych profesorów, a także innych studentów. Ten zwyczaj, choć zmieniony (z okazji Mikołaja), przetrwał przez kolejne lata.

Studenci ChAT uczestniczyli w spotkaniach z młodzieżą warszawską w parafii Świętej Trójcy. Tam właśnie młody student teologii poznał swoją późniejszą małżonkę Alicję Klarę z domu Reschke. Ją także wychowywała tylko matka, ponieważ ojciec jej zginął podczas wojny.

Młodzi zakochali się w sobie i nie mogli się z sobą rozstać. Późne powroty do bursy akademii wspominał po latach przyjaciel, zresztą starosta na ślubie moich rodziców, ks. Jan Gros. Zapytywał najczęściej: „Kolacyjkę Jasiu?”. Studiowali wtedy razem z wieloma księżmi, m.in. z późniejszym biskupem Janem Szarkiem i ks. Manfredem Uglorzem. Bardzo miło wspominał ojciec ten właśnie okres studiów.

Pracę magisterską pt. *Dążenia ekumeniczne w protestantyzmie polskim*, napisaną pod kierunkiem ks. prof. Woldemara Gastpary'ego obronił w roku 1960.

Jego ordynacja odbyła się w Krakowie. Aktu ordynacji dokonał bp Andrzej Wantuła w asyście ks. prof. Woldemara Gastpary'ego i ojca chrzestnego oraz proboszcza krakowskiej parafii ks. Karola B. Kubisza.

Ślub z Alinką, jak nazywał swoją żonę, odbył się w Warszawie w kościele Świętej Trójcy. Ślubu udzielał wuj panny młodej ks. prof. Karol Wolfram.

Pierwszą placówką, do której został skierowany jako młody duchowny, była Wieliczka pod Krakowem, skąd dojeżdżał do zborów w Nowym Sączu, Tarnowie i Jarosławiu.

Dziwnym trafem były to miejsca, do których skierowany zostałem na praktykę kościelną także ja, jego syn. Najpierw ojciec, a 20 lat później syn będzie mieszkać w tym samym domu w Wieliczce przy ul. Gdowskiej. Żyć będą wtedy jeszcze parafianie pamiętający młodego ks. Jana, m.in. państwo Uhlowie. Zofia Kubisz z Nowego Sącza zostanie moją chrzestną matką.

Ze zborów Małopolski trafia następnie do kościoła Wang, do Karpacza, noszącego jeszcze przez pewien czas nazwę Bierutowice. W Cieplicach Śląskich, włączonych później do Jeleniej Góry, przychodzi na świat syn Alicji i Jana – Paweł. Karpacz był wtedy biedną parafią. Zasypany zimą, latem licznie odwiedzany przez turystów. Piękny, drewniany norweski kościółek Wang chętnie wybierany był przez młode pary, gdzie ks. Jan Hause udzielał im ślubów.

Kolejny etap służby to Radom. Przeniesienie do Radomia oznaczało niedzielne podróżowanie do Kielc, Lublina i Kuzawki, które nie miały wtedy oddzielnej obsługi duszpasterskiej.

Życie w ciągłych rozjazdach podsuwa inne jeszcze problemy. Żona Alicja decyduje się urodzić kolejne dziecko w Warszawie, gdzie podjęła pracę jako pielęgniarzka. Drugi syn, Marek, zostaje ochrzczony w koście-

le Świętej Trójcy, a jego chrzestną matką zostaje Irena Preiss, żona ks. Waldemara Preissa. Z rodziną Preissów przyjaźń trwa przez cały czas aż po okres późniejszej pracy w ojca w akademii.

Początkowo ks. Jan Hause dojeżdża na nabożeństwa i do Warszawy samochodem moskwicz. Jadąc nocą z rodziną samochodem do Warszawy ks. Jan Hause ulega wypadkowi. Po tym zdarzeniu dłuższy czas nie prowadzi samochodu. Nie pozwalają też na to bardzo długo skromne finanse. Dopiero później, już w Warszawie, ma miejsce krótka przygoda z maluchem - fiatem 126p, karykaturą motoryzacji, a następnie wartburgiem, również niezbyt udanym modelem epoki Honeckera. Podróżuje więc głównie pociągami lub autobusami.

Wreszcie propozycja pracy w Warszawie w ChAT na dłuższy czas stabilizuje życie rodzinne i przerywa tułaczkę. Nie jest to jednak jeszcze koniec wiecznego podróżowania. Warunki w Warszawie są bardzo ciężkie. Mieszkanie wraz z teściową, żoną i dwoma synami w jednym pokoju nie było komfortową sytuacją. Dopiero po kilku latach udaje się rodzinie otrzymać bardzo małe, lecz trzypokojowe mieszkanie. W mieszkaniu tym ks. Jan Hause mieszka prawie do emerytury. Jedna z osób odwiedzających nas kiedyś, powiedziała do mnie: „Jeszcze nigdy nie widziałem tak skromnie mieszkającego księdza”.

Ks. Jan Hause był bardziej kaznodzieją niż duszpasterzem. Nie potrafił słodzić i schlebiać parafianom. Trudne warunki życia, w których wyrósł i bezkompromisowość nie pozwalały mu na rozpieszczanie ludzi, prowadzenie z nimi „gier” i układów. Często więc, gdy popadał w nieuniknione w tej służbie konflikty, wolał odejść z parafii niż trwać w przykrew sytuacji, sztuczności, wzajemnych pretensjach itp. Uważał chyba, że wierni powinni przede wszystkim słuchać Słowa Bożego, a nie budować frakcje czy snuć intrygi, o to, kto ważniejszy w parafii!

Ojciec służył jako duchowny w wielu placówkach Kościoła ewangelickiego. Najczęściej były to „trudne” parafie, a warunki bytowania ciężkie. Liczne dojazdy do odległych placówek sprawiały, że rzadko bywał w domu, a niedziele i święta spędzaliśmy prawie zupełnie bez niego. Pamiętam czasy Radomia. Kazania wygłaszał w kościele naprzeciwko plebani, kamienicy, której okna wychodziły na kościół albo zimą w sali parafialnej. Ta kamienica przy ul. Reja wydawała mi się wtedy bardzo duża, podobnie mieszkanie. Mogliśmy korzystać ze wspólnego z innymi lokatorami ogrodu parafialnego. Tata dużo pracował w swoim gabinecie. Jako dziecko lubiłem bawić się jego rzeczami na biurku, zwłaszcza nożem do przycinania listów. Intrygowały mnie wydania Nowego Testamentu, które ludzie kupowali w parafii. Pamiętam mnóstwo książek ojca i nie-

które po dziadku. Wertowałem wtedy encyklopedię, książki podróżnicze i oprowione numery „Zwiastuna”.

Czasami ojciec wygłaszał kazania w kaplicy parafialnej w naszym mieszkaniu. Babcia mówiła, że Tata zna całą Biblię na pamięć. Nie pamiętam treści kazań, ale zapamiętałem ton, którym je zawsze wygłaszał. Uwielbiałem lekcje religii z moim Tatą i dziwiłem się, że inni koledzy nie znają niektórych historii biblijnych. Gdy podrosłem, ojciec zaczął mnie zabierać na wyprawy na nabożeństwa. Zapamiętałem wyjazdy do filiału w Kuzawce. Nabożeństwa w domu, na wsi, podczas których śpiewano pieśni przy akompaniamencie akordeonu. Pamiętam też, że tam spędzałem czasem wakacje. Dużo jeździłem z ojcem autobusami i pociągami. Jak wspomniałem, od czasu wypadku samochodowego, nie mieliśmy dłuższy czas samochodu. Tata czytał w podróży, a ja obserwowałem okolicę przez okno. Zabierał mnie na wycieczki w góry. Lubił jeździć do rodzinnego Krakowa i do Nowego Sącza, gdzie także spędzaliśmy z bratem wakacje. Ojciec znajdował dla mnie czas. Razem sklejaliśmy modele samolotów i okrętów. On sam zbierał znaczki, ja zaś wolałem sport i czasami wyciągałem go, by szedł popilnować nas na sali, bo musieliśmy mieć opiekę dorosłego. Jedynymi prezentami, jakie otrzymywaliśmy od ojca, były książki. Ojciec powtarzał, że kto umie czytać, nigdy się nie nudzi.

Gdy miałem 12 lat zmarła moja „krakowska” babcia. Ojciec stracił najukochańszą matkę, kobietę z zasadami, która mnie wychowywała, gdy mieszkaliśmy w Radomiu.

Następuje okres warszawski. Okres służby bibliotecznej to czas, który po kolejnych ciosach w służbie, stał się pewnym wytchnieniem. Ówczesny rektor akademii, ks. prof. Woldemar Gastpary, z którym rodzice byli zaprzyjaźnieni, zaproponował ojcu stanowisko kierownika biblioteki ChAT, argumentując, że „lepiej mieć czasem do czynienia z mądrymi książkami niż z nie zawsze mądrymi ludźmi”. Ta żartobliwa, rzecz jasna, wypowiedź, spełniała się aż do emerytury. Ojciec ukończył studia bibliotekarskie i był dyrektorem biblioteki aż do czasów pierwszej komputeryzacji zbiorów.

Dojeżdżał do parafii w Węgrowie, którą objął jako administrator po ks. Karolu Messerschmidcie. Później będzie jeszcze Włocławek, Płock, Żyrardów. To kolejne przystanki, do których dojeżdżał z Warszawy.

W Węgrowie rozwinął działalność duszpastersko-diakonijną. To w tej parafii doczekał 25-lecia swej ordynacji, na którą przybył ks. senior Jan Walter, ówczesny zwierzchnik diecezji warszawskiej.

Jako kapelan Ewangelickiego Domu Opieki w Węgrowie współpracował z siostrami z Dziegielowa, głównie z siostrą Aliną oraz siostrą Anielą i Beata. Bywał gościem Domu Sióstr w Dziegielowie, pamiętam miłe spotkania z siostrą Danielą. Ojciec przyjeżdżał, by wygłaszać kazanie w węgrowskim domu opieki, a my jechaliśmy całą rodziną razem z nim. Siostry były niemal częścią naszej rodziny. Służba starszym i chorym stała mu się bardzo bliska. Napisał o tym w referacie: *Diakonia w życiu zboru*.

W 1985 roku podczas Konferencji Teologicznej Księży i Katechetów wygłosił referat: *Misyjno-ewangelizacyjny wymiar nauczania kościelnego*. Również w tym samym 1985 roku, na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim wygłosił wykład pt. *Uwagi na temat dokumentu z Limy z 1982 r.* – dotyczące urzędu duchownego.

Przez cały czas ojciec oddaje się działalności ekumenicznej. Niemal wszędzie, gdzie się pojawia, staje się pionierem, wręcz prekursorem ekumenii. W 25. rocznicę swej ordynacji ks. Jan Hause opisał swoją działalność ekumeniczną w artykule pt. *30 lat w służbie ekumenii*. Nie wiedział wtedy jeszcze, że jego oddolna działalność ekumeniczna zostanie kiedyś doceniona, dlatego może tak wiele w tamtej relacji gorczy.

Z powodu swej działalności ekumenicznej spotykały go zarówno słowa uznania jak i przykrości. Ze strony zwierzchności kościelnej niestety także. Nie zawsze była to krytyka wprost, czy słowa napomnienia, często zwykłe wyszydzenie i kąśliwa ironia lub przytyki. Pamiętam sytuację podczas jednego z wykładów, gdy byłem na studiach teologicznych, kiedy jeden ze zwierzchników i moich wykładowców zarazem, zwrócił się do mojej grupy w następujących słowach: „Niektórzy, tak zwani hurra-ekumenicy, przebierają nogami i nie mogą się już doczekać, kiedy to znajdą się w pierwszej lepszej wspólnocie quasi-ekumenicznej”. Powiedział to, patrząc przy tym w moją stronę.

Ojciec mój nie czekał na instytucjonalne posunięcia hierarchów, ale przyjmował zaproszenia ze strony rzymskokatolickiej, by wygłaszać kazania i opowiadać o naszym Kościele ewangelickim. Był w tamtym okresie często jedynym, który te zaproszenia przyjmował, nie obawiając się krytyki ze strony naszych ówczesnych władz kościelnych, czy samych wiernych. Wszystkie ataki kierowane w stronę mego ojca, a mające miejsce w Kościele, nie są dobrym świadectwem o nas samych. Chichotem historii można nazwać fakt, że ci, którzy z ramienia zwierzchności wcześniej krytykowali ekumeniczną działalność ojca, w okresie późniejszym, w czasach bardziej sprzyjających rozwojowi ekumenii, sami stali się nagle bardzo gorliwi w tym względzie. Przesada, jeszcze niedawnych przeciwników, wyrażała się choćby w nazywaniu papieża ojcem świętym. Jeśli jednak

czegoś nauczyli się od mojego ojca albo skorzystali z przetartych przez niego szlaków, to i tak dobrze.

W roku 1971 wysłał do „Zwiastuna” artykuł: *Dwie drogi ekumenii lubelskiej*”; w 1972 roku *Nieprzetarty szlak ekumenii*, który jednak nie został opublikowany. Pisał „do szuflady”, przelewał na papier swoje myśli, często zbyt odważne albo nie zawsze dobrze widziane, nie pasujące.

W szerokim sensie wyprzedzał ideę ekumenii. Zadawał pytania dotyczące ekumenicznego wydania Pisma Świętego na długo przed pierwszymi próbami czynienia tego przez Kościoły w Polsce. Wskazywał na taką potrzebę. Nie był „szaleńcem” ekumenii, lecz gorliwym entuzjastą. Oddzielał zbyt daleko idące, przedwczesne działania, takie jak wprowadzenie interkomunii, przed uzgodnieniami teologicznymi i instytucjonalnymi z obu stron. Krytykował jednak opieszałość i bierność w dążeniach ekumenicznych. Nie walczył z przeciwnikami ekumenizmu, zawsze szukał niszy dla swych oddolnych działań.

Pojawia się jego „*Dialog katolicko - luterński*”. Bliska mu była niemal każda forma ekumenii. Nie na końcu podkreślał i akcentował potrzebę ewangelizacji ekumenicznej. Wspólne działanie różnych Kościołów dla osiągnięcia jednego celu: nawrócenia człowieka do Boga, bez prozelityzmu, czy też ekskluzywizmu.

Przykładem może być ewangelizacja ekumeniczna w Lublinie w 1973 roku. Ekumeniczny wymiar ewangelizacji był dla niego istotny, gdyż często niestety spotykał się z niezrozumieniem ze strony luteranckich fundamentalistów. Odrzucali oni bowiem ideę ruchu ekumenicznego czyniąc to ze względów ortodoksyjnych i dogmatycznych albo pietystycznych, negatywnie nastawieni do, ich zdaniem, błędzących braci katolików.

Postępował jednak łagodnie, próbując prostować, tłumaczyć swój punkt widzenia, na przykład pisząc w 1970 roku list otwarty, jednak nie wydrukowany w „Zwiastunie”.

Mimo swych zdecydowanych, dla wielu dziwacznych poglądów, był lubiany i zapraszany przez wszystkich, bez względu na rodzaj pobożności panujący w takiej czy innej parafii naszego Kościoła. Bywał gościem, wygłaszając kazania lub po prostu uczestnicząc w uroczystościach.

Choć sam nie był pietystą, chętnie przebywał wśród sióstr w Dziegiełowie, ceniąc ich pobożność i służbę. Prowadził zresztą wraz z siostrami diakonisami wspomniany dom opieki w Węgrowie. W ostatnich swych latach uczestniczył czynnie w Tygodniu Ewangelizacyjnym dla rodzin w Karpaczu, kiedyś swojej pierwszej samodzielnej parafii. Przyjaźnił się z zawołanym ewangelistą ks. Tomaszem Bruellem, wspomniał

duszpasterzem, z którym spotykaliśmy się przebywając z rodziną na wczasach w Wapienicy.

W kontaktach z rzymskokatolikami oraz z innymi Kościołami miał tę łatwość, że był szczerym i oddanym ekumenistą. Nie musiał udawać, dostosowywać się, szukać, znajdować. Nie była to wymuszona postawa, ironia czy udawanie skrywane pod maską grzeczności, uśmiechów, widoczne u niechętnych ekumenii. Dla ojca była to po prostu niemal codzienność, bez tonu wyższości, protekcyjnego traktowania błędzących, bez zadęcia, zwyczajnie i z miłością wchodził, i był wśród tych, których zaprosił lub którzy go zaprosili. Opowiadając innym o swoim ukochanym Kościele Ewangelicko – Augsburskim, mówił o doktrynach, pobożności i misji, a następnie o dążeniach ekumenicznych.

Nie tylko idealizm popychał ojca do tych spotkań. Szczere zapatrywania ekumeniczne wynikały z głębokiego przekonania i miłości do braci i sióstr w Kościele tak dalekim od naszego. Swoją pracę magisterską, którą złożył w ChAT, poświęcił przecież właśnie ekumenii.

Był ekumenistą całym sercem, lecz docenionym dopiero pod koniec życia, gdy został poproszony o kierowanie warszawskim oddziałem Polskiej Rady Ekumenicznej. Tak bardzo przeżywał, że niektóre Kościoły nie chcą uczestniczyć w Tygodniu Powszechnej Modlitwy o Jedność Chrześcijan! Ks. Adam Pilch, któremu ojciec przez lata pomagał, wspominał, że ojciec mój był często jedynym, który nie odmawiał i nie żałował swego czasu, by służyć Słowem Bożym. To samo dotyczyło też ekumenii. Był kołem ratunkowym, aż stał się jednym z filarów.

Kiedy przyszedłem do pracy na Mazury, moje nazwisko było wśród katolików niemal wszędzie rozpoznawane ze względu na mojego ojca, który w swej aktywności ekumenicznej sięgał aż tutaj.

Nie był bezkrytycznym entuzjastą ekumenii z Kościołem rzymskokatolickim. Dostrzegał też błędy. Pozostawił krytyczny referat: *Moje myśli i refleksje na temat dokumentu: „Dominus Jesus”*.

Był też przede wszystkim luteraninem. Sięgał po trudne tematy. Wygłosił m.in. odczyt: *Poglądy kościoła luterńskiego na temat Marii Panny*. W Laskach w 1980 r. referat *Konfesja augsburska a wyznanie chrześcijańskie dziś*. W 1991 r. w opolskiej filii KUL podczas ekumenicznego sympozjum wygłosił referat, biorąc udział w programie badawczym *Jedność Kościołów – Jedność Europy*. Ciekawa idea obejmująca ekumenizm w jednoczącej się Europie, którą promuje dalej w 1992 r., kiedy to dla Klubu Inteligencji Katolickiej w Bielsku-Białej wygłasza odczyt pt.: *Kościoły chrześcijańskie w rodzinie narodów europejskich*.

Współpraca ekumeniczna to przede wszystkim bliska przyjaźń z bratanimi Kościołami, głównie ewangelicko-reformowanym. Przyjaciółmi naszej rodziny była m.in. rodzina Trandów.

Z naczelnym prezbiterem kościoła baptystów Gustawem Cieślarem, również moim przyjacielem, ojciec znał się dobrze jeszcze z czasów, gdy ten ostatni studiował w ChAT.

To samo dotyczyło mariawitów, metodystów, czy zielonoświątkowców i oczywiście prawosławnych – duchownych i świeckich, z którymi ojciec utrzymywał bardzo bliskie kontakty. Kazania i homilie, które się zachowały, świadczą o jego głębokim pragnieniu zbliżenia pomiędzy wszystkimi Kościołami.

Długi okres pracy w ChAT, jak również częste zastępstwa w kościele przy ul. Puławskiej sprawiły, że był znany niemal przez wszystkich duchownych pracujących dzisiaj w Kościele, za wyjątkiem tych najmłodszych. Szanowany i lubiany, rozpoznawalny w mediach. Zyskał szacunek i wdzięczność tak wielu. Bywało jednak, jak w życiu, różnie. Jego dowcipne i inteligentne wypowiedzi sprawiały, że brylował w towarzystwie, często jednak za zbyt szczere opinie był za plecami krytykowany, nieraz docierało to do zwierzchności.

Przeciwnicy wykorzystywali w dyskusji to, że ojciec zbyt emocjonalnie traktował różne ważne dla niego kwestie. Rzadko jednak jego impulsywny charakter dochodził do głosu, z wiekiem starał się być bardziej powściągliwy i łagodny. Często był jedynym, który miał odwagę zwrócić uwagę zwierzchności, gdy był przekonany o słuszności swoich poglądów. Bronił innych duchownych. Wstawiał się za nimi, często samemu się przy tym narażając.

Mimo rozlicznych talentów pozostał niewykorzystanym w swej gotowości i gorliwości zarazem. Mógł Kościołowi przynieść o wiele więcej, gdyby tylko został odpowiednio doceniony i wybrany.

Umiał jednak poprzestawać na małym. Cieszył się z małych rzeczy. Chociaż lubił wycieczki i podróże, uważał, że warto przede wszystkim chodzić prostą drogą. Szczyty gór, które znał i zdobywał, potrafił podziwiać choćby w kolorowym kalendarzu, o czym napisał świąteczny wiersz.

Zwiedził większość krajów Europy, był w Korei, ale potrafił się zapisać na wycieczkę autokarową na przykład w Bieszczady. Kiedyś pojechał nawet pod Grunwald, bo była taka oferta w biurze turystycznym, mieszczącym się niedaleko domu. Z wycieczek z dzieciństwa zapamiętałem przede wszystkim wyprawy z nim w Beskid Śląski, Żywiecki i Sądecki. Wędrowaliśmy z ks. Lechem Klimą, kolegą ojca, częściej z moją matką chrześną Zofią Kubisz z Nowego Sącza.

Ks. Jan Hause nigdy nie odrzucał zaproszeń. Tylko, gdy miał wcześniej zaplanowane inne spotkanie. Pod koniec życia podróżował głównie pociągiem i autobusem. Poświęcał swój czas. Był spolegliwy. Ten, kto go zaprosił, mógł na niego po prostu liczyć. Wyniesiona z domu kindersztuba, harcerstwo i wojsko nauczyły go dotrzymywania danego słowa. Oczywiście nie był pozbawiony słabości i wad. Starał się jednak zawsze wywiązywać z nałożonych na niego i przyjętych obowiązków. Gdy coś przekraczało jego cierpliwość, lub czuł się skrzywdzony, szczerze mówił o tym.

Albo o tym pisał, jak w artykule *O wartości pracy ludzkiej* (1979), znów nie wydrukowanym w „Zwiastunie”, czy w tekście *O zagubionych ewangelikach lub Do moich drogich (nie zawsze obecnych) parafian*. Potrafił też wyrazić swoje zdanie lub swój sprzeciw wobec strony katolickiej. Jeśli nie był do czegoś przekonany, starał się tego unikać. Miał jednak w sobie zawsze dużo wyrozumiałości i cierpliwości wobec obcych, których przecież nie znał. Nie zawsze miał tę samą cierpliwość wobec swoich, od których chyba chciał więcej wymagać.

Pisze do „Jednoty” kazanie (1972) i *Moje świadectwo wielkanocne* (1980). Był przede wszystkim kaznodzieją Słowa Bożego. Każde kazanie pisał odręcznie, tylko niektóre na maszynie. Zachowały się też konspekty kazań, gdzie zawierał najważniejsze punkty do późniejszego zwiastowania. Zachowało się ponad 1400 jego kazań, nie licząc kazuałów oraz innych przemówień okolicznościowych. W ostatnim pół roku życia i choroby, wygłosił zaledwie siedem kazań. Swoje kazania wygłosił w 80 luteranśkich i 30 nieluteranśkich kościołach. Pozostawił też kazania ewangelizacyjne, wywiady, nagrania telewizyjne i radiowe. Jego kazania drukowała reformowana „Jednota” oraz „Zwiastun”. Niestety nie wszystko udało mi się zebrać i zgromadzić.

Nadchodzą wreszcie godne wyzwania: wspomniana funkcja przewodniczącego warszawskiego oddziału PRE oraz nieoczekiwana propozycja objęcia Ewangelickiego Duszpasterstwa Wojskowego (EDW). Jako syn kapelana wojskowego był tylko jednym z kandydatów na stanowisko naczelnego kapelana. Ostatecznie to jednak on, mimo swego wieku, zostaje poproszony o objęcie tej funkcji.

Zadanie reaktywowania Ewangelickiego Duszpasterstwa Wojskowego otrzymuje wieku 55 lat. Zostaje pierwszym powojennym naczelnym kapelanem odrodzonego ewangelickiego duszpasterstwa w Wojsku Polskim. Współpracuje m.in. z biskupem Sławojem Leszkiem Głódziem i najwyższymi władzami państwowymi. Bierze udział w ekumenicznych uroczystościach poświęcenia cmentarzy w Katyniu, Ostaszkwie i Miednoje.

Początkowo biuro duszpasterstwa ojciec nosił w teczce, ponieważ EDW nie miało jeszcze swojej siedziby. Zanim pojawiła się możliwość służbowego samochodu, „biuro” jeździło razem z nim autobusem po całej Warszawie. Pod koniec pojawiły się ludzkie intrygi i zwykła zawiść. Ojciec bardzo to przeżył, lecz wybaczył tym, którzy wobec niego zawinili... Nigdy też nie wypowiedział tego, jak bardzo mu przykro, że jego syn nie został kapelanem wojskowym, tak jak on i jego ojciec, choć był z pewnością na to właściwy czas i miejsce.

Ks. Jan Hause był zbyt skromny (lub raczej niedoceniony), by zostać biskupem wojskowym. Pozostał też w stopniu pułkownika, mimo że oficjalnie mianowania na wyższy stopień nie otrzymał ze względu na wiek. Po dziesięciu latach przeszedł na emeryturę. Otrzymał wysokie odznaczenia: w 1996 r. Złoty Krzyż Zasługi za szczególne zasługi w umacnianiu obronności kraju, od Prezydenta RP, w 1999 r. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi w działalności publicznej i charytatywnej, od Ministra Obrony Narodowej. Sybiracy odznaczyli go Krzyżem Zesłańców Sybiru.

Przez cały ten czas współpracował z Kościołem Rzymskokatolickim i innymi Kościołami, co w minionych latach nie zawsze było łatwe z różnych względów. Jako przewodniczący warszawskiego oddziału PRE dwukrotnie spotyka się z papieżem Janem Pawłem II. Wspominał wówczas okres krakowski swego wikariatu i spotkania z wtedy jeszcze Karolem Wojtyłą.

Do końca pozostał aktywny. Często zastępował swego młodszego kolegę, ks. Adama Pilcha, również kapelana, odprawiając nabożeństwa w ewangelickim kościele Wniebowstąpienia Pańskiego w Warszawie. Obdarzony słuchem muzycznym pięknie i głośno śpiewał, nierzadko *a capella*, ponieważ nie zawsze nabożeństwu, które odprawiał, towarzyszył instrument. Śpiewał w parafialnym chórze i w Śródmiejskim Domu Kultury, był aktorem w Teatrze Amatorskim. Uczęszczał na wykłady Uniwersytetu III Wieku. Pochłaniał mnóstwo książek. Chodził do filharmonii i do teatru, ale też ze mną do kina, pasjonował się sportem, zwłaszcza piłką nożną, jego ulubioną drużyną była Wisła Kraków. Również na emeryturze starał się jeszcze uprawiać sport. Świetnie pływał, tańczył. Z pozoru surowy i poważny, jednak w głębi ciepły i serdeczny, pięknie uśmiechnięty. Zawsze pełen życia. Przez sześć lat był wdowcem. Jego radością i dumą były wnuki.

Ks. Jan Hause, mój ojciec, związany był też z parafią ewangelicką w Kętrzynie. Przez dziesięć lat przyjeżdżał regularnie z Warszawy, aby – głównie w okresie świątecznym – odprawiać ze mną nabożeństwa.

Wygłaszał głębokie biblijne kazania, służąc mi pomocą duszpasterską. Uśmiechnięty, życzliwy dla wszystkich, tolerancyjny i prawy. Codziennie się modlił i czytał Biblię. Był mi nie tylko wsparciem, ale też niedoścignionym wzorem ekumenisty. Tak bardzo otwarty na wszystkich ludzi i inne Kościoły, a zwłaszcza Kościół Rzymskokatolicki, że nieraz się o to z nim sprzeczałem.

Przez cały czas odnosiłem wrażenie, że ojciec mój, mimo talentów, charyzmy i inteligencji, pozostaje nieobecny we władzach i strukturach w Kościele. Może dlatego, że w wielu kwestiach wypowiadał się zbyt odważnie i zbyt otwarcie? Słuchał rad mojej mamy, choć chyba też nie zawsze korzystał z jej życiowej mądrości czy intuicji. Gdy zamieszkaliśmy w Warszawie, a ojciec pracował jako dyrektor w Bibliotece Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, bardzo lubiłem odwiedzać go tam. Najpierw chciałem w przyszłości tam studiować, później już raczej mniej. Po maturze myślałem o filologii polskiej, ale tata powiedział, że przecież mógłbym spróbować skończyć akademię i niekoniecznie być księdzem. Poszedłem za jego radą, a w końcu księdzem też zostałem. Ojciec codziennie robił nam kanapki do szkoły, a w końcu nadszedł czas, że razem zaczęliśmy dojeżdżać do ChAT-u, on do pracy, ja na studia. Na przerwach, a było to w czasach kryzysu, jedliśmy z ojcem oraz kilkoma kolegami i księżmi w bibliotece zupki, które gotował jeden z pracowników i kolegów zarazem. Stołowali się wtedy z nami m.in. bp Mieczysław Ciešlar i ks. prof. Alfred Tschirschnitz. Po moim wyjeździe do Niemiec widywałem się z ojcem rzadziej i tak już było do końca, także po moim powrocie, gdy rozpocząłem pracę w Kościele.

Lubiliśmy z sobą rozmawiać. Zawsze mnie pocieszał i mówił, żebym się nie przejmował przykrościami, jakie wyrządzają ludzie. Nie potrafiłem się nie przejmować, ale byłem mu wdzięczny, że zawsze był, gdy go potrzebowałem.

Życie uczyło go pokory. Często uparty, wybuchowy, kierował się jednak sprawiedliwością. Czasami odnosiłem wrażenie, że zbyt ufał ludziom. Był tak idealistycznie nastawiony do ludzi i świata, że graniczyło to niemal z naiwnością dziecka. Nie interesowała go lustracja. Choć sam wyrzucił pracowników bezpieczeństwa z naszego domu, nie oceniał kolegów, o których mówiono, że współpracowali. Był zbyt dobry na ten świat.

Będąc już na emeryturze podjął się też opieki nad zabytkami. Należał do parafialnego komitetu ochrony zabytków cmentarza ewangelickiego przy ul. Młynarskiej w Warszawie. Co roku kwestował na tym cmentarzu. Na zlecenie Ministerstwa Kultury i Sztuki w 1981 r. z ramienia naszego

Kościół podjął się sporządzenia opracowania pt.: *Specyfika cmentarzy wyznania ewangelicko-augsburskiego w Polsce i problemy ich ochrony*.

Współpracował z Komisją Ochrony Pamiątek parafii Świętej Trójcy. Na wystawę w tym kościele przekazał część pamiątek po swoim ojcu kapelanie. Niestety zostały one z wystawy skradzione. Ojciec mój bardzo to przeżył, gdyż niewiele zostało mu pamiątek po rodzicach. Niedawno na internetowej aukcji znalazłem zdjęcia mojego dziadka...

Ostatnie lata życia spędził mieszkając przy parafii Świętej Trójcy w Warszawie, gdzie opiekował się nim młodszy syn, Marek. Okres bycia emerytem dzielił między Puławską, „Tabitę”, (gdzie kiedyś studiował, zanim ChAT otrzymał siedzibę w Warszawie), filiał we Włochach oraz Mazury. Cierpiący, przyjechał jeszcze z moim bratem Markiem do Kętrzyna na moje urodziny w czerwcu. Tydzień później, po ciężkiej operacji, zmarł w szpitalu w Warszawie.

Swoje ostatnie kazanie ks. Jan Hause wygłosił 10 maja 2009 r. w kościele Wniebowstąpienia Pańskiego w Warszawie. Można powiedzieć, że tym kazaniem pożegnał się z kościołem, z którym jako Naczelny Kapelan EDW był związany i w którym odprawił nabożeństwo inauguracyjne działalności duszpasterstwa wojskowego.

Ten sam kościół pożegnał go w dzień uroczystego, wojskowego pogrzebu, skąd w asyście Kompanii Honorowej Wojska Polskiego odprowadzony został na wojskowy cmentarz na Powązkach. Spoczął tuż przy Alei Zasłużonych w mogile obok swego ojca – kapelana ks. majora Pawła Hause i swojej ukochanej matki. Nie oddano nam jednak flagi, którą przykryta była trumna, jak sądziliśmy, że jest w zwyczaju. W tym samym kościele, 9 stycznia 2011 roku odsłonięto tablicę poświęconą mojemu ojcu jako pierwszemu Naczelnemu Kapelanowi EDW po jego reaktywacji.

W pamięci mam jego ostatnie kazanie, które zakończył słowami z Ewangelii: *„Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście spracowani i obciążeni, a Ja wam dam odpocznienie”*. Wierzę, że znalazł już odpocznienie w domu Ojca Niebiańskiego.

ks. Paweł Hause

Skrócona wersja ukazała się
w czasopiśmie „Wiara i mundur”,
lipiec – sierpień 2009 r.

Wspomnienie o przyjacielu

Jan Hause urodził się 8 lutego 1934 r. w Krakowie jako syn księdza mjra Pawła Henryka Hause (1897-1946) i jego małżonki Marii z domu Goldberg. Ojciec ks. Jana Hause był ewangelickim kapelanem w Wojsku Polskim, szefem Wojskowego Duszpasterstwa Ewangelicko - Augsburskiego przy dowództwie Okręgu Korpusu III w Grodnie (obecnie Białoruś), a później w Krakowie.

Ks. Jan Hause został ochrzczony w ewangelicko-augsburskim kościele św. Marcina w Krakowie przez proboszcza ks. dra Wiktora Niemczyka, a chrzestnymi byli: ks. Karol Bronisław Kubisz i Stefania Stefanka. Ks. Karol Kubisz, syn śląskiego poety i nauczyciela był proboszczem we Lwowie, a po wojnie w Krakowie – aż do emerytury.

Po roku 1939 rodzina Hause została ewakuowana: ojciec trafił do hitlerowskich, jenieckich obozów oficerskich w Dorsten i w Lubece, a następnie do Oflagu II D w Grossborn-Redevitz. Matka z dwoma synami, Karolem i Janem, dotarła na wschód II Rzeczypospolitej, ale dnia 17 września 1939 r. na tereny te wkroczyła Armia Czerwona. Wkrótce zostali zesłani na Syberię. Tam żyli w opłakanych warunkach (m.in. ich pożywieniem były korzonki roślin). Po podpisaniu układu Sikorski – Majski w 1941 r. polscy zesłańcy za wszelką cenę próbowali dostać się do armii generała Andersa, ale nie zdążyli. Starszy brat Jana, Karol Hause wstąpił do kościuszkowców i zginął na polu walki. Matka z Janem przyjechała do Polski w 1946 r. Wrócili do rodzinnego Krakowa, by się dowiedzieć, że ich mąż i ojciec ks. mjr Paweł Hause zmarł zaledwie dwa tygodnie wcześniej i pochowany został na warszawskich Powązkach, gdzie także później spoczęła jego żona, a obecnie spocznie ich syn ks. Jan Hause. Rodzina doznała niepo-

wetowanej krzywdy zarówno od Niemców, jak i od Rosjan, ale mimo to ks. Jan Hause nigdy nie żywił do nich nienawiści.

Po zdaniu matury w Technikum Rybackim w Giżycku oraz po odbyciu obowiązkowej służby wojskowej w latach 1954-1956, Jan Hause w roku 1957 zdał egzamin wstępny do Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej. Podczas studiów mieszkaliśmy w jednym pokoju, do roku 1960. Po ukończeniu studiów teologicznych zwieńczonych napisaniem pracy magisterskiej w 1961 roku, mgr Jan Hause zdał I egzamin kościelny *pro venia concionandi* i w dniu 1 października 1961 r. w kościele św. Marcina w Krakowie został ordynowany na księdza ewangelickiego przez biskupa Andrzeja Wantułę w asyście ks. Wiktora Niemczyka, rektora ChAT-u oraz ks. konseniora Karola B. Kubisza i jednocześnie mianowany wikariuszem parafii w Krakowie.

W dniu 25 lipca 1961 r. zawarł święty związek małżeński w kościele Świętej Trójcy w Warszawie z Alicją z domu Reschke, krewną ks. prof. Karola Wolframa, który też osobiście pobłogosławił ten związek, a jednym ze świadków był piszący te słowa.

Ks. Jan Hause pracował później kolejno w parafii w Karpaczu (kościół „Wang”), we Włocławku, w Płocku, Radomiu – Lublinie – Kielcach oraz w Węgrowie i Żyrardowie.

Jednocześnie, po ukończeniu studiów bibliotekarskich, od 1975 do lutego 1999 r. był dyrektorem Biblioteki Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie, a od 1 września 1995 r. został mianowany przez konsystorz Kościoła pierwszym Naczelnym Kapelanem Ewangelickiego Duszpasterstwa Wojskowego w III Rzeczpospolitej, po jego reaktywacji. Służbę tę zakończył dnia 28 lutego 1999 r. tzn. po ukończeniu 65 roku życia, a tym samym po przejściu w stan spoczynku. Tak więc idąc w ślady ojca, przez 10 lat pełnił służbę w Wojsku Polskim jako zwierzchnik Ewangelickiego Duszpasterstwa Wojskowego, organizując je od samego początku.

Przez wiele lat, aż do śmierci, był przewodniczącym Warszawskiego Oddziału Polskiej Rady Ekumenicznej, gorliwie służąc polskiej ekumenie. Był także członkiem Komisji Liturgicznej Kościoła Ewangelicko – Augsburskiego w RP, jak również w latach 1997-2002 członkiem Międzykościelnej Komisji Śpiewnikowej, której uwieńczeniem prac był ekumeniczny i międzynarodowy *Śpiewnik ewangelicki*, który od 28 kwietnia 2002 r. obowiązuje w Kościele luteranckim i reformowanym w Polsce oraz w Czechach, ale także na całym świecie, gdzie znajdują się polscy ewangelicy obu wyznań.

Ksiądz Jan Hause, mimo że tak wiele w życiu przeżył cierpień i przykrości, był gorliwym duchownym ewangelickim i szczerym ekumenistą współpracującym nie tylko z Kościołami członkowskimi Polskiej Rady

Ekumenicznej. Przez wiele lat szczerze współpracował też na różnych płaszczyznach działania z Kościołem Rzymskokatolickim w Polsce, wypełniając w ten sposób arcykapłańską modlitwę naszego Zbawiciela: „Aby wszyscy byli jedno”.

ks. Jan Gross

czerwiec 2009 r.

Ekumenista wzorowy

Jan Hause był ekumenistą wyjątkowym. Należał do odchodzącego już pokolenia ludzi, którzy ekumenią oddychali na co dzień i dla sprawy jedności gotowi byli ponieść wiele ofiar. Przy tym wszystkim był człowiekiem urzekająco skromnym i z pokorą znosił cierpienia, jakich nie szczędziło mu życie.

Poznałem go prawie trzydzieści lat temu, na jednym z nabożeństw ekumenicznych. Szybko zaproponował mi przejście na „ty”, co mi imponowało, bo Hause to był „ktoś” w ekumenicznej rodzinie i na dodatek pochodził z patriotycznej rodziny, co dla mnie, który podjął prywatną walkę ze stereotypem „Polak-katolik”, miało także istotne znaczenie.

Jan nie błyszczał w towarzystwie, ale od razu przekonałem się, że jest ekumenistą spolegliwym, zawsze można na niego liczyć, kiedy chodzi o sprawę jedności chrześcijan. W pierwszej połowie lat 80. ubiegłego wieku ks. Stanisław Greś, w mroźny dzień styczniowy, zorganizował ekumeniczne spotkanie w seminarium diecezji gorzowskiej w Gościkowie-Paradyżu. Z Warszawy to kawał drogi, blisko granicy z NRD, ale Jan bez wahania przyjął propozycję i w ten sposób stał się jednym z pierwszych w Polsce duchownych ewangelickich, który przemawiał do kleryków w katolickim seminarium. Pamiętam, jak na dworcu w Gorzowie goniliśmy pociąg, który zaraz miał odjechać. Jan poślizgnął się, wyrznął z walizką o ziemię i o mały włos stoczyłby się pod koła pociągu. „Janie, mało brakowało, a zostałbyś męczennikiem ekumenii” – zażartowałem wówczas. Był dla mnie kopalnią wiedzy z historii ewangelicyzmu polskiego. Chętnie nastawiałem ucha, gdy opowiadał ciekawe historie o wybitnych ludziach,

a pamiętał dobrze: ks. Karola Messershmida, ks. Zygmunta Michelisa czy bpa Andrzeja Wantułę.

To on był świadkiem głośnego w kręgach ewangelickich *faux pas* ks. Z. Michelisa wobec biskupa Wantuły, gdy znany ekumenista, człowiek o niewyparzonym języku, powiedział w obecności zwierzchnika polskich luteran: „Przed wojną to mieliśmy mądrego biskupa”. Mnie się to wydawało bardzo niesprawiedliwe, bo biskup Wantuła był nieprzeciętną osobowością.

W naszych rozmowach były też elementy humorystyczne. Jan wspominał, jak kiedyś dzwonił do żony. W słuchawce trzeszczy, jak to w PRL-u, ale dociera do niego informacja: „Masz Węgrów”. – „Jakich Węgrów? – pyta zdziwiony. – „Parafię Węgrów dostałeś” – odpowiada żona.

Pamiętam, że z dozą niepewności i nieśmiałości zapraszałem go na spotkanie ekumeniczne w Kodniu nad Bugiem. Moje obawy wynikały z tego, że znajduje się tam słynne sanktuarium maryjne, zatem organizowanie imprezy ekumenicznej w takim miejscu mogłoby budzić wśród ewangelików niedobre podejrzenia wobec katolickich organizatorów. Wybór Kodnia na miejsce zjazdu ekumenicznego miał przyczynę zgoła prozaiczną: duszpasterzem był tam ojciec Andrzej Madej, główny organizator spotkania. Dzięki niemu mieliśmy zapewnione noclegi i wyżywienie. Janek przyjechał do Kodnia bez żadnych obaw, nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń. Odprawił na rozpoczęcie spotkania ewangelickie nabożeństwo Słowa Bożego, co w następnych latach stało się tradycją.

Powiedział nam też o istnieniu jedynej na Podlasiu ewangelickiej stacji kaznodziejskiej w Kuzawce. Pamiętam wzruszenie rodziny Zelentów, do których pastor przyjeżdżał kilka razy w roku, a tym razem mieli u siebie dwóch ewangelickich duszpasterzy (oprócz Jana był jeszcze inny wspaniały ekumenista, ks. Jan Szklorz) oraz kilkusetosobową zgraję młodych ekumenistów. Dzięki Janowi przeżyłem jedno z najpiękniejszych nabożeństw w swoim życiu. Odprawione zostało na łące przez dwóch pastorów, przy akompaniamencie kumkających żab, a uczestnikami była spora grupa wiernych, w zdecydowanej większości katolików.

Zaczął „zadawać się z katolikami” w czasach, gdy nie było to dobrze widziane przez ówczesne władze komunistyczne. Często w świątyniach katolickich głosił kazania, brał udział w spotkaniach i sympozjach. Gdy w mojej macierzystej parafii pw. Opatrzności Bożej na warszawskim Rakowcu odbyło się po raz pierwszy nabożeństwo ekumeniczne, w małej grupie niekatolickich ekumenistów znajdował się oczywiście Jan – w todze, z charakterystycznymi białymi befkami.

Wydawało mi się, że Jan w okresie PRL-u nie był zbyt hołubiony w swoim Kościele. Czasem rzucił coś między wierszami, co potwierdzało

moje przypuszczenia. Toteż ucieszyłem się, gdy po uzyskaniu wolności powierzono mu organizację wojskowego duszpasterstwa ewangelickiego (jako człowiek skromny zrezygnował z tytułu biskupa). Mimo rozlicznych obowiązków, jego gorliwość ekumeniczna nie zgasła: nadal aktywnie uczestniczył w nabożeństwach i spotkaniach.

Miał wśród katolików wielu przyjaciół. Z tego, co wiem był jednym z niewielu, a być może jedynym niekatolikiem należącym do ruchu *Focolare*. Ma coś z symbolu fakt, że ostatnie kazanie, które wygłosił na nabożeństwie ekumenicznym, miało miejsce w maju bieżącego roku (2009 - przyp. red.) w katolickim kościele św. Marcina na warszawskiej Starówce.

Nigdy nie odmawiał, gdy go proszono o posługę ekumeniczną. Gdy realizowałem film o siostrze Joannie Lossow, Jan dał o tej ekumenistce piękne świadectwo. Jest w tym filmie ładna scena: na malowniczym cmentarzu w Laskach, wśród padającego deszczu, pastor ewangelicki i katolicka zakonnica s. Maria Krystyna Ruttenberg zapalają znicze na grobie wielkiej katolickiej ekumenistki. Nie mogłem wówczas przypuszczać, że niedługo będziemy składać kwiaty i zapalać znicze na jego grobie.

Odmówił tylko raz, gdy kolega z Centrum Myśli Jana Pawła II poprosił go o wywiad na temat papieża. Wydawało mi się, że to nie możliwe, bo wiem jak Jan cenił papieża. Kiedy go odwiedzałem w okresie jego dyrektorowania w Bibliotece ChAT-u, zawsze moją uwagę zwracało zdjęcie ks. Jana Hause ściskającego rękę papieża podczas spotkania ekumenicznego w Warszawie w 1983 r. Z oczu pastora ewangelickiego biła polska, patriotyczna duma i szacunek. Gdy rozmawiałem z Janem – jak się okazało po raz ostatni – na spotkaniu z prof. Jerzym Buzkiem zorganizowanym przez Polskie Towarzystwo Ewangelickie, wytknąłem mu to. On ze skromnością odparł: „Niech inni, ważniejsi, dadzą świadectwo”. Ja na to: „Janie, Twoje świadectwo jest też bardzo ważne”. W końcu, po kilku tygodniach, udało się go przekonać, jednak wywiadu nie zdążył udzielić. Jan często mówił, że ekumenizm nie polega na prawieniu sobie miłych słów. Był przekonany, że nieraz trzeba powiedzieć prawdę, nawet jeśli byłaby bolesna. Wierny tej zasadzie wytknął raz pewnemu Kościołowi pasywność ekumeniczną. Skutek był taki, że się na niego obrażono.

Dla mnie pozostanie ekumenistą wzorowym, który wierność i umiłowanie własnej tradycji konfesyjnej łączył z niezwykłą wprost otwartością i przykładowym szacunkiem do tych, którzy wierzą inaczej. Mocno wierzę, że niebo Jana Hause jest ekumeniczne.

Grzegorz Polak

czerwiec 2009 r.

Fotografie



Dziadkowie: Dorota i Maksymilian Hause



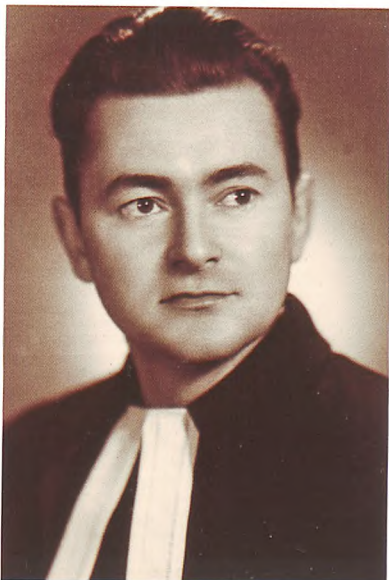
Ks. major Paweł Hause – ojciec



Maria Hause z d. Goldberg - matka



Karol Hause - brat



Jan Hause jako nowo ordynowany ksiądz ewangelicki



Ślub z Alicją z d. Reschke



W Karpaczu – pierwszej samodzielnej parafii



W Węgrowie



Podczas nabożeństwa ekumenicznego



Jako Naczelny Kapelan Ewangelickiego Duszpasterstwa Wojskowego podczas otwarcia siedziby duszpasterstwa w Warszawie, pierwszy od prawej; obok niego bp Jan Szarek i ks. Marek Loskot



Podczas konferencji kapelanów



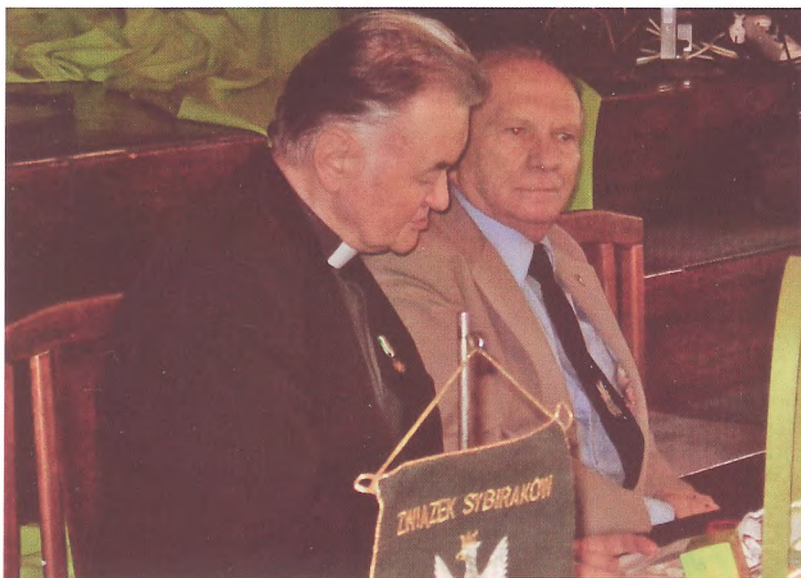
W gronie kapelanów; od prawej: ks. Jan Hause, ks. Adam Pilch.
ks. Andrzej Fober, ks. Wiesław Żydel, ks. Marcin Pilch



W Miednoje



Podczas nabożeństwa z okazji 70-lecia urodzin w warszawskim kościele Wniebowstąpienia Pańskiego



W gronie Sybiraków



Z diakonisami w Węgrowie



Ostatnie zdjęcie służbowe



Pożegnanie Naczelnego Kapelana EDW
w kościele Wniebowstąpienia Pańskiego w Warszawie



Ks. Jan Hause (1934-2009)

Urodzony w Krakowie, wojenne dzieciństwo spędza z matką i bratem na zesłaniu na Syberii. Po odbyciu służby wojskowej, studiuje w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej (1957-1961) i 1 października 1961 r. zostaje ewangelickim duchownym. Pracuje w Karpaczu, we Włocławku, w Płocku, potem w Radomiu, Lublinie i Kielcach. Następnie służy w Węgrowie i Żyrardowie.

W dniu 1 września 1995 r. ks. Jan Hause, syn ks. mjra Pawła Henryka Hause – ewangelickiego kapelana w międzywojennym Wojsku Polskim, zostaje mianowany pierwszym Naczelnym Kapelanem Ewangelickiego Duszpasterstwa Wojskowego w III Rzeczypospolitej. Przez dziesięć lat pełnił służbę jako zwierzchnik Ewangelickiego Duszpasterstwa Wojskowego, organizując je na nowo.

Przez wiele lat przewodniczył warszawskiemu oddziałowi Polskiej Rady Ekumenicznej, będąc prekursorem ekumenicznego zaangażowania i gorliwości w niesprzyjających ekumenii czasach.

Na niwie kościelnej pracował m.in. w Komisji Liturgicznej oraz Międzykościelnej Komisji Śpiewnikowej. Ponadto w latach 1975-1999 r. był dyrektorem Biblioteki Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie.

Książka zawiera przede wszystkim kazania, a także wystąpienia i artykuły, w których autor daje świadectwo temu, jak osobiście przez całe życie traktował arcykapłańską modlitwę Zbawiciela: *Aby wszyscy byli jedno*. Cierpienie i służba dla Ojczyzny, ale przede wszystkim służba Bogu, z wielkim sercem i miłością do bliźnich – to najważniejsze treści tej publikacji. Uzupełnienie stanowią wybrane wspomnienia o autorze.

warto

ISBN 978-83-89953-64-3



9 788389 953643 >